

LAMUS

Zeszyt pierwszy

Zima 1908-1909

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

Część druga — Wczoraj:

Ilustracye:

W najbliższych zeszytach ukażą się między innemi: artykuły Wł. St. Reymonta, Lucyana Rydla, Edwarda Porębowicza, Stanisława Wyrzykowskiego, W. Bruchalskiego, J. Kallenbacha, J. Kasprowicza, Jerzego Brandesa, listy Juliusza Słowackiego, St. Wyspiańskiego, Artura Grottgera i Daniela Chodowieckiego, rękopisy Adama Mickiewicza, Tymona Zaborowskiego, poezye Adama Asnyka i Tomasza Olizarowskiego, A. K. Swinburnea wiersze o Polsce (w przekładzie Leopolda Staffa), mazurek (nieznany) Fryderyka Chopina. — Reprodukcye z obrazów Witolda Pruszkowskiego, Franciszka Tepy, Daniela Chodowieckiego, F. Gérarda, J. Lampiego, K. Szlegla, Courtois-Bourguignona, rysunków Jul. Słowackiego, Cypr. Norwida, St. Dębickiego, sztychów F. Jasieńskiego.

Redaktor: Michał Pawlikowski, Lwów, Trzeciego Maja 5; kierownik artystyczny: Feliks Jasieński, Kraków, św. Jana 1.

Nakładem A. Altenberga i J. Mortkowicza. * Składy główne w Księgarniach: H. Altenberga we Lwowie i G. Centnerszwera w Warszawie. * Własność komitetu redakcyjnego „Lamus".

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

LAMUS

*

REDAKTOR: MICHAŁ PAWLIKOWSKI

MCMIX
NAKŁADEM A. ALTENBERGA LWÓW.
Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.

Skorowidz imion

(kursywa oznacza osobę, o której tylko mowa).

*

W imię prawdy rzetelnej i własnej, dla bogacenia wzruszeń mocnych i szlachetnych, podejmujemy niniejsze zadanie.

Są prawdy odwieczne, nie starzejące się nigdy, przekazane pokoleniom przez pokolenia, — a ewolucyi ciągłej podlega tylko stopień ich objawień, doskonałość i sposób ich wypowiedzenia. I oto, gdy nam się zdaje, żeśmy od rozumienia form dawnych odbiegli nieskończenie daleko — jawią się przed nami dawne czasy, całą prostotą swoją poważne, a całym wysiłkiem tęsknoty nam pokrewne. Jawią się przed nami tak blisko, bo z oddalenia zaczynamy rozumieć lepiej to, czegośmy wówczas nie widzieli, — stają przed nami z tą rzewnością wspomnienia, jako nasza własna przeszłość, nowy rój myśli gromadząc i nowe budząc natchnienia. — Kultura czasów minionych, nieograniczanie się do chwili ostatniej, ogarnianie szerszego widnokręgu rodzi gest szerszy, oddech głębszy, — daje silniejsze oparcie, aby z żywymi naprzód iść i świecić.

Dlatego zbiera „Lamus“ nietylko plon ostatniej chwili, ale i wszystek skarb dawny z niepamięci dobywa. —

Dalecy jesteśmy od wszelkiego dyletanckiego kłamstwa i pozy okrywającej pustkę obojętną. Zgłębianie własnych źródeł, służba rycerska i cześć dla tego co nasze, co czyste i szlachetne, szukanie wrażeń bogacących dusze i serca — oto streszczenie dążeń naszych.

Część pierwsza — Dzisiaj

Gdzie huf ten wasz?

Gdzie huf, ten huf, gdzie huf ten wasz pancerny,
Co ławą szedł po siwy Dniepr i Bug
I zbroją lśniąc, wśród chwały niepomiernej
Potęgi pieśń w podkowy złote tłukł?

Gdzie huf ten wasz, gdzie huf ten wasz rycerny —
Dziś z przodków ziem prawnuków pędzi wróg —
Nie wstanież nikt z drużyny onej wiernej,
By zbroję wziąć, ojczysty zaprzeć próg?

*

Hej! Dawniej tu, w poznańskiej tej ziemicy
Rycerski Lech z grodziszcza druhy wiódł
I krzepki Piast w postrzyżyn dzień w Kruszwicy
Z glinianych kruż złocisty zlewał miód.

Hej! Dawniej tu, w tajemnej wieków dali
Pieśniarska gędźb do czynu rwała młódź,
A chrobry król na Dnieprze szedł i Sali
Swą sławę bić i słupy z łomów kuć.

Przeminął czas! ziemico nasza plenna —
Dziś orły twe chcą zgonić z twoich wież,
Ty moce krzep, choć dola twa odmienna
Twych prochów broń i podań twoich strzeż!

Przeminął czas, gdyś twarde Niemce gnała,
Twój złoty róg z grunwaldzkich dzwonił pól,
Dziś padła w proch potęga twoja cała —
Ziemico ty przeszłości pomnij ból!

Rycerska wstań, potężna wstań i święta,
Na bark twych łom strzaskaną odziej broń,
A srom twych krzywd mściciela moc rozpęta
I zemsty pieśń zahuczy Niemcom w błoń —

I zagra im na krwawe pożegnanie
I ogniem łun pobladłą zświeci twarz;
Gdzie jeno dzień, co jutrznią złotą wstanie,
Gdzie jeno głos, co śpiącą zbudzi straż?

*

Gdzie huf, ten huf, gdzie huf ten wasz pancerny,
Co ławą szedł po siwy Dniepr i Bug
I zbroją lśniąc wśród chwały niepomiernej
Potęgi pieśń w podkowy złote tłukł?

Gdzie huf ten wasz, gdzie huf ten wasz rycerny —
Dziś z przodków ziem prawnuków pędzi wróg —
Nie wstanież nikt z drużyny onej wiernej,
By zbroję wziąć, ojczysty zaprzeć próg? —

MIECZYSŁAW SMOLARSKI.

Była raz królewna...

Na wysokiej górze stał gród królewski.. Ogromny, warowny, niedostępny.. Zdawało się, że to skała przeobrażona w zamek, albo grodzisko prawieczne, co się w skałę litą obraca powoli.

A na zamku starzał się król i rozkwitała córka-jedynaczka Oda.. Królewna Oda.

Oczy jej były jasne, jak bławat siwy od czerwcowej pogody, twarz o różanej bieli drobnych, wonnych powojów, rosnących nisko w życie, okalały włosy bogato-złote, ciężkie, dojrzalsze od ust dziecinnych jeszcze, połyskujących bladawą purpurą czereśni.

Królowa umarła dawno i Oda zapamiętała jedynie suknię Matki, tkaną w ostre złote gwiazdy, której połyskliwe zwoje słały się daleko poza brzeg trumny, stojącej gdzieś bardzo wysoko, pośród żółtych, chwiejnych płomyków.

I niewiadomo było Odzie, że Matka umierając, wyrzekła stygnącemi usty wróżbę nad dzieckiem, jako strzedz się winne: świata, muzyki i pocałunku ust bezmiłosnych..

Nie śpiewano tedy żadnych pieśni nad królewską kołyską.

Zaparto przed dziecinnemi oczyma nietylko bramy ale i okien rozwory przejrzyste.

Milczeć kazano na zawsze opowieściom niańczynym, brakło odpowiedzi na ciekawe, natarczywe pytania królewny.

Nie całowały jej nigdy usta niczyje...

Rosła tak bez pieśni i pocałunku, bez powietrza otwartych, przestronnych błoni, w mniemaniu, że zamek to świat.

Jakoż na grodzisku komnat było bez liku, niewiadomo która cudniejsza, żadna wszelako niemiała okna, by zeń w dalekość bezmierną popatrzeć. Jednolita powała z kryształu zamykała ściany, niby wieko skrzyni ozdobnej i tylko niebo widać było miast pułapu i chmury płynące po niem.

Długo ani się przyśniło królewnie, że tuż za grubymi murami grodu,

leży przestwór żywota, ze wszystką dolą i niedolą, cudnością i szpetotą, że ziemia czterykroć w roku rzuca przyodziewę, że się ludzie miłują i nienawidzą nawzajem, że nieogarnione rzesze narodów wadzą się ze sobą i znoszą a czas płynie, rwie przed się, nieuproszony, nieodpłakany, jak fala.

Wiosna znaczyła się Odzie błękitem nieba na rozmarzłym krysztale pułapu, śmiganiem skrzydeł wracających ptaków, kwiatami znoszonemi jej z łąk i zagajów na wianki; woń ich szczersza i rzetelniejsza od mowy ludzkiej, czyniła i jej myśli skorszemi do rozważań płonych, usta do pytań, na które jednakże nie śmiał odpowiedzieć nikt.

Lato poznawała po wystygłych czeluściach kominków i lekkości szatek, dobywanych dla niej przez dworki ze skrzyń modrzewiowych, po soczystej, czerwiennej krasie jagód leśnych, które znowuż, zapachem swoim, prawiły jej o boru i polu i słońcu, o tem słońcu, zachodzącem w czasy owe na krótko, próżno zasłanianem oponami, którego spadziste promienie świeciły w komnatę z wysoka, natrętne, żarliwe, niewyzbyte..

Jesień wieściły jej tłumne poloty ptactwa, pierwsze błyskające ognie na palowiskach, jęk wichru w kominie i cudne owoce z królewskich sadów. Jabłka o policzkach krągłych, wycałowanych przez słońce do czerwoności, śliwy opylone błękitem dalekiej, nieznajomej pogody, winogrona pełne chłodnej jeszcze, niezbudzonej dziewczęcej krwi, krwi rubinowej i złotej.. Jesienią zmierzch poczynał się też sypać coraz wcześniej, cicho, jak popiół i Oda miewała tego popiołu pełne oczy, pełne myśli, pełne serce..

A w zimie, kryształowe pułapy nieprzepuszczały światła do wnętrza i mrok siwy panował w grodzisku. Wczas z południa zapalano świeczniki i łuczywa w komnatach i gdy wieczorny ogień zaszumiał na kominie, schodziły się cicho po kobiercach, dworki w miękkiem, ciepłem obuwiu i wyszywały w alkowie królewny dziwy wszelakie na krosnach. Małomowne były jednak i posępne zawsze, jakby z żalu o te pieśni i baśnie zamilczane, których słuchać niebyło danem Odzie. Poznawała ona zimę w przygasłem wejrzeniu ich źrenic, w znużeniu rąk o chłodnych, zaróżowionych palcach i wiedziała, że to ona, zima, zawiesza te sople lodowe na ojcowskich wąsach, gdy wraca z kądciś wieczorem, cały w ośnieżonych sobolach, z kuszą i oszczepem przez plecy.

Miała pełne skrzynie szat najcudniejszych, sepety iskrzące od zapon drogocennych i pereł, miała bursztynowe kręgle i złote lalki, które stroiła w złotogłów i klejnoty, jak siebie, otaczały ją sprzęty nieoszacowane zgoła o piękności kształtów i barw nieśnionej, błogo jej było, bezpiecznie jak orlęciu w gnieździe, jak pąkowi róży w doniczce, który odmyka

się, nieświadom że rośnie, że kwitnie, że cudny jest, i że młodość człowiecza jest jedna...

Czasem, gdy ją zabawa znużyła, ciskała w ogień swoje bursztynowe kręgle; bursztyn palił się a dym niebieski i wonny napełniał alkowę królewny. Zdarzało się, że jednego poranka, rozdarowała dworkom wszystkie pozłociste lalki a potem, pociemku, do poduszki płakała za niemi gorącemi, skrytemi łzami. Nazajutrz, miała już nowe kręgle, stojące w karnym ordynku na marmurowych kwadratach posadzki, witał ją nowy orszak lalek w brokatach i drogich kamieniach.

Tak szedł dzień za dniem i rok za rokiem mijał.

Aż zdarzyło się raz, że wróg wtargnął w dziedziny ojczyste i posunął się aż pod sam królewski gród.

Król ruszył w pole z rycerstwem, Oda została pod opieką niewiast na zamku, jak zawsze.

W te dnie ciężkie, dłużące się, duszne, czytać jęły jej oczy w zmartwiałych twarzach kobiet, słowa tajonej udręki, aż ją samą ogarniać począł trwożny niepokój tamtych. A gdy spytała o przyczynę, pierwszy raz, w układnej, ciemnej odpowiedzi dworek tknął ją dźwięk fałszywy, z za którego przezierała prawda jakaś, nieznana i groźna.

A chciała była pytać bez końca, bo czuła, że niewie coraz więcej, — ale odpowiadać jej nikt się nie ważył na grodzie.

Wreszcie, po dniach kilku, uczynił się późnym rankiem ruch na grodzisku i jak płomień buchnęła w górę wieść o królewskiem zwycięztwie. Wtargnęła niewiadomo którędy, wichrem przeleciała po zamku — i stało się wówczas, że wspaniały, potężnej piękności dźwięk, przeniknął grube mury i niespodziany, nic niewiedzący o wróżbie matczynej, wstrząsnął sercem Ody, jak liściem bezszelestnym, wiosennym..

Skądże mogła przeczuć, że to zastęp zwycięzkich rycerzy, śpiewa pieśń dziękczynną, radością tysiącznych serc młodych i głosów?!

Oda słuchała a łzy wielkie, nieznajome, świetliste, płynęły z jej oczu otwartych.

I wzięła ją ta cudność nieznana, jak na skrzydła szumiące i poniosła przez szeregi komnat z których co żyło wyległo już na podworca i wały, przez puste schody, nieznane jej oczom ni stopkom.. Leciała temu na przeciw a ono zasię płynęło ku niej, bliższe coraz i dźwięczniejsze..

Nikt jej nie strzegł ni zatrzymał, wśród wesela i zgiełku zapomniano o jedynaczce królewskiej.

A do niej, tym dźwiękiem nieznanego czaru, gadały jakby owe nierozumiane zapachy jagód leśnych, mieniły się w nim radosne barwy kwiatów, rwanych na swobodzie łąk, krążyło w tem coś, jak sok w owocu

słońcem rozgrzanym, jak słodka krew jabłek, śliw i winogradu, rosnących, kędyś daleko, tam właśnie, skąd szło to nieznajome, przecudne, to, czego sobie samej nawet nazwać nieumiała..

Wreszcie w otworze wązkich drzwi, na galeryi kamiennej, biegnącej dokoła ogromnej, pustej sali, stanęła.

Przytulona do szarego filarka odrzwi, wprost schodów, wiodących stąd w dół ku sali, trwała zmieniona, zda się, w jeden z tych smukłych posążków wykutych w siwym ciosie, których całe rzesze stały we wnękach olbrzymiej komnaty, nieruchome, zasłuchane, jak ona..

A było niebawem popatrzeć i na co..

Bo oto z łomotem i chrobotem zbrój, z wrzawą huczną, buńczuczną, wparło się zwycięzkie rycerstwo w podworce i krużganki grodu. Ozwały się wołania szalone uciechą, ówdzie załamał się w jakiejś niewieściej krtani krzyk rozpaczny, by wnet, zgłuszony drugim, spokornieć w płacz zatracony w ciżbie innych, przelicznych głosów, co rwały ponad nim..

A poprzez wszystko, niosło się tamto, najpiękniejsze, donośne, przemożne, płynęło, wzbijało się w górę jak ptak.

Z królem na czele wkroczyła starszyzna do wielkiej sali zamku.

Oda widziała, jak wedle Ojca stąpał jakiś wojownik chmurny, stary już, w czarnej zbroi i siwej grzywie włosów; lwia skóra spięta na piersiach ognistą klamrą z rubinów, zwisała mu po ramionach. Twarz miał ów rycerz steraną i tak srogą, że wzrok cofał się od niej szybko, jak pocisk od tarczy wykutej z śniadej, twardej miedzi.

Zawrzało w dole od okrzyków ku czci zwycięzkich wodzów, zaroiło się od pstrej ciżby na sali; wniesiono stoły śnieżnem płótnem zasłane, błysła na nich zastawa bogata, szczęknęły srebrne półmisy, zadźwięczały kielichy i rozpoczęła się biesiada, jakiej stary zamek zdawna nie pamiętał..

Wprost Ody, obok króla siedział stary wojownik i nagle, chmurne jego spojrzenia, krążące po sali jak nietoperze, trąciły błyskiem źrenic jej drobną, majaczącą z wysoka, białą twarz, podobną raczej do ślicznego snu, ważącego się widomie w przestrzeni, snu, który nie zdążył jeszcze pierzchnąć całkowicie z przed zbudzonych oczu..

Poglądał tak na nią z obliczem w górę podanem, długą dotkliwą chwilę, aż się zaróżowiła pod tem patrzeniem i aż się jej brwi ściągnęły królewską wzgardą.

Omroczył ją cień tych oczu, odurzył gwar głosów śmiałych, podnieconych winem; szczęsny poryw chwili i gorąco ciżby bijące ku niej, oblewało jej kwietne czoło skwarnem tchnieniem. A w piersi — choć

dawno już umilkła za murami — potężnym, niecichnącym dźwiękiem drżał pogłos tryumfalnej, dziękczynnej pieśni młodzieńczej..

Wpadały jej w uszy strzępy mowy swobodnej, jaką przy niej nie gadano nigdy, jawiły się nieznajome widzenia, słowy temi zwołane i otwierało się coś przed nią, niby wrota ogromne, uroczyście, powoli, szeroko...

Naraz, powstał ze złotego krześliska król-ojciec i z pełnym kielichem w prawicy, sławić począł księcia-sąsiada. Bez jego pomocy, jak mówił, nie zostałyby wojska zaborcze odparte, ani w dniu dzisiejszym święcone być mogło zwycięztwo. Mówił długo, kunsztownie myśl z myślą sprzęgając, wreszcie zawołał:

— „Żądaj czego chcesz! Cały skarbiec mój stoi dziś dla ciebie otworem! Sprzymierzeńcowi w doli i niedoli, godna się patrzy nagroda!"

Wtedy stary książę, nachylił się spiesznie do króla i odrzekł wskazując mu ręką Odę na kamiennym ganku:

— „Tę oto daj mi, nic więcej.."

Król spojrzał w górę i jakby ciosem nagłym rażony, zmartwiał. Na widok córki, twarz stężała mu przez mgnienie oka w gniewie i żalu śmiertelnym, w lot jednak opanował się i dał znak Odzie aby zeszła.

Jej ani marzyło się nawet po co schodzi..

I poszła tak jak była, w srebrnoszarej, codziennej szatce, we wianku bladożółtych pierwiosnków, których nikły, jabłeczny zapach, zdawał się być wonią jej własnych lat szesnastu. Schodziła cicho w miękkich, wązkich butkach, srebrem szytych, omotana w pajęczą zasłonę barwy popiołu a ręce jej tuliły do piersi najmilszą lalkę, z którą dotąd jeszcze rozstać się niemogła. I Oda usłyszała w tej chwili wyraźnie, żywe, bijące serce lalki...

Sama niewiedziała jak i kiedy się to stało, dość, że posadzono ją w głębokiem, rzeźbionem krześle między ojcem a starym księciem i czuła z bliska na twarzy jego spojrzenia, ciemne, niespokojne, jak lot nietoperza.

Wówczas podjął król rzecz swoją na nowo. Mówił jakby z wysiłkiem, zbyt mocno głos unosząc, jakby się sam w sobie z własną wolą mocował, słowy pełnemi cześci, którym jednakże dźwięk ich przeczył i uwłaczał. Nakoniec ujął rękę Ody i, podając ją chmurnemu wodzowi, powiedział:

— „Najmilszem co mam, dziękuję ci! Najdroższem co mam, nagradzam cię! Jam rzekł, tyś zażądał.. Niech się spełni. Bierz córkę moją za żonę i wiedz, że prawdziwie cenniejszego klejnotu niemasz w skarbcu moim! Strzeż-że go, jako i ja strzegłem.."

Poczem król, nie spojrzawszy w oczy królewny, opadł w poręcze krzesła.

Wstał książę-sprzymierzeniec a suche, mocne jego palce, oplotły niby kręte korzenie jałowca małą rączynę Ody.

— „Dziękując biorę, wziąwszy, strzedz będę!“ wyrzekł krótko, głosem, szczękającym jak miecz po pancerzach, poczem słowami, które padały twardo, podobne cięciom niechybnym, oddał królowi cześć rycerską wzajemną.

Oda słuchała bez tchu, tylko serce lalczyne tłukło się o złotogłów spłoszonym, coraz głośniejszym łopotem.

Dopiero gdy szybki oddech starego księcia owiał jej nietknięte czoło pragnieniem pocałunku, żachnęła się przed tą niezaznaną pieszczotą, jak przed dotykiem błony nietoperzowej.

Na nowo wzbiły się pod strop okrzyki wrzawliwe; przy święcie zwycięztwa święcono oto święto wtóre: zrękowiny Ody królewny. Popłynął w puhary jeszcze starszy miód (— gwoli wieku oblubieńca, — jak sobie śmielsi przygadywali do ucha,) miód cudownie wonny, o lepkich połyskach bursztynu, tu i ówdzie huknął głos jakiś junaczy śpiewką weselną, zapiszczały gęśle, zadzwoniły cymbałki, pośród gwaru i ochoty świątecznej, któżby pamiętał o wróżbach?

Na szyi Ody, gorzał trzykroć o nią owinięty, łańcuch, bezcenny, jarzący się ogniem dyamentów przepysznych, dar księcia oblubieńca, z własnej jego piersi zdjęty. A zaś z serca królewny oddalało się owo śpiewanie poranne, odpływało z jej pamięci jakimś płaczem cichym, jakiemiś łzami proszącemi się z oczu na blask, na swobodę żalu — daremnie. Nie płakała jednak, tylko dusza jej wytężyła się w słuchanie ostatnich przypomnień tego, co milkło, zamierało i gasło..

Jak martwy, chłodny klejnot darował ją ojciec staremu księciu.. Dał ją temu obcemu na własność, jak ona dawała swoje lalki, jak ciskała w ogień zabawki bursztynowe, tak ją cisnął dziś — Ojciec..

I gdzie pierzchła ta cudność, zwiastunna? Ta radość dźwięcząca młodych, tysiącznych głosów? Wróciła pewno tam, gdzie pachnąć wolno malinom, gdzie się barwą ust dziewczęcych szklą wczesne czereśnie, skąd rodem kwiaty i wicher i śnieg..

I gdzie jest to wszystko co jest a o czem wiedzieć niebędzie nigdy?!

Mrok już zapadał, niebo mieniło się sinością zwiędłego bzu i błękitem barwinku, zapalono rzęsiste świeczniki a Odzie przypomniały się takie same płomyki, drżące około trumny Matki i żal straszny ścisnął serce królewny.

Spojrzała na okół, mnogość biesiadników, trudem wojennym i ucztą

znużonych, patrzyła już nieswojemi zgoła oczyma, albo spała, gdzie który padł; inni zgiełk jeszcze czynili niepomierny, jakby sen natrętny spłoszyć chcąc z powiek..

A gdy król-ojciec, senny miodem, objął ramiony księcia-oblubieńca i gdy tak ze sobą sojusz wieczny święcili, kołysząc się w tem przymierzu bezpamiętnem, jak dwa dęby na wichrze, zwęźlone konarami, — Oda wstała i niepostrzeżona, niezatrzymana przez nikogo, wyszła wielkiemi drzwiami ze sali.

*

Weszła w ciemny, nieznajomy krużganek, szła odważnie, byle precz, byle dalej od tego, któremu darował ją ojciec. W dali przed nią niebieściał ostrym łukiem rozwór wielkiej, wjazdowej bramy.. Ciężkie jej skrzydła stały otworem, na oścież. Wszakże niebyło ich już przed kim zamykać.

Oda stanęła na progu ojcowego grodziska a chłodna świeżość przestrzeni witać się z nią jęła jak z dzieckiem rodzonem.

W blasku gwiazdy wieczornej, ujrzała oto, po raz pierwszy — świat.

Na łąkach u stóp skały zamkowej, jak rzucony rycerski pas, srebrzyła się rzeka i modrzały rozległe obszary dolin.

Świat, otwarty, szeroki, cudowny świat!

Oda stała a oczy jej szły wolne w tę dalekość, otworzoną na ściężaj ku ziemiom i gwiazdom, patrzyły na dziwaczny, nigdy nieoglądany zarys baszt i bystrych dachów grodziska, które jej się światem wydawało tak długo — i z rąk królewny wypadła lalka ulubiona, a w sercu zbudziły się znów stracone dźwięki, potężnej, niezapomnianej pieśni.. W ostatniej szarzyźnie zmierzchu, szybko, nieoglądając się za siebie, zbiegać poczęła Oda królewna ku dolinom. Nikt nie wyjrzał za nią z zamku a choćby i spojrzał, dostrzegłby jedynie coś, jak strzępek mgły wieczornej, opadający po zboczy.

Uciekała, a nad nią rozjarzało się pierwszemi gwiazdami niebo szafirowe, podobne do sukni jej matki, która dawno umarła.

Cienki nów, wisiał nisko nad lasem, godząc błyszczącem ostrzem sierpa w nieruchomo-czarną sierć boru. Zanurzał się w nią szybko, zmalał w iskrę gwieździstą, wreszcie zapadł zupełnie.

Wtedy porwał się od nizin wicher, przyczajony w łozach nad rzeką i zadął z całej mocy. Z nim nadleciało coś, jakiś jęk daleki, żałosny, jakiś wyzyw urągliwy boleścią, coś, co targnęło sercem Ody jak rozpaczne wołanie...

— „Idę!..“ wymówiła w głos, jakby odpowiadając na wezwanie czyjeś.

Szła już teraz równią przestrzenną a srebrzyste jej butki grzęzły w miękkiej, rosistej darni.

Nagle, potknęła się.

Przed nią ciemniało błonie rozległe, a na niem słał się wysoki pokos ciał, rzuconych o ziem w poniewierce straszliwej, jak szaty znoszone, stargane i królewna, przy świetle gwiazd coraz jaśniejszem, rozeznawać poczęła twarze ludzkie i zastygły na nich ból okrutny, widziała tułowie padłych rumaków, zakute w blachy i złotemi czapraki okryte, ręce nieruchomych jeźdźców, co legli wedle koni, pozwijane w pięści lub w szpon drapieżny zwinięte.. Jedni padli twarzami w ruń lepką od krwi, inni patrzyli niezmrugłemi oczyma prosto w granatowe, gwieździste niebo — groźni, uroczyści tą powagą patrzenia okrutną, tym bezruchem poniewierki ostatniej, niedbającej już o nic a wyniosłej przecie..

Gdzieniegdzie porywał się jęk ów, wichrem niesiony w zaświaty, jęk niepocieszony niczem na ziemi, płacz duszy młodej, żegnającej zabite swoje ciało..

Oda szła przez pobojowisko, nierozumiejąc nic, nic, prócz ogromu olbrzymiej jakiejś krzywdy i żal jej było i strach i wstyd, aż do bolu..

Bo tam, w grodzie na górze, lał się jeszcze ciągle miód w kielichy, i dwór wciąż jeszcze weselił się zwycięzką radością żywych.

Szła z piersią pełną płaczu i litości, zbratana własną swoją krzywdą z tymi o nieruchomych w niebo patrzących źrenicach. Szła niesłysząc, że za nią, wśród ciał poległych wojowników, suną się tuż nad ziemią, dwie postacie, pełzające ostrożnie, że dwie pary złych, kocich ślepi policzyły już wszystkie dyamenty jej wspaniałego łańcucha; że grabieżcy nocni, żerując na pobojowisku, kradną zabitym złote pierścienie z rąk, zwlekają odzież kosztowną i pasy, łupią drogie kamienie, rwą guzy.

Oda nie słyszała szelestu ich stąpań, ni dźwięku sprawnie grabionego złota, bo oczy jej przymarły oto, zachwytem żałosnym do martwej, młodzieńczej głowy, leżącej w złocie skrwawionych włosów, twarzy nieprzyśnionej w snach żadnych, niezaznanej nigdy, przecudnej..

Leżał nieruchomy jak tamci z twarzą ku gwiazdom obróconą, piękny, jak ów dźwięk, na którego brzmienie zwiastunne, dusza Ody otworzyła swe oczy królewskie po raz pierwszy.

Królewna schyliła się nad poległym i wszystka jej rozkwitła nagle i złamana młodość, ukorzyła się w rozpacznym hołdzie przed pięknością tych lic rycerskich, wszystek płacz niesiony w piersiach, płacz nad sobą i nad wszystkiem, rzucił się z jej oczu nad tą głową młodzieńczą.

Uklękła i wianek swój z bladych pierwiosnków, własną jej młodością pachnący, włożyła umarłemu na skronie.

— „Tyś mnie to wołał, przywołał.. Przyszłam.. Twoja jestem! ciebie chcę, nikogo!

— Ty jesteś prawy zwycięzca! Tyś oblubieniec mój..“ — szeptała Oda z ustami przy ustach rycerza a ciepła woń jej pocałunku, oblała zapachem pierwiosnków cudne, ostygłe w spokoju wiecznym wargi. Głaźny chłód ust pocałowanych przeraził ją.. Wyprostowała się w nagłym lęku, jak odgięta łodyga kwiatu.

...Wtem, znienacka ból, — jak zakrzywione ostrze nowiu zapadające w jej pierś coraz głębiej, coraz głębiej...

Królewna zachwiała się i — z powłóczystym błyskiem dyamentów, padła bez jęku na zimny puklerz rycerza.

To ostrożnie pełzający ludzie posłali ku niej cichą, celną strzałę w samo serce.

MARYLA WOLSKA.

Z cyklu „Chwile“.

I. WCZORAJ O ZMIERZCHU.

Wczoraj, o zmierzchu, czekając na cienie
Nocy, by nurt ich pochłonął głęboki
Treść moich godzin samotnych, wspomnienie,
Chciałem ci taki wysłać list: „Swe kroki

Do mego domu skieruj, wędrownico
Po ugorzyskach miłości! Prawdziwie,
Na niczem zbywać ci nie będzie. Lico
Obetrę-ć z znoju, aby w ócz twych szkliwie

Znój jeszcze większy zalśnił; proch z twej pięty,
Do której błoto lepiły podróże
Za grozą szczęścia, zwieje ci poczęty
Z ognia mój oddech, by je nowe kurze

Okryły smutną szarością żywota!
O jakim cudem błękitnego morza
Błyszczą się twoje źrenice! O złota
Potęgo łona, którą jasność boża

Stworzyła w chwili upojnej uciechy
Nad swem tworzeniem, jakiej-ż ty mnie kary
Wabisz ponętą!? Za jakie mnie grzechy
Strącasz do piekieł, tak żądnych ofiary

Zbudzonej duszy?... Słońce nam zagrało!
Na ścież rozwarte światłości wrzeciądze;
Spocznij tu przy mnie! Pali mnie twe ciało!
Ognia twojego serca ja-ć nie sądzę,

Bo ludziom głodnym pytać nie wypada,
Czy też w jałmużnie, danej im pod ścianą
Weselnej chaty, nie kryje się zdrada
Pleśni. O dziwna igraszko! Wezbraną

Fal biczujących się wzajem Gehenną
Wre w mojem sercu chmurny ogrom toni,
Którą widziało pogodną i senną
Tam, na słonecznem Południu. Niech goni

Burza za burzą — na oślep! Żeglarze,
Pchani przez Dolę ku bezbrzeżom świata,
Wichrów ulęknąć się nie mogą. W parze
Z przyjaźnią Śmiercią, na druha i brata

Nie zważający, rzucają ogrody
Pomarańczowe, gdzie dzieci i żony,
Druhy i bracia, plon gromadząc młody,
Nie zdolni spojrzeć na owoc, spłoniony

W całunkach słońca, iżby nie myśleli
Z trwogą o tamtych... O pomówmy z sobą!
Wierzaj, daleko będzie nam weselej,
Gdy pogwarzymy o — Śmierci. Żałobą

Żyjemy wszyscy; niekiedy i skruchą,
Jeśliśmy dotąd — może-ż być inaczej? —
Sakw nie zrzucili, które nam, pastuchom
Swych własnych lęków i cudzych, prostaczy

Napycha morał głazami i kładzie
Na nasze barki... Głupi świat i głupie
Są jego prawa. - Czy nie tak? Na zdradzie
Cóż nam dziś stoi? Ja i ty! Okupię

Wszystką łzę twoją, jeśli-ć pod powieką
Nie zdoła jeszcze wyschnąć do tej pory,
Kiedy się w pustkę mroczną i daleką
Zgubi ta światła drobina, dla chorej

Duszy stworzona przez miłość... Do czarta!
Czem ją okupię? Mów ty, co żarzewiem
Złudy się dręczysz, żeś więcej jest warta,
Niżeli skrucha... Mów ty, ja dziś nie wiem".

Taki ci chciałem wysłać list w godzinie
Zmierzchu wczorajszej, kiedy wspomnień nawał
Począł swój taniec w jej próżni... Niech ginie,
Albowiem w mgłach jej przed duszą mi stawał

Wróg, co nam głazy nakłada. I słowa,
Których dźwięk każdy we krwi mojej broczy,
Zawarłem w księdze tajemnej: niech chowa
To, co me tylko rozumieją oczy.

* * *

II. ŚMIESZNI JESTEŚMY WSZYSCY.

Śmieszni jesteśmy wszyscy: kpiarz wesoły
I smutny mędrzec; ci, co z białym strachem
O łaskę życia żebrzą i ci z czoły
Podniesionemi gardzący tym łachem,

Co się na plecach Bytu zwie purpurą
I gronostajem — my wszyscy, o wierzaj,
Jesteśmy śmieszni do zbytku. Ponurą
Komnatę swoją otwiera na ścieżaj

Śmierć dla radości, zanim jeszcze radość
Stała się pełnią kształtów, które przeczą
Chorobliwemu więdnięciu i zadość
Czynią pragnieniom, zbudzonym pod pieczą

Twórczego świtu. A ból? Krotochwilę
Miałem niedawno ucieszną, gdy na nic
Rozpadł się jego kościół, w takiej sile
I aż do takich wyniesiony granic!!

Złym budowniczym jest miłość! Wiadomy
Stał mi się przykład, iż wtedy najwcześniej
Choćby największe maleją ogromy,
Gdy nam się zdaje, że się już nie prześni

Nigdy a nigdy ten Raj — dziś stracony —,
Z serc lekkomyślnej urodzon przysięgi...
Jak całowało słońce nieboskłony,
Jak rumieniły się te leśne łęgi,

Jak się błękitnił ten omam jeziora,
Kiedy, patrzący w błękit twoich oczu,
W warg twych rumieniec, rzekłem-ć, że jest chora
Wszystka ma dusza, ni ten świerk na zboczu,

Pasożytami jedzony... Pamiętasz?
Drzew, najemniczą zrąbanych siekierą,
Leżał przed nami wielki, żółty cmentarz;
Głaz się z łoskotem toczył i na szczerą

Miazgę rozbijał bratnich głazów zwały;
Potok się pienił, wyrywając kępy
Młodych sadzonek, mchów i zielsk, wspaniały
W swem niszczycielstwie, słuch mający tępy

Na jęki brzegów, co się darmo bronią
Jego szaleństwu. Mówiłem ci wtedy,
Że jakiś upiór grozi mi swą dłonią,
Wrogą mym oczom; że śród trosk czeredy,

Która wybrańcom swoim wzrok przyćmiła
Że już nie widzą wcale, gdzie jest szczęście,
A gdzie nieszczęście, nowa idzie Siła,
Co, czarne z głodu wyciągnąwszy pięście,

Niemiłosierny kłam zadaje woli,
Pragnącej stalą miecza i pawęzy
Zagrodzić przystęp złudzie, która boli
Więcej, niż kłamu rzeczywistość. Ciężej.

Snać mi nie było nigdy, niż w godzinie
Owej spowiedzi. Tak podeptać wiarę
W moc swego zdrowia! Dać się uwieść linie,
Którą powiędłe ręce Boga, stare,

Niepewne ręce rozciągnęły zdradnie
Między dwa słupy spróchniałe, pomiędzy
Celów sprzecznością! Zapomnieć, że padnie
Z tej słabej, chytrze uplecionej przędzy

I najzręczniejszy skoczek! Tak się oku
Pozwolić iskrą oślepić, co, jeśli
Mogłaby kiedy wszcząć ogień w tym mroku,
W który szatani ducha nam ponieśli,

Stosby wznieciła ofiarny!... O, widzę,
Jak się już nad nim przechylasz radośnie,
Jak, w potajemnej ze zniszczeniem lidze,
Z drżączką uśmiechów, z których piekło rośnie,

Śledzisz, czy z godną swojej żertwy mocą
Stos ten pożera tę niepewność rana?
I ten niepokój snów, wydartych nocom?
I tę świadomość moją, że pijana

Dusza twym trunkiem bezwładnie się błąka
Pomiędzy wolą a niewolą, słońca
Chciwa, a nocy pragnąca, w pająka
Podwieczornego włóknach, co bez końca

Z trudem dzień cały naganiał do siatki
Zdobycz i wziął ją o zmierzchu... O, patrzę,
Jak twej żelaznej skroni puklerz gładki
Rysują lęki, czy złowróżbnej watrze

Dość żywicznego-m dostarczył paliwa?
Gdy żar przygasa, jak trwoga się wznawia,
Czy twój skazaniec wie już, że godziwa
Rzecz to na ścieżce prawa i bezprawia

Przystanąć w miejscu, które milknąć każe
Krzykom sumienia? Czy schwycił już kielnię
Murarz bezwzględny, który w ludzkie twarze
Rzucił szyderstwa krwawą garść i czelnie

Począł murować grób, by w jego ciemni
Pogrześć to z pośród serc wyrwane serce?
Czy jest już gotów, jak owi najemni,
A niespłaceni knechci, w poniewierce

Zostawić żądzę niestrudzonej wojny?
Zedrzeć z swej piersi ryngraf i po świecie
Wielbić tchórzostwo ciurów? Czy spokojnej
O swe zwycięstwo uległ już kobiecie?

Bo ten od wieków bój — nierozstrzygnięty —
Pomiędzy nami toczy się a wami.
Kogo śmiertelne pochłoną odmęty,
Zwyciężonego kto się krwią poplami,

Nie wiem, wiedzący, że nikt mi nie powie,
By nie był śmieszny człek, co lekce zważył
Tę dobroczynną ufność w swoje zdrowie...
Było to wówczas — pomnisz? —, gdy się żarzył

Łuną czerwoną zdradny wąż przełęczy,
Wiążącej strome zła i dobra szczyty
W nierozerwalny ogrom. Kiedy z tęczy
Głębi jeziornej, jeszcze nie zakrytej,

Jął się powoli wynurzać olbrzymi,
Potworny obłok mgieł i wód powierzchnię
Zasępiać cieniem Zachodu... Jak dymi
I las i łąka i fala! Jak mierzchnie

Ziemia i niebo i dusza!... Pamiętasz?
Było to wówczas, gdy ostatnie dreszcze
Blasków słonecznych gasły, a nad cmentarz
Drzew powalonych nie podniósł się jeszcze

Księżyc kojący. Gdy z ziół aromatem,
Tchu wieczornego jasną zlanych rosą,
Zlewał się zapach, przez Stwórcę, w bogatem
Trwonieniu łaski, dan twym bujnym włosom

I twemu łonu... Wówczas, gdy twe oko
W dal się rozwarło, rzekłem ci, iż pusta
Głąb to, a na to ty: „Jak w niej głęboko
Utopisz serce!“... Jam wierzył... Gdy usta

Drżały, by kielich rozchylone boży
Pierwszego kwiatu, rzekłem ci: „Na wieki
Czar ich obliczon“... „Serce ci się strwoży
Na śmierć“, szepnęłaś z uśmiechem, „w daleki

Gdy go poniosę świat, ten czar“... „Tak, wierzę“ —
Oto, com sobie milczkiem odpowiedział,
Nie chcąc, by słowa były ni to dźwierze,
Na żal otwarte. Czułem, że ten przedział

Między wymownym, choć tajnym szelestem
Jodeł a ludzkiej niedołęztwem mowy
Nazbyt mnie ranił... Lecz dziś zdrów już jestem,
Choć byłem śmieszny, zaufać gotowy

Twemu proroctwu... Śmieszni my oboje,
Albowiem przyznać nie chcesz dziś, że radość
Wyschnie i skona, jak te w piasku zdroje,
Zanim uczyni pełnią kształtów zadość

Naszym pragnieniom; że właśnie w tej chwili
Pagoda bólu rozpada się na nic,
Kiedy się miłość, lichy mistrz, wysili,
By ją wywyższyć do ostatnich granic.

* * *

JAN KASPROWICZ.

Dalekie Echa.

ŁZY PARJASÓW.

Łkanie wstrząsało nią. Łzy spływały po policzkach. Łamała ręce i zdawała się rzeczywiście cierpieć. Ze zdziwieniem spoglądałem na nią. — Była zatem zdolna odczuwać ból? Kochała naprawdę swoją matkę? —

Wydawała mi się tak bezgranicznie podłą. Dotychczas nie odkryłem w niej ani jednego szlachetniejszego, bezinteresownego uczucia. Wszystko było w niej wyrachowaniem, kłamstwem i chciwością. Była to dusza doszczętnie zdeprawowana i niska.

A jednak teraz zdawała się cierpieć naprawdę nad utratą tej matki, która była przez połowę swego życia tylko ciężarem dla niej.

Nie mogłem ochłonąć ze zdziwienia. Zatem nie było tak nikczemnej duszy, w którejby nie tliła iskra świętego ognia... Mimowszystko nie mogłem wierzyć. — To bezgraniczne uczucie pogardy, jaką tylko czuć można dla człowieka, czyż mogło mnie mylić? Jej pożółkła twarz i opuchnięte oczy mówiły mi jednak, że się myliłem. Było to tak niespodziewane dla mnie, że aż sprawiało mi przykrość. Cóż miałem uczynić ze swoją pogardą? Tkwiła ona ciągle we mnie, nietylko dla niej, ale dla tych wszystkich parjasów zdeprawowanych niewolnictwem, upadlającą pracą, kłamstwem i podstępem. Lecz jeśli w nich wszystkich pod popiołami tliła iskra boża — czyż wolno mi było nimi pogardzać? Więc gdy to morze pogardy leżało między nami a oni nie byli jej godni, któż zatem był jej godzien? —

Pytanie pozostawało bez odpowiedzi... Bo nietylko ja pogardzałem nimi, ale i oni pogardzali mną. Tylko że w ich pogardzie było więcej nienawiści a w mojej tylko wstręt niepokonany. Brzydziłem się ich uniżonością i zuchwalstwem. Pies, który leżał u mych nóg, wydawał mi się bliższy od nich. A oto teraz trawiłem się myślą, że mogłem nie mieć słuszności, że mogłem ich krzywdzić.

A może płacz ten serdeczny należał do rytuału? Albo tłumaczył się pewną silniejszą pobudliwością nerwową wobec takich rzeczy jak śmierć.

A zatem?

Zagadka poczynała mnie dręczyć. —

Śledziłem ją coraz uważniej. — Była jeszcze brzydsza niż zazwyczaj. Lisi i głupkowaty wyraz opuścił ją jednak. Uśmiechała się tylko czasem boleśnie, a czasem patrzyła z jakiemś tępem przerażeniem przed siebie. Opowiadała szczegóły zgonu z pewnem upodobaniem i z dumą, że coś równie okropnego przytrafiło się w jej rodzinie. Przytem łzy toczyły się ciągle po policzkach, obfite, rzęsiste. Kapały na brudny kaftanik, spływały po czerwonych rękach, zatrzymywały się w kątach szablastego nosa, wpadały do półotwartych, sinawych ust, a po chwili znów wypadały całą kaskadą z pod opuchniętych powiek i płynęły, płynęły... Nie starała się ich opanować. Przeciwnie pobudzała się do coraz większego ich wylewania. — Sprawiało jej to widocznie jakąś nieuświadomioną, dziwną rozkosz.

Zrozumiałem.

We łzach tych tkwiło uświęcenie. Wyzwalały na chwilę z nędzy żywota. Dawały złudzenie szlachectwa duszy. Małą iskierkę zwierzęcego przerażenia instynktowo rozdmuchiwała do rozmiarów wielkiego żalu, aby choć raz w ciągu swego podłego życia pławić się w poczuciu swej moralnej wartości. Nie płakała nad utratą matki. Płakała aby okazać wielkość swego bolu przed ludźmi i przed sobą. Nieświadomie czuła, że zdolność miłowania jest miarą wartości.

Więc im silniejsze potoki zalewały jej twarz, tem większa duma i rozkosz napełniała serce.

Na chwilę uczuć się człowiekiem, na chwilę stanąć ponad sprawami życia — choćby pozornie. Na chwilę — bo za chwilę będzie żreć się z rodzeństwem o ten ochłap spuścizny, — o koszta pogrzebu...

Odwróciłem się i poszedłem. — Czułem się zmęczony. Chciałem zapomnieć o wrażeniu. Wmawiałem w siebie podziw dla piękności poranka. Ale gdzie spojrzałem, wszędzie ukazywała się głupia, zwierzęca twarz zalana łzami. I nagle ogarnęła mnie bezmierna litość. O biedna, podła duszo ludzka! Nawet na śmietnisku nie możesz zapomnieć o tej iskrze tlejącej pod powłoką brudu i głupstwa...

O SPALENIU ŚWIĄTYNI DIANY W EFEZIE.

Jaki płomień musiał tlić w tej duszy ambitnej a bezsilnej...

Pobito go na igrzyskach. — Palma — upragniona palma zwycięstwa chwiała się w innych szczęśliwszych rękach. Widział jeszcze

jej pierzaste pręty urągające mu. Wiersz jego przywitano wybuchem, rykiem śmiechu.

Wszędzie goniło go niepowodzenie. Kobiety odwracały się od niego — drwiące. Mężczyźni traktowali go z lekceważeniem.

Dlaczego?

Zapytywał sam siebie, pytał się o to losu swego, ale nie znajdował odpowiedzi.

Żeby go nienawidzono, żeby się go bano, żeby złorzeczono jego imieniu! — Ale nie! — Odwracano się tylko od niego z uśmiechem nudy i obojętności.

Z początku walczył z tem, ale obojętność ludzka silniejsza jest od nienawiści.

Opadły mu wreszcie ręce, dusza zasnuła się przędzą chłodu i milczenia, oczy zapadłe w oczodołach, zakryte powiekami utaiły myśl, która tliła pod czaszką.

A między nim a ludźmi wzrastał ciągle wał obojętności z jednej, — żrącego bolu i nienawiści z drugiej strony.

W końcu i ludzie poczęli nielubieć mruka, który od nich stronił i patrzył z podełba, uśmiechając się zjadliwie. — Dzieci małe na jego widok kryły się w fałdach szat matczynych, a matki pociągały je spiesznie ku sobie, żeby ochronić od złego spojrzenia.

Wówczas on śmiał się cicho, przeciągle, radośnie.

Nie lekceważono go już teraz.

I myśl tlejąca pod czaszką żarzyła się coraz silniej. Wreszcie wybuchnęła płomieniem, przemieniła się w straszny pożar, w klęskę, w ocean, — w burzę ognia.

*

Stał zdaleka od tłumu i patrzył na szalejący żywioł i na falę ludzką, która usiłowała go stłumić i opanować — daremnie. — Stał i upajał się widokiem zniszczenia i rozpaczy.

Czuł się teraz panem tego tłumu, który oto wił mu się u stóp w beznadziejnym wysiłku.

Czekał kiedy zwróci się ku niemu z rykiem zranionego zwierzęcia i pocznie wyciągać złowrogie, zaciśnięte pięści... A wówczas on będzie miał na ustach ten drwiący uśmiech lekceważenia, jakim darzono go przez całe życie — uśmiech odwetu.

Udrapował płaszcz na piersiach, założył ręce i czekał.

*

Żywioł legł już pokonany, a z nim tylowiekowe dzieło myśli i rąk ludzkich. Jeden ze siedmiu cudów świata, obrócony w proch i gruzy.

Po twarzach spływały łzy, ręce splecione w niemym bolu zwisały bezradne.

Nie pytano o sprawcę, — ból był większy od gniewu.

Więc znudzony czekaniem zeszedł ku bolejącym rzeszom i począł mówić patrząc im w oczy wzrokiem bezlitosnym:

— Oto spalona świątynia, jeden ze siedmiu cudów świata — rozkosz oczu i radość serca. — Nie ma już jej, prawda? — Iskierka pożarła w kilku chwilach, co ludzie stworzyli w ciągu wieków. I spłonęła — spłonęła wasza rozkosz oczu, spłonęła wasza radość serca. —

Przeciągły jęk żalu był mu odpowiedzią.

Więc szedł dalej i urągał znowu.

— Płaczcie, łzy pomogą wam ogromnie. Wzniosą nowe kamienie, odbudują mury, powrócą tkaniny i kosztowności. Płaczcie tylko, płaczcie.

A płacz nie ustawał.

Szedł zatem dalej i urągał ciągle. Ludzie jednak zdawali się go nie widzieć pogrążeni w swoim bolu.

Aż jeden starzec podniósł ku niemu żałosne oczy.

— Zdajesz się radować łzami naszemi Herostratesie — rzekł smutnie.

— Tak, bo jestem sprawcą łez waszych.

— Ty?

— Ja. — Ja spaliłem świątynię Diany w Efezie.

— Ty! — i mówisz to tak otwarcie, — z taką chwalbą.

— Mówię, żebyście wiedzieli o mnie. Bo już nie zapomnicie mnie nigdy. Lekceważyliście mnie całe życie moje, wyśmiewaliście, omijaliście mnie, deptaliście po mnie bez wiedzy i zastanowienia jak po najnędzniejszym robaku ziemnym. — A teraz wdarłem się w waszą pamięć, w wasze wnętrzności, jak te ogniste węże wdarły się w te mury. I będziecie mnie już znać, wiedzieć o mnie i pamiętać — na wieki.

I zaśmiał się.

A starzec patrzał w osłupieniu.

— I dlatego spaliłeś świątynię?

— Dlatego.

Starzec powstał i wyciągnął rękę ku tłumom.

— Narodzie! — rzekł wskazując na Herostratesa — oto człowiek, który dla próżnej żądzy sławy spalił świątynię bogini.

Płacz nagle ustał.

— Niech mu bogowie — ciągnął dalej starzec — dadzą to czego pragnął. Niech po wszystkie czasy imię jego pozostanie nieśmiertelne, imię szaleńca i głupca.

Głuche, ponure milczenie było odpowiedzią tłumów. Nie podniósł się ani jeden okrzyk. Groza zamknęła wszystkie usta. A on stał i czekał, czy może teraz ten tłum rzuci się na niego złorzecząc.

Tłum jednak milczał ciągle.

Wreszcie poczęło mu to milczenie ciężyć. Wzrok jego stał się mniej wyzywającym. Czuł bowiem, że w tych tysiącznych spojrzeniach zwróconych ku niemu, nie było oburzenia ani nienawiści.

Była — pogarda.

A pogarda nie ma słów.

I zrozumiał, że płynie ku niemu bezmierna jak ocean i jak on nieubłagana. Już go dosięga, już jest u jego stóp, wznosi się. Wkrótce go ogarnie, — zaleje. I nie pomoże ucieczka. Ona będzie za nim szła, będzie go gonić, znajdzie go wszędzie.

Ogarnął go strach.

Nogi się pod nim uginały.

Spuścił oczy.

Uczuł, że dłużej nie zniesie tych zimnych, strasznych spojrzeń skierowanych ku niemu.

Byłby błagał, aby go obito, oplwano, skopano nogami, byle nie spoglądano nań w ten sposób, byle nie milczano.

Wiedział jednak, że nie było prośby, nie było błagania.....

Więc począł biedz.

Krótki, nerwowy śmiech wstrząsnął masą ludu.

Nic więcej.

A on biegł, biegł, — byle dalej, byle uciec od tych spojrzeń, od tego milczenia, od tego śmiechu.

— — — — — — — — — — — — —

O PRAWDZIWEM ZNACZENIU RZECZY.

Rzeczy nie są takiemi, jakiemi się nam wydają. Komuś, któryby wpatrując się w smętek słotnego dnia widział tylko strugi deszczu, spływające z opony chmur, — i czarne sylwetki drzew odrzynające się niepewnie na tle szarego nieba, — i grząskie obrzydliwe błoto, temu darmoby tłumaczyć, że pozatem czai się coś, że coś się z tego wyzwala, coś co niema nazwy w języku ludzkim, ale co jest, — bezwarunkowo jest.

Jeżeli dusza nasza oswobodzi się choć na drgnienie powiek z pęt doczesnych, pod wpływem głębokiego smutku albo nadzwyczajnej radości, — uderza ją nagle ten pozór, ta powierzchnia rzeczy, którą brała dotychczas za rzeczywistość, podczas gdy rzeczywistość tkwi poza tem.

Tak — jakbyśmy nagle spojrzeli ze znacznej wysokości w głąb — i dostrzegli na dnie wijące się mrowisko ludzkie. Jak innemi oczyma spoglądalibyśmy na doniosłość zabiegów drobnych istot, które gdzieś dążą, spieszą się, potrącają, dźwigają nieskończone ciężary, starają się uprzedzić, prześcignąć, dojść pierwszemu do mety — do celu...

Do jakiego?

Straszna, wykrzywiona maska rzeczywistości, szczerząca trupie zęby z pod czapki poliszynela wychyliłaby się na jedno mgnienie oka z poza szranków tych szalonych wyścigów, — przyduszony jadowity śmiech nie głośniejszy od ćwirknięcia cykady rozbrzmiałby na chwilę, niepochwytny — jak błyskawica pod pogodnem niebem w skwarną, letnią noc — — — i nic więcej. Nimbyśmy zdołali uświadomić sobie, co to było, stalibyśmy znowu na krawędzi owej wyniosłości i widzieli tam w dolinie tłoczący się jarmark ludzki.

Ale nie o tem chciałem mówić, bo i to nie jest treścią rzeczywistości, tylko chwilowym jej odblaskiem.

Nikt gołem okiem nie ogląda słońca a tem mniej może patrzeć w płomienie krzaku gorejącego. Nawet Mojżesz musiał paść na twarz, tembardziej my słabego ducha i małej wiary.

Ach my...

Dla nas słońce jest za mgłą. Lecz wiele rzeczy zdradza nam mgła, ta mgła snująca się po dolinach, czepiająca się złomów skalnych, otulająca wierzchołki drzew, zatapiająca się w głębie leśne, jakby je wchłonąć chciała. Przeglądające cienie rzeczy, mają w sobie jakieś niewysłowione mistyczne znaczenie. Zacierają się twarde kontury a pozostaje jaźń wyzwolona jak elizyjska dusza błąkająca się po łąkach szczęśliwości.

Na tem polega może urok tych dni mroczno-białych, kiedy nurzamy się we mgle, brodzimy w niej, wyciągamy ręce z rozkoszą przed siebie, nie dostrzegając nic prócz cieni, które przeczuwamy raczej jak widzimy.

Jakże czujemy się swobodni. Myśl szuka, zgaduje, coś sobie przypomina, wpatruje się w białą głąb, chce przebić zasłonę. — A powoli, — powoli zasłona rzednie. Wyłaniają się przedmioty, ale jakieś uduchowione, inne, jakby z innego świata wydostawały się na jaśń.

Owiewa je jeszcze tchnienie tajemnicy. W tym mroku stykały się z czemś co jest niedostępne naszym zmysłom. —

A słońce poczyna coraz więcej rozwiewać przejrzyste opary. Coraz jaskrawiej występują zarysy, coraz silniej zjawiają się przeciwieństwa świateł i cieni, coraz twardziej występuje świat oczom widomy.

Wygląda jak zbudzony ze snu. Zdumienie i zawstydzenie jest w nim. Coś w nim drży, trzepocze się jeszcze jakaś myśl, która nie zdołała ukryć się dosyć prędko w głębi. Jasność zaskoczyła ją zbyt nagle.

Są to chwile, w których zdajemy się zbliżać ku prawdziwemu znaczeniu rzeczy. Sezamowe zamki jakby otwierały się, jakby moc ich słabła, jakby przebłyskiwało rzeczywiste słońce skarbów, — przez otaczające mroki. Takich chwil jest w naturze wiele. Kto ma uszy ku słyszeniu, słyszy ciche bicie serca tam w głębi. Nawet najlżejszy szmer trzcin chwiejących się łagodnie nad toniami zdradza nam tajemnicę toni. Lilie polne, które dziś są a jutro będą w piec wrzucone szepcą sobie coś, od czego dreszcz przebiega nam wzdłuż pleców, — dreszcz najsubtelniejszej rozkoszy. A gdy ona przemknie nieuchwytna, spoglądamy na siebie zdziwieni.

Co to było?

Czy powiew białych, niewidzialnych skrzydeł, czy echo jakiejś niesłyszalnej melodyi. Niech nie mówią nam, że to było przywidzenie, bo my wiemy.

Przecież wszystko polega na tej wiadomości a bez niej nie byłoby nic.

Kto zdoła zaprzeczyć naszej wiadomości? My wiemy. —

Wiemy, — czego ucho nasze nie słyszało a oko nasze nie widziało.

*

W białym blasku południa, możemy dostrzedz również to, co tylko wewnętrznemu wzrokowi duszy jest dostrzegalne. Rozpętanie żywiołów — objawia nam prawdę zarówno — jak najzupełniejsze ich ukojenie.

Ani liść nie drgnie, — ani ptak nie przemknie, kwiaty stoją przerażone i śmiertelnie ciche, drzewa skupiły się w sobie. Wszystko — jakby zawieszone nagle w swych czynnościach życiowych — czeka.

Ogromne, straszne oczekiwanie. Dusza ziemi otwiera się nagle ku nieznanej prawdzie — wzywa jej. —

A może i otchłanie niebieskie okazują ją spragnionym oczom. I oto czego wzrok nasz nie dostrzega — widzą te kwiaty, bo nagle zastygły z przerażenia, — rozszerzonemi źrenicami spoglądają w głąb pociemniałą, — — te drzewa, przed chwilą tak dumne a teraz przeniknięte nicością, skruszone małością swoją, pokonane majestatem słońca, uci-

szone, zmartwiałe. — — Nawet te kamienie, które legły bezwolne, obcą siłą rzucone przenika ów tajemniczy dreszcz, — nawet one słyszą cichy szelest zbliżających się kroków, — stąpanie niewidzialnych stóp.

Nawet te wody....

Płyną ku swemu przeznaczeniu, — siłą konieczności, siłą ciążenia, ową przepotężną dźwignią ruchu i trwania wszechrzeczy.

Ale i one oglądają się wstecz, zdają się powstrzymywać swój bieg — jakby chciały uchylić się na chwilę od zawieszonego nad sobą musu — na chwilę przystanąć, — na chwilę skupić się w sobie, — na chwilę spojrzeć w głąb.

Ach — one nie wiedzą, one przeczuwają zaledwie, — one muszą płynąć w nieznaną dal, w nieskończoność — muszą mierzyć czas i przestrzeń wśród bezczasowości i bezprzestrzeni. Płyną też smutne jakby przekonane o bezcelowości swych usiłowań. Cichy szmer pluskającej fali powtarza monotonne pytanie:

Gdzie one płyną, dokąd dążą,
Gdzie przystań, brzeg, gdzie ukojenie?
Na sennej fali łodzie krążą, —
Gdzie one płyną, dokąd dążą?
Na ból? na śmierć? na zatracenie? —
Nim w głębiach ciemnych się pogrążą,
Gdzie one płyną, dokąd dążą,
Jak wizya, jak sen, jak marzenie?

I tak zawsze, i tak ciągle.

Odwracamy znużone oczy, znużoną myśl. —

Gdzież jest prawdziwe znaczenie rzeczy?

Zdawało się, że cisza południa objawi je nam a serce nasze biło oczekiwaniem.

Serce wszechrzeczy biło oczekiwaniem.

Cud zawieszony był nad światem i oddech świata zamarł na chwilę.

Czyż się nie objawił?

Czy nie widzieliście go?

Jak mogliście go nie widzieć? Był koło was i w was! — Nie czuliście jego drżenia?

Zaprawdę — zatyły zmysły ludu tego.

*

Nie słyszeliście jego cichych stąpań — czy pójdziecie słuchać jego ryku? Nie rozumieliście jego modlitwy, czy przyjrzycie się jego rozpętaniu?

Drgnęliście? —

Drgnęliście w rdzeniu istoty waszej. Uczuliście w sobie zaczyn szalonej radości, boskiego szału.

Zerwaliście się. — Chcecie biedz, wyciągacie ręce, chcielibyście walczyć i radzibyście poddać się, dać się nieść, smagać aż do krwi, aż do bolu, aby uczuć Moc, aby ją poznać, aby ją pojąć.

Ach — tylko ją poznać i pojąć — choćby w męce — w rozkoszy męki.

Czy tak?

Czy to jest przyczyna owej dziwnej radości, na widok zbliżającego się huraganu, rozpętania żywiołów, wściekłości i rozbestwienia, grozy i dzikości.

Oczekiwanie was przepełnia ale odmienne od poprzedniego. — Tam oczekiwaliście cudu, któryby rozdarł nagle niebiosa i okazał się w całej nagości. Tu objawienia się mocy w naturze, zbudzenia się lwa, który drzemie, wyzwolenia sił utajonych. — Tam do oczekiwania mięszał się strach, że nastąpi nagle coś, co zburzy cały gmach przyczyn i skutków i praw niezłomnych, które przyzwyczailiście się uważać jako naturalne, tu zaś odegra się dramat nie łamiący w niczem waszego pojęcia o świecie.

Lecz ta moc targająca się w konwulsyach gniewu, ta siła wyzbywająca się hamulca, ta energia wyzwolona nagle w powodzi błyskawic i gromów, ten szał bez opamiętania — wzywa już.

Jakby wielkie dłonie porywały serca i rzucały jak liście zdarte z drzewa w ten wir.

Chodźcie, tańczcie!

Szamoczcie się z wichrem!

Krzyczcie, targajcie się.

Oto głos Pana waszego.

Pan przemówił.

Słuchajcie głosu Jego.

Padnijcie na twarz.

Drżyjcie.

Oto Pan, oto Bóg, oto Jehowa, Słup ognisty, Krzak ogniem ziejący. — Zeus przemawiający gromem. Sziwa, Bóg życia i śmierci. Oto On.

*

Dziś po tysiącach wieków kultury, to samo drgnienie serca, jak niegdyś gdy barbarzyńca padał na twarz strachem zdjęty.

Nic się nie zmieniło.

Toczy się koło.

Codzień świt bieli wierzchołki gór i czuby drzew, — potem cisza południa zapada nad światem, a wieczorem gloria rozpala się na niebie. Codzień otwierają się kielichy kwiatów — aby wieczór zastał je powiędnięte i zczerniałe. Mgły snują się po łąkach. — Na jesiennym wichrze i podczas szarugi zimowej, samotne, odarte badyle — trzepią się.

Jakiż one mają sens ukryty?

Jakaż myśl boża przywarła do nich? — Jakich tajemnic głębokich są wyrazem na ziemi?

My ludzie przechodzimy obok nich z twarzą obojętną, a one patrzą na nas wzrokiem urągliwym.

Im zwierzono więcej niż nam. One już wiedzą.

Nas tylko przeczucie ogarnia niekiedy, — na chwilę — na mgnienie oka, jakieś przypomnienie, zastanowienie — jakiś odblask nieuchwytny zaświatowej łuny.

A potem znowu mrok, niefrasobliwa gonitwa za wypadkami dnia powszedniego.

Tak — rzeczywiście tak.

Tam na dole, — roi się mrowisko ludzkie, gdzieś dąży, śpieszy, potrąca, tratuje wzajemnie, dźwiga z niepomiernym wysiłkiem ciężary czterykroć zaduże na jego siły, ugina się, pada, znowu podnosi.....

Jak woda tocząca się po kole młyńskiem, bezmyślna— ciężka.

Nim w głębiach ciemnych się pogrąży, —
Gdzie ona płynie, dokąd dąży?
Na ból, na śmierć, na zatracenie?

*

Trawa, która dziś jest a jutro będzie w piec wrzucona więcej wie od nich.

*
* *

ZOFIA RYLSKA.

Bronowskie Wczasy.

I. (DO MOJEJ ŻONY).

Ty moja wierna towarzyszko wdzięczna!
Co mnie jak anioł strzeżesz w życia burzy!
Błogosławiona mi ta noc miesięczna,
Kiedy — z tułaczej wrócony podróży —
W półmrocznym sadzie, w pozłocie księżyca
W anielskie twoje wpatrzyłem się lica!

Odtąd bez ciebie nie zrobię i kroku!
I myśleć nawet nie umiem bez ciebie!
A ty jak anioł idziesz mi u boku!
Drużko ty wierna! ucieczko w potrzebie!
W tobie wieś polską, polskie role żyzne —
I całą w tobie ja widzę Ojczyznę!

Dawniej mi kwiatem ty byłaś przekrasnym
I skrzydłem myśli mej najbardziej górnej.
Dziś, ty mi w burzy, zbawiennym i jasnym
Jesteś promieniem, w drodze życia chmurnej.
Młodości mojej najczystszą miłością
I mego wieku męskiego mądrością.

I dzieciom naszym, które ty Ojczyźnie
Rodziłaś liczne w macierzyńskim bolu,
Ty jesteś tarczą przeciwko zgniliźnie
Serca i duszy. Ty nie dasz kąkolu
Siać między ziarno. Więc rosną niewinne
I twoje mają uśmiechy dziecinne.

I gdyby nie ty, gosposiu anielska
Jakiżbym dzisiaj był? Spodlałbym do cna!
Duszę cynizmu zarosłyby zielska,
I domem knajpa byłaby mi nocna.
A mową: próżne pijanych dysputy,
A myślą: gorzkie sumienia wyrzuty.

Lecz ty mi w życie, piastowska gaździno!
Wnosisz pochodnię myśli czystej, świętej!
Twą drobną, wiejskiej dzieweczki rączyną
W światło mnie wiedziesz, z drogi złej i krętej!
Duszy mej rolę orzeźwiasz w posuszy
I budzisz poryw wielkich pragnień w duszy!

I jesteś siłą mojego ramienia!
I mojej myśli górnym jesteś lotem,
I światłem, co mi gniazdo opromienia,
I mego mienia tyś jedynem złotem!
W ciebie, jak w święte patrzę malowidła
Anielskie widząc u twych ramion skrzydła.

Ty moja wierna towarzyszko wdzięczna!
Co jako anioł idziesz mi u boku!
Błogosławiona mi ta noc miesięczna
Kiedym ci wierność przyrzekł — w sadów mroku!
Błogosławione twoje ciche gniazdo!
Błogosławionaś ty! mej drogi gwiazdo!

II. ZIMOWY WIECZÓR.

Vides ut alta stet
nive candidum Soracte
Horat: Ad Taliarchum.

Patrz chłopcze jak śniegiem osiwiały góry!
I las też osędział, stanęły i rzeki.
Mgła gęsta niebieskie przesłania lazury,
I smutek już leci przez kraj, przez daleki!

A w cichej komnacie jasny ogień strzela,
I ponad kominkiem stary zegar dzwoni,
Hej chłopcze! Wiernego wołaj przyjaciela!
Utoniem we wspomnień bezgranicznej toni!

I wina tu przynieś! Bóg czuwa nad nami,
Choć wicher tam wyje za dworku oknami!

Co jutro przyniesie, czy smutek, czy radość,
Nie myślmy! O wczoraj wolimy dziś marzyć!
Wesela i bólu przeżyliśmy zadość,
O latach minionych będziemy se gwarzyć!

O dniach pogwarzymy złocistych marzeniem,
Radością, przyjaźnią, kochaniem dziewczyny,
Więc pijmy i gwarzmy! nim śmierci się cieniem
Zakryjem... bo patrzaj: siwieją czupryny!

Nalewaj kielichy! Bóg czuwa nad nami!
Choć wichry tam wyją za dworku oknami!

I póki krew w żyłach nie wszystka wychłódnie,
A zimą starości nam włos nie zbieleje,
Użyjmy! bo życia minęło południe!
Już wieczór!... a z zorzą zagasną nadzieje!

Dziś jeszcze wytrzymasz i pracę i klęski,
I jeszcze cię żona uściśnie za szyję,
I jeszcze dziś wierzysz w dzień prawdy zwycięzki,
A jutro?... Hej! jutra!... nie każdy dożyje!...

Więc w górę kielichy! Bóg czuwa nad nami!
Niech wichry szaleją za dworku oknami!!

III. SEPTIMI GADES ADITURE MECUM.

(Przekład).

Druhu mój stary, druhu mój serdeczny!
Pójdziesz ty ze mną między barbarzyńce,
gdzie fal wre hałas mauryjskich odwieczny,
gdzie niejarzmionych pogan stoją tyńce!

Pójdziesz ty ze mną wszędy aż siądziemy
strudzeni drogą, w cudownym Tyburze,
tam, w drodze życia gdy posiwiejemy,
spoczniem, tam życia nie dojdą nas burze.

A gdy nas czarne boginie wypłoszą,
pójdziem nad jasną rzekę, tam gdzie owiec
pasą się liczne stada, lub gdzie koszą
chłopi łąki Falanta. — Tam wędrowiec

strudzony spocznę. Bo tam tak się śmieje
ten cichy kącik do mnie: złote miody
pachną jak hymettyjskie, moszcz się leje
bo szczep na górach zieleni się młody.

Bo tam wciąż wiosna. Wciąż tam jasne lice
ma niebo, wietrzyk wciąż tam ciepły wieje,
a falernejskie zazdroszczą winnice
grona, co w tamtych pagórkach dojrzeje.

I tak mnie ciągnie ten kąt, taki miły.
Tam chodźmy oba w gród błogosławiony!
A gdy tam umrę, ty do mej mogiły
ze łzami złożysz proch mój przepalony.

IV. VITAS HINNULEO ME SIMILIS CHLOE...

(Przekład).

Jako sarenka, za matką trwożną
uciekasz Chloe przedemną w bór!
z matką, na lada szelest ostrożną,
na lada wiatru szumiący wtór.

Matce, — czy wietrzyk w wiosenny dzień
zaszumi liściem, czyli to w krzach
jaszczurka trawki pochyli pień, —
już bije serce!... zdejmie ją strach!

Jam ci nie tygrys przecie, ni lew!
nie bój się dziewko mojej pogoni!
Odejdź już matki! bo ci już krew
liczko dojrzałe dla męża płoni!

* * *

WŁODZIMIERZ TETMAJER.

Mgławice.

NA MARMUROWYCH STOPNIACH ŚWIĄTYNI.

(Zachód słońca. W głębi, wśród odwiecznego gaju dębowego tum omszały z olbrzymiemi odrzwiami, świecącemi przepychem miedzianych łusek. Z lewej strony krawędź urwiska i wysoki próg marmurowy stopni, wiodących w dolinę. U stóp wzgórza, w dalekiej perspektywie, wielkie miasto wśród niezmierzonej okiem równiny.

Przed tumem polana górska. Z trawy bujnej, posrebrzanej rosą, wyzierają tu i ówdzie mchem obrosłe kikuty zapomnianych nagrobków: posągi bez głów, krzyże bez ramion. Ponad czubami drzew wysmukła dzwonnica, cała gontem pobita, chyląca się ku upadkowi.

U stóp tumu grono dziewcząt.

MAJA: Słońce zachodzi tak krwawo. Mówcie... Ja się boję...

MILICA: Umilkłyście jak ptaki, kiedy rosa wieczorna upadnie. Jakże serce mi drży...

ELMA: Kiedy dzwon na Anioł Pański uderzył, chciałam się modlić. Lecz słowa mi się nie kleją a pamięć zawodzi. Jest mi, jakbym się czegoś bardzo cieszyła na jutro. Lub jakbym bała się jutra.

ZOCHNA: Mówcie co, mówcie...

MAJA: Milica bajkę opowie. Ona umie tyle pięknych bajek.

MILICA: Nie... nie teraz...

ELMA: Więc zaśpiewajmy. Alino, dobrze?

ŚWIĘTOCHNA: Boisz się?

ELMA: Ach, jak mnie ta droga znużyła. Nie wiem... może...

MAJA: A ty Świętochno?

ŚWIĘTOCHNA: Nie, już przeszło.

ZOCHNA: Bo czegóż właściwie mamy się lękać?

ŚWIĘTOCHNA: Takie same tu dęby, jak w miejskim ogrodzie.

MAJA: I trawa tak samo iskrzy się od rosy...

ELMA: I miasto nasze widać...

ZOCHNA: I Milica jest z nami.

MAJA: Dlaczego się mamy bać? (woła) Alino!

ELMA (tajemniczo): Zostawcie ją. Czyż nie widzicie, że usta jej łamią się do płaczu? Ach, jak ja lubię nogi plątać w takiej gęstej trawie... Patrzcie! patrzcie... Ten dąb olbrzymi rozdarty piorunem...

ŚWIĘTOCHNA: Chude ramiona rozkrzyżował i pokłony przed nami wybija.

MAJA: Czyście głodni dziadku?

ŚWIĘTOCHNA: Zimno wam?

ZOCHNA: Patrzcie, jaka mu broda srebrzysta urosła.

MAJA: Chodźmy tam...

ŚWIĘTOCHNA: Ja nie pójdę. Rosa pada i chłodno mi.

ELMA: A w każdej jej kropli zachodzi słońce.

ZOCHNA: A każde źdźbło trawy kołysze się pod nią, jakby w trwodze przed kosą.

MILICA (do Aliny): Czemu tak smutno patrzysz, Alino?

ALINA: Pocałuj mnie...

MILICA: Masz takie zimne czoło...

ALINA: Zimno mi... Przytul się do mnie — Elmo! Obuwie mi cięży. Stopy moje zmęczone i płonące, pragną chłodnej wilgoci murawy. Czy mi pomożesz Elmo zdjąć obuwie?

ELMA: Chłodno. Nie czyń tego.

ALINA: Czy czujecie parną woń wieczoru? (zdejmuje obuwie) Tysiąc strzał złotych uderzyło o bramę świątyni i tysiąc westchnień zbudziło się w drzewach (idzie zwolna ku świątyni). Na obuwiu mojem pył uliczny. To miejsce zbyt święte dla mych stóp.

MILICA: Alino, gdzie idziesz?

ALINA: Czyśmy nie do świątyni przyszły, siostry?

ELMA: Prawda, świątynia!

ŚWIĘTOCHNA: Dlaczegośmy nigdy dotąd nie odwiedziły tej świątyni?

MAJA: Dlaczego nam nikt nigdy nie mówił o tej świątyni?

ZOCHNA: My zostaniemy tu, nieprawdaż?

ŚWIĘTOCHNA: Nie idźmy tam, nie idźmy.

MILICA: Chodźcie za mną. Nie możemy przecież Aliny samej zostawić.

ŚWIĘTOCHNA: Milico! podaj mi rękę. Ja się wciąż potykam o jakieś kopce czy kamienie.

MAJA: Tu jakiś cmentarz ukryty pod trawą.

ZOCHNA: Ostrożnie... ostrożnie...

ELMA: Uważajmy na Boga, aby kto nie upadł.

ŚWIĘTOCHNA: To zły znak upaść na cmentarzu.

ZOCHNA: Uważajmy... uważajmy...

(Alina potyka się i chwyta rękoma ramię zmurszałego krzyża, które rozsypuje się w próchno. Dziewczęta wydają okrzyk trwogi).

ZOCHNA: Alino! na Boga! Ani kroku dalej! Alino!

DZIEWCZĘTA: Nie idźmy tam... wracajmy.

ŚWIĘTOCHNA: Weźmy ją między siebie i nie dajmy jej tam pójść. Ja się boję o nią.

ALINA (stoi nieruchoma zapatrzona w ziemię): Wsparłam się na krzyżu, aby nie upaść — i w dłoni zostało mi próchno. Czemu tak dziwnie patrzycie na mnie, siostry?

MILICA: Pójdź z nami dziecko. Przeraziłaś się, nieprawda? Słyszę, jak głośno kołace ci serce. Patrz, tu staniemy. Stąd całe miasto widać jak na dłoni, i nie tak ciemno, jak pod gęstwą drzew. Ot, ludzie jacyś idą do miasta. Śmieszne, jacy mali są ludzie: niby ziarnka maku.

(Dziewczęta tulą się ku sobie. Milczenie).

MAJA: Czy długo przyjdzie nam tu czekać?

ELMA: Chodźmy stąd, już chodźmy. W domu napalono ogień na kominie. Kiedy ogień na kominie szepce i trzaska, czuje się, że ktoś swój jest przy nas, i wtedy nie trwożno nawet milczeć.

ZOCHNA: Niebo się pali, będzie wiatr w nocy.

ŚWIĘTOCHNA: Ty jesteś wyższa od nas, Milico. Czy nic nie widzisz? Idzie?

MILICA: Drzewa zasłaniają widok. Nie widzę pierwszych stopni. Wozy jadą gościńcem.

MAJA: Gdyby wiedzieli, że tu jestem, zabraliby mnie z sobą.

ELMA: Czy On tylko przyjdzie tu dzisiaj?

ŚWIĘTOCHNA: Czy musi tędy przechodzić po tych marmurowych schodach? Jak one długo się ciągną! Myślałam, że omdleję w drodze: tchu mi brakło.

MAJA: Kto ci mówił, że on dziś właśnie tu przyjdzie?

MILICA: Stary mój ojciec mówił mi raz o tem.

ELMA: I nie przyszedł tu twój ojciec? I nikt tu nie przyszedł, aby Go ujrzeć?

MILICA: Ojciec mówił, że to przypowieść tylko, jak baśń o śpiących rycerzach... i uśmiechał się.

ZOCHNA: Twój ojciec się uśmiechał?

MILICA: Nikt nie wierzy w baśnie, moje dziecko. A ja przecież... Ojciec mi opowiadał...

ŚWIĘTOCHNA: Co? co opowiadał ci ojciec?

ZOCHNA: Co się stanie, jeśli On tu przyjdzie?

ELMA: Więc musi zginąć?

MAJA: Czy to możliwe, by wszystko złe zmieniło się w dobre?

ALINA (składa ręce na piersi i głowę wznosi w górę): Wierzę...

ZOCHNA: Ja nic nie rozumiem. Lęk mnie zbiera.

ŚWIĘTOCHNA: Milico, ty wiesz wszystko... Czemu milczysz, jak zaklęta?

MILICA: Cyt... cyt, siostry. (Z uśmiechem) Dzieciom nie można mówić wszystkiego wieczorem.

ZOCHNA: Wracajmy, wracajmy...

ALINA (stanowczo): My tu musimy zostać.

ŚWIĘTOCHNA: Ach taki przejmujący chłód wieje od świątyni.

ALINA: Czyśmy nie po to tu przyszły, by go ocalić?

ŚWIĘTOCHNA: Patrzcie jak oczy jej blaskiem zaszły.

MAJA: Jak jej usta drżą od tego słowa.

ELMA: Jakie białe jej czoło.

MILICA (przechyla się ku przepaści): Cyt...

(Dziewczęta kupią się w zbitą gromadkę, obejmując się wzajemnie ramionami. Zachodzące słońce zapala na ich włosach czerwone poblaski. Lekki wiatr igra z konarami dębów, które wydają szklany jęk. Milczenie).

MILICA: Nie trwożcie się. Ja zobaczę.

ELMA: Milico! Milico! nie nachylaj się tak nad krawędzią. W głowie ci się zmąci.

MILICA: Kamienie z pod nóg mi się posypały i tak długo, tak okropnie długo słyszałam łoskot ich spadania. Podajcie mi ręce, ot—tak—silniej—i kiedy się zbytnio przechylę, szarpnijcie ku sobie.

ELMA: Co widzisz?

ALINA: Weź mnie na ręce—proszę—weź mnie na ręce.

MILICA: Cicho... cicho... Widzę Go.

ELMA: Widzisz Go?

MAJA: Czy to tylko On?

ALINA: On... Idzie... Tu, do nas...

MILICA: Stąpa powoli, jakby był bardzo znużony. Cóżto?! Wyminął schody! Wspina się wprost w górę po urwisku. Gałęzi się czepia i kamieni...

ZOCHNA: Nie dojdzie!

ŚWIĘTOCHNA: Stoczy się w przepaść!

MILICA: Drzewa go zakryły. Oczy mnie bolą z wytężenia.

ELMA: Jezus—Marya! Nie przechylaj się tak! Pociągniesz nas za sobą w przepaść. Ja się boję...

ALINA: Weź mnie na ręce, weź... Ja zobaczę.
(Milica bierze ją na ręce).
ŚWIĘTOCHNA: I cóż? cóż?
ALINA: Widzę go, ilekroć wiatr przegnie konary. (Wydaje okrzyk przerażenia).
WSZYSTKIE: Co? Co się stało?!
ALINA: Nic... nic... puśćcie mnie. Nie mogę dłużej...
MILICA: Co się stało? Mów!
ALINA: Potknął się. Myślałam, że spadnie. Serce mi bić przestało. Począł się staczać w dół. Czepił się gałęzi i chwilę wisiał tak w powietrzu nad przepaścią. Potem naprężył się — skoczył, zatrzymał się na odłamie skalnym.
(Nad gajem wschodzi pełny księżyc. Włosy dziewcząt bledną i srebrnieją).
MAJA: Chodźmy do domu. Co ja powiem w domu?
MILICA: Już blizko. Coraz bliżej. Macie kwiaty?
ALINA: Rzuciłam je po drodze. Były to sztuczne, cieplarniane kwiaty.
ELMA: Moje zwiędły. Mam takie gorące dłonie.
MAJA: Niedaleko muszą rosnąć narcyzy. Czuję odurzającą ich woń przywianą wiatrem.
ZOCHNA: Nie rwijcie ich, zaklinam was, nie rwijcie...
MILICA: Boisz się?
ZOCHNA: Boję się narcyzów, rosnących po cmentarzach.
ALINA: Cyt... cyt... przez stopnie powlókł się mdły cień, jakby kłąb dymu przesunął się pod księżycem.
ALINA: Co to? Widzicie?
MILICA: Uspokój się dziecko...
ALINA: Brama się uchyla. (z lękiem) Nie patrzcie tam! Nie... nie...
MILICA: Alino ty drżysz. To księżyc chmurami zaszedł.
ELMA: To tylko księżyc zaszedł chmurami.
MILICA: Ja się boję o ciebie. Pójdziemy?
ALINA: Nie... nie... Elmo! połóż mi dłonie na oczy. Powieki przywrzeć mi się nie mogą. Niech odpoczną moje oczy.
(Dziewczęta cofają się w głąb, wciąż się za ręce trzymając, w gruby cień padający od gaju. Na krawędzi urwiska ukazuje się)
MŁODZIENIEC. (Z rękoma w przód podanemi postępuje kilka kroków, jak we śnie, ku świątyni. Przeciera oczy, ze zdumieniem spogląda na miasto, co się roziskrza powoli światłami wieczornemi. Szepce z miłością bezgraniczną, w której drga żal i tęsknota i uwielbienie i wola niezłomna): Miasto ojców moich... Moje miasto... (Ogląda się niespokojnie. Milczy): Nie jestem tu sam... Trawy kołyszą się jeszcze od lekkich, powiew-

nych stąpań — słyszę wśród liści szepty tłumione i niespokojne serc bicia...

O jasna, przecicha, ostatnia godzino mojej słabości...

Zmierzchowa cisza rozpięła sennie szeleszczące skrzydła nad miastem, oddech jego taki miarowy i spokojny. Zda się, że śpi i przez sen dziecinnie się uśmiecha.

Któż waży się bezlitośnym wichrem halnym wionąć w ciepłe od sennych oddechów izby i komnaty? szumny potok cisnąć między tuczne trzody, pasące się spokojnie pod opieką psa, kiedy pastuchy posną przy wypalonem ognisku?

Wiele, nazbyt wiele spokoju w tem mieście...

Jakże kocham tę ostatnią bojaźń nad przepaścią, tę tęsknotę uśmiechniętą lawiny do zielonych brzegów! Jakże truchleję błogo przed trudem wypełnienia.

MŁODZIENIEC: (wspiera stopę na odłamie powalonego nagrobka).

— Wielkie prochy ojców moich... Jako nasienie rozproszę was na cztery świata strony, i nie padniecie na opokę. I ziemia moja będzie jako łan gorejący, jako ogród purpurowy od płomiennych kwiatów...

Idę już... Wrota świątyni błyskają niespokojnie. Błogosławione jej łono zrzuca nadmiar plonu. T a j e m n i c a w i e l k o ś c i m i n i o n e j staje się jawą.

Lecz ja nie ujrzę ziemi obiecanej. Szczęsne moje oczy, co skrzepną, patrząc w tajemnicę Wnętrza. O tryumfalne obrazy przyszłości, w których wspomnienie zawraca swe nieubłagane koło.

MŁODZIENIEC (śpieszy ku świątyni. Chwyta miedziane uszaki bramy i całym wysiłkiem mięśni stara się ją poruszyć w zawiasach. Daremnie. Uderza piersią, czołem tłucze w głuche podwoje, zmaga się, szarpie, targa. Miedziane łuski nabierają purpurowych blasków od krwi, ściekającej z jego pięści, pokaleczonych w bezsilnem szamotaniu.

Wydaje jęk bezsilny i pada wyczerpany na marmury stopni.

Leży bez ruchu nieżywy z przymkniętemi oczyma.

Wśród gęstwy drzew dają się słyszeć zadyszane szepty dziewcząt. Co chwila smukły cień wychyla się z lasu bojaźliwie i znika w popłochu.

Dziewczęta, trzymając się za ręce, wysuwają się ostrożnie na polanę, oblaną światłem księżyca, obchodzą wielkim kręgiem ciało młodzieńca, oglądając się w trwodze).

ELMA: (szeptem) Uchodźmy stąd! Uciekajmy. Stało się wielkie nieszczęście!

MAJA: Uciekajmy!

MILICA: Mamyż go tak zostawić? Umrze!

ALINA: Krwawa plama płonie na jego czole.

ŚWIĘTOCHNA: Milico! Milico... nie zbliżaj się!
ALINA: (jakby nagle oprzytomniała) Czemu stoicie tak bezczynnie? Ratunku!
MILICA: (dotyka rąk młodzieńca) Oczy ma przymknięte i dłonie zimne.
ALINA: Na Boga! Nie dajmy mu umrzeć!
ZOCHNA: Co począć... co począć...
ELMA: Ja do miasta pobiegnę. Będę wołała!
MILICA: Nie słyszę oddechu... Zanieśmy go na rękach do najbliższego domostwa.
ELMA: Nie, nie! Nie przetrwa tej okropnej drogi.
ZOCHNA: Na ręku nam zginie.
ALINA: Boże... Boże...

(Chwila nieporadnego milczenia).

MILICA: Która z was jeszcze nie kochała?

(Milczenie).

Alino, ty milczysz?
ALINA: Cóż mam uczynić?
MILICA: Połóż się całem ciałem na jego piersi, i oddech swym oddechem wywab mu na usta.
ALINA: (z wyrzutem) Milico...
MILICA: Chcesz, by umarł?
ALINA: (osuwa się bezsilnie na jego piersi i ustami szuka jego ust. Ramiona jej oplatają szyję młodzieńca coraz silniej, namiętniej. Nagle porywa się z ziemi). Westchnął.... (Dlaczego mgłą mi zaszły oczy od tego westchnienia).
ELMA: Ty go całowałaś Alino! Daj mi twe usta, niewinne twe usta daj mi.
ŚWIĘTOCHNA: Chodźmy już... chodźmy... Jakiś ciężki grzech mi dolega.
MILICA: Widzicie tę plamę krwawiącą na jego czole?
ALINA: Czuję oddech narcyzów — biała woń narcyzów napełnia mi piersi. Chodź ze mną, Elmo! będziemy śpiewały... o pomarańczowo-złotych sercach narcyzów mi śpiewaj, bo z gęstwiny dębów cień niepokojący zlewa się na nasze głowy. I księżyca nie ma wśród stuletnich dębów.
ELMA: Podaj mi ręce.
ALINA i ELMA (odchodzą w gaj dębowy śpiewając) Na narcyzów serca krwawo-złote, srebrne perły upadły z księżyca, i przeszyła dreszczem bladolica woń — narcyzów serca krwawo-złote.
MILICA: Szepce przez sen.

ZOCHNA: Jakie słodkie sny mieć musi... Usta jego uśmiechnięte jak usta dziecka.

MILICA: Jakgdyby matka wśpiewywała w jego duszę ukojenie.

ŚWIĘTOCHNA: Cicho... usuńmy się w cień.

MŁODZIENIEC: (podnosi głowę, jakgdyby chwytał z natężeniem przebrzmiewające dźwięki pieśni. Potem dłonie kładzie na marmurach, a na dłoniach czoło).

— Na marmurowych stopniach swoich tronów ginęli rzymscy władcy w purpurowych wieńcach róż więdnących. Tylko szczęku broni nie słyszę, umiłowanego hałasu wojennego, i nie roziskrza oczu moich błyskawicowy blask dźwięczących mieczów. Dziwna pieśń... Jakgdyby ludzie byli niedaleko... Tuż przy mnie. To serca drzew rozmarzonych miesięcznym pocałunkiem kołatają tak głośno, to westchnienia ich dusz i błękitne rozmodlenie nocy. Błogosławię myślom, kiedy rysy ich natrętnych twarzy zacierają się stopniowo w pomroce i kiedy z obliczem pochylonem ku ziemi, niepoznane, milczące odpływają zwolna, i otulone w mgieł płaszcze giną w oddali. Bo zbyt głośne i hałaśliwe ich towarzystwo dla Niej. O! jakże dawno nie rozmawiałem z tobą, moja Duszo! ty podeptana, poniewierana przez ołowianą Myśl i Wolę ponad siły...

Czy pomnisz tę chwilę oddania się i ślubu?
Dziś blizkość twoją wyczuwam — wiecznie niepojęta!

(słychać w oddali śpiew Aliny)

I narcyzów serca krwawo-złote dreszczem woń przeszyła bladolica....

(wstaje i patrzy w stronę dębowego gaju) Poznaję twój głos. Idziesz ku mnie.

Ale ręce moje zaszły krwią i pierś zsiniała od szamotań. Jakże cię przyjmę Pieśni moja? Na marmurowych stopniach płatki purpurowe róż. Bądź pozdrowiona...

(Wchodzi Alina niosąc pęk narcyzów w ręku. Wstępuje w błękitny pas światła księżycowego i cała lśniąca i błękitna dotyka lekko jednym kwiatem zakrwawionego czoła młodzieńca. Biały płatek narcyza przylega do czoła jak gwiazda świetlista i zakrywa ranę. Młodzieniec i Alina patrzą sobie w oczy.

Milczenie.

Wiatr podzwania cicho na liściach dębowych. Roznosi upajającą woń narcyzów i rosy. Marmurowe ściany świątyni pijane bladem, obłędnem światłem nabierają kształtów mistycznych, zaczarowanych, powiewnych, rozpływających się w blaskach. Młodzieniec i Alina stoją naprzeciw siebie nieruchomi, wpatrzeni w siebie w mistycznem upragnieniu. Reszta dziewcząt szepce cicho pośród drzew).

ŚWIĘTOCHNA: Milico!

MILICA: (skłania z rezygnacyą głowę na piersi).

ELMA: Czy mgły wieczorne wzrok mi obłąkały?
ZOCHNA (trwożnie): Alino! Alino!

(Milczenie)

Mój głos zamiera jak w strasznej pustce. Sama nie słyszę swego głosu. Elmo, zawołaj ty.
ELMA: Alino!
MILICA: Elmo, czy ty wołałaś na nią?
ELMA: Kiedy chciałam jej imię wymówić, wydarł się z mej piersi szept zdławiony.
MAJA: Co to jest? Uciekajmy!
MILICA: Światło księżycowe przenika ją na-wskróś jak gazę.
DZIEWCZĘTA: Chodźmy... chodźmy! Serca nam bić przestają.
MILICA: Pocałuję ją w czoło. Może obudzi się z tego snu zgubnego.
ELMA: Nie! nie! Jej imię dźwięk straciło... Chodź... chodź... My nie chcemy umierać...

(Dziewczęta przerażone wyprowadzają ociągającą się Milicę i znikają wśród drzew).

(Milczenie).

MŁODZIENIEC: I tyżeś to do mnie przyszła? Ty do mnie? W cudownej wizyi patrzyłem na ciebie — Nieodgadniona — ale oblicze twoje było mgłą osłonięte, a głos senny i zamierający.

Dlaczego dziś spoglądasz na mnie, jakgdybyś była rzeczywistością? Jeżeli żyjesz, dotknij moich rąk.
ALINA: (ujmuje jego rękę).
MŁODZIENIEC: Ty, której się tyle, ach tyle razy zaparłem, ty wiecznie przebaczająca, zjawiasz mi się teraz jak ostatnie rozełkanie słowików w godzinie mego zachodu. Czy perłę zapomnienia wrzuciłaś w tę błyszczącą czarę, którą mi na białych przynosisz dłoniach, — woniejące zapomnienie wcałować przychodzisz w krwawą ranę na mem czole?
ALINA: Ja ci kwiaty przynoszę, panie...
MŁODZIENIEC: W tem twojem królestwie szelestów i cieni, w tem ciemnem, głuchem uroczysku, pod osłoną powały ruchomej, czy zapragnęła twa biel nieskalana chłodnej rosy księżycowej, i przyszłaś ze śpiewaniem w to miejsce unurzane w blaskach, aby roześnione oczy przemyć rosą?
ALINA: Otom ja służebnica twoja, panie. Przy księżycu tak błogo słuchać z oczyma zamkniętemi dziwnych opowieści... Wówczas myślałam o tobie, panie. I oto stało się wedle myśli mojej...

MŁODZIENIEC: Przy księżycu tak błogo słuchać dziwnych opowieści... Kiedy patrzę na ciebie, zdaje mi się, że duszą całą patrzę w pełny księżyc.

ALINA: Jako księżyc jestem, co się przegląda w wodzie jasnej i głębokiej.

MŁODZIENIEC: Czy chcesz pójść ze mną?
(Pójdź, o pójdź! za rękę cię powiodę w komnaty mojej duszy).

ALINA: Chcę zostać z tobą.
(O, zostań! otworzę ci podwoje mego zaczarowanego królestwa).

MŁODZIENIEC: Spuszczasz oczy i rękę dobrotliwą cofasz z mojej dłoni.

ALINA: Na mnie nikt jeszcze tak nie spoglądał, panie. Płonę pod twojem spojrzeniem. Twój głos cichy i dźwięczny jak szmer potoka w dolinie. Mów do mnie.

MŁODZIENIEC: Pozwól mi milczeć z sobą.

(Od przepaści mgły się podnoszą i otulają zapatrzonych w swe gęste, płynne całuny. Znieruchomiałe w zachwycie ich postacie rozpływają się zwolna w mgłach i nikną).

W GODZINIE MILCZENIA.

— Przygarnę twą złotą głowę do piersi obolałych i pić będę pełnemi usty twój dziewiczy oddech.

— Otrzyj krew swych dłoni o moje złote włosy, i połóż je na powiekach, które ociężały blaskiem bijącym od ciebie.

— I będę ci opowiadał o modlitwie żeglarza do gwiazdy przesłoniętej mgłą.

— I będziesz słuchał opowieści mojej o poczęciu perły.

— Czy nie za wiele cichości w moich przytłumionych słowach?

— Twój głos jak serce rozkołysanego dzwonu uderza w mą duszę. Czyli zrozumiesz powrotne echo dzwonu?

— Podam ci rękę: nie trwoż się.

— Uczułam twoją dłoń w mej dłoni i pewno stąpam.

Matka mi opowiadała cudowną baśń:

Na słonecznej, zielonej wyspie żył piękny królewicz w miłości i dostatkach, lecz usta jego nigdy nie zaznały śmiechu. I próżno go pytał ojciec siwobrody o przyczynę smutku. Daremnie wszystko złoto i klejnoty swego państwa kazał znieść do komnaty królewskiego syna, by ucieszyć i rozweselić jego oczy tęczowym ich blaskiem. Bo królewicz

odtrącił skarby, którymi go otoczono i poszedł milcząc nad brzeg skalisty szumiącego morza.

Więc zatroskał się król siwobrody: Czem ukoję smutek mego syna?

I kazał najpiękniejsze dziewice swego królestwa przywołać na komnaty zamkowe i wybrał z nich cud dziewicę, o warkoczach tak jasnych, jak kaskada złota, i o oczach pogodnych, niby niebo sierpniowe. I przybrawszy ją w biały dyadem z kwiatu pomarańczy, w biały welon tkany w złote gwiazdy, i białe aksamitne trzewiczki, kazał jej w biały wieczór księżycowy czekać u łoża swego syna.

Lecz królewicz odtrącił cud dziewczynę, i poszedł milcząc nad brzeg szumiącego morza.

Wtedy rzekł król siwobrody do służby: Idźcie na wszystkie krańce mojego królestwa. Przywiedźcie mi pieśniarzy i muzyków, a złotem ich obsypię, jeśli ukoją smutek mego syna.

I przyszli jedni z uśmiechem na twarzy i wieńcem dębowym na skroni, inni posępni i zgryźliwi, a innych przywleczono w kajdanach, bo sami iść nie chcieli na królewskie pałace. A kiedy słońce zaszło, kazał im król zanucić najpiękniejszą pieśń pod oknem kolorowem komnaty swego syna.

Lecz królewicz zapłakał na tę pieśń łzami perłowemi i poszedł milcząc nad brzeg szumiącego morza. I patrząc długo w tajemnicze tonie, ujrzał nagle bladem światłem nie z tej ziemi upowite dno. Wtedy uśmiechnął się po raz pierwszy — i rzucił się w otchłań.

Na tęczowej rozchylonej muszli wyśniona królewna przyjęła go z bijącem sercem w rozwarte ramiona, i wpiła się całą słodyczą swych wilgotnych warg w jego chłodniejące usta. I wielka, migotliwa perła stoczyła się z ust stopionych w pocałunku w rozchylone skrzydła muszli.

Matka mi opowiadała cudowną baśń o urodzeniu perły. Czy ją kiedy znajdę?

— Spojrzałem w świetlice twej duszy i oczy zmrużyłem od olśniewającej jasności.

— To twoje jasne spojrzenia taką jasną czynią moją duszę. Drżę jak dziewczyna, kiedy naga z kąpieli wyjdzie na murawę i nagle poczuje na sobie palący, rozkochany wzrok.

— Czy chcesz pójść ze mną?

— Twoje słowa dla mnie ciemne i nieodgadnione.

— Twoja dusza płonie w moich dłoniach siedmioma barwami dyamentu, i podnoszę ją w górę jak hostyę przenajświętszą. Czuję kapłaństwo swoich rąk.

— Twoje słowa dla mnie ciemne i nieodgadnione.

— Zabłąkanemu żeglarzowi wśród odmętów morza i pomroki zapłonęła gwiazda przez szczeliny chmur. I w chwili dziękczynnego uniesienia ujrzał pod zbawczą gwiazdą uśmiechniętą, ukochaną głowę. A wyraz jej był przystań — i milczenie. I zdało mu się, że cichy to jej i miłosny uśmiech sieje ten blask upragniony w jego mętne oczy i srebrną drogę wyściela do zielonych brzegów. Wtedy modlić się począł do tej nikłej, objawionej postaci z koroną gwiezdną na czole, i uczył dziecię swe modlitwy: Gwiazdo morza...
A kiedy dziecko urosło, urosły z niem razem owe dziwne, niczem nieukojone pożądania mórz nigdy wiosłem nie prutych i nigdy nie deptanych brzegów. Wtedy mu się ta gwiazda symbolem stała wszystkich jego tęsknot cichych, omglonych, rozwiewnych, których imienia nie znał ni oblicza, a które nadewszystko umiłował. I począł mówić: Moje gwiezdne tęsknoty...

— Uchyliły się podwoje twojego królestwa i czuję wilgotną woń morskich otchłani.

— Czy chcesz pójść ze mną?

— Chcę zostać z tobą...

(Mgły wznoszą się zwolna i odsłaniają widok).

ALINA: (jakby nagle przebudzona ogląda się z niepokojem) Co mi się stało? Co to jest? Skąd wracam? (wydaje okrzyk twogi).

MŁODZIENIEC: (przeciera sennie czoło; biały płatek narcyza opada na ziemię, kołysząc się leniwo w cichem powietrzu, jak motyl zamierający. Krwawa rana zakwita znów zakrzepłym blaskiem). Dlaczego drżysz tak bojaźliwie? za czem tak niespokojnie wypatrujesz oczy?

ALINA: Tędy ktoś przeszedł! Ktoś stanął między nami! Patrz — patrz! trawa ścieżką się usłała ku świątyni, jak pod niewidzialnymi krokami. Niedeptana trawa ścieżką się ściele.

MŁODZIENIEC: Wiatr wieczorny się obudził i poruszył trawę.

ALINA: Ty nic nie słyszysz? nic? To ponure rozjęczenie dzwonu...

MŁODZIENIEC: Dlaczego się lękasz? To ociężałe rosą drzew konary zadzwoniły o spiż.

ALINA: Tam ktoś woła... Stamtąd, z wnętrza ktoś mnie woła! Chcą mnie odedrzeć od ciebie! Broń mnie przed nimi, o! nie daj mnie, nie daj! Zewsząd groźny, rozkazujący głos! (W panicznym strachu) Groby przemówiły!

MŁODZIENIEC: Ten głos? (ukrywa twarz w dłoniach. Po chwili odejmuje ręce, i wzrok jego pada na ciemne stygmaty, którymi zabarwiły się dłonie od rany na czole. Na jego twarzy maluje się męcząca praca myśli). Wiję się boleśnie w uścisku żelaznych, niewidzialnych ramion i darmo się wysilam, aby przypomnieć sobie coś, na czem Wszystko uwisło. Więc groby odzyskały mowę? (nagle przytomniejąc) A!... (Spogląda na Alinę wzrokiem czułym i stroskanym:) Czy ci nie żal słów tych niepowetowanych? Czy ci nie żal? Już idę... idę... Tylko zejdź z tej smugi błękitnej, bo wzroku nie mogę odedrzeć od twej jasności, tylko odrzuć, ach, odrzuć te cmentarne kwiaty, bo woń ich myśli moje gmatwa...

ALINA: (patrząc nań w najwyższem zdumieniu) Rośniesz mi w oczach, oblicze twe jaśnieje, oddalasz się odemnie... Już ty nie ten.!. nie ten sam... (z głębokim smutkiem) Mam rzucić kwiaty, poświęcone tobie? (rzuca kwiaty w odrzwia tumu, które wstrząsają się krótkim dreszczem, dźwięcząc głęboko, metalicznie, jak dzwon podziemny, i rozchylają się zwolna, nieznacznie).

MŁODZIENIEC (z wybuchem): Moje wrota! wrota moje zadrżały. (Rzuca się ku świątyni, waha się, staje bezradny, spogląda litościwie na Alinę) Żegnaj mi. Rzucam cię jak grot stępiony, co ugodził celnie. Moje wrota drżą. Błogosławię ci, odchodząc.

ALINA: Chcesz mnie rzucić? Chcesz tam iść? Nie! nie, na Boga! Co ja uczyniłam nieszczęsna? (Rzuca się mu na szyję i zamyka w uścisku desperackim). Patrz, jam twoja, cała twoja, tylko nie idź tam, zaklinam cię na nasz sen cudowny, zostań!

MŁODZIENIEC: (odpycha ją łagodnie) Czyli wskrzesiwszy, chcesz zabić na nowo?

ALINA (przerywając): O! wysłuchaj mnie, zanim pójdziesz, zanim odtrącisz mnie od swych kolan! Tam śmierć czyha na ciebie w tych zamarłych sklepieniach, tam blada śmierć się niecierpliwi! Widzę już jak wyciąga ramiona...

MŁODZIENIEC: (uśmiecha się dobrotliwie) Mamże się bać swego przeznaczenia? Czyli nie pojmiesz tego nigdy, że dla wszystkiego nadchodzi chwila, kiedy się staje zbędnem? Czyż wówczas kres nie jest łaską?

ALINA (odsuwa się odeń i szepce żałosnem echem): Wiem, że stałam ci się zbędną...

MŁODZIENIEC (zwracając ku świątyni twarz rozjaśnioną szczęściem): I ty się smucisz? Patrz: oto uchyla się Tajemnica Wnętrza: tajemnica wielkości minionej. Miłość nasza podźwignie ją z martwych. Czy widzisz wrota lekko uchylone? Swojem ciałem je zatrzymam

i będą odtąd otworem stały, świadcząc przyszłym pokoleniom. Na śnie kamiennym mego ciała oprą się miedziane skrzydła, ale dusza moja krzyżem legnie u stóp twoich, wiedząc, co ci winna. Czuję wiosenne drżenia na ziemi grobowców i zwalisk...

ALINA: Gdybym mogła pojąć los złowrogi, co cię gna odemnie ku umarłym...

MŁODZIENIEC (szeptem — jakby do siebie): Gdyby ci się mógł objawić... Ale nie... nie... (Gładzi po ojcowsku jej włosy) Twoja dusza jak motyl biały, zabłąkany ponad wielką tonią. Dziecko ty moje, trzepocące się bezradnie... A tu skądsiś, hen, z oddali, morskie zawiewają zapachy, widzę łodzie z wzdętymi żaglami, jak płuca pełne radości, gotujące się do krzyku. Czas dojrzewa. Oto chwila jeszcze, a z uśmiechem będziesz powtarzała: co to tajemnica? co świątynia? co cud?... ale wówczas już nikogo o nic pytać nie będziesz. I godziż się żałobę po mnie wdziewać?

ALINA: Patrzę na ciebie, jak w świętość. Jużem cicha. Już nie płaczę. Patrz: już się uśmiecham do twoich słów ubezwładniających. Bez skargi odejdę z rękoma złożonemi na piersiach unosząc w oczach promienny twój obraz. Tylko o jedno cię proszę: swoje imię daj mi na drogę, nie skąp mi swego imienia, niechże się nie błąkam po omacku. O jałmużnę twego imienia cię błagam...

MŁODZIENIEC: Imię moje?... imię...

ALINA: Bez niego wszystkie modlitwy moje i westchnienia będą puste i zbłąkane. Miej litość nademną: nie wytrącaj mi z rąk tej ostatniej poręczy...

MŁODZIENIEC: Na wargach mych cięży słowo zimne i bolesne... Chciałabyś zdjąć to brzemię z moich warg?

ALINA: Przysięgam, że to uczynię.

MŁODZIENIEC: Na ustach ci wypalę swoje imię, jako znamię niezmazalne. Pomiędzy ojców i braci pójdziesz, i bez opamiętania wołać je będziesz, i świadczyć będziesz na wieki temu imieniu i tej Tajemnicy Wnętrza.

(Przeciera czoło zakrwawione ręką i dotyka nią ust Aliny. Potem pewnym krokiem spieszy ku świątyni).

Bądź błogosławiona, która wierzysz.

ALINA: Kamieniem zaciążyło mi Słowo. Usta moje łamią się w daremnym wysiłku, nie mogę zrzucić tego gniotącego ciężaru... Ach! Głos utkwił mi w gardle i dławi mnie! (Pasuje się z sobą chwilę w bolesnem milczeniu, słania się, zatacza, wydaje rozpaczliwy okrzyk trwogi): Boże! Boże! To Słowo mnie zabija! (rzuca się ku świątyni)

O! zostań! zostań! Zdejmij to brzemię nad siły! Odsłoń prawdę! Przemów!

MŁODZIENIEC (odchyla szeroko podwoje).

(Odsłania się wnętrze świątyni. Przez pęknięcia i szerokie szczeliny sypiącego się w proch stropu, między zwisające wolno belki i strzępy sklepienia, spływają jasne smugi księżyca, oświetlając jaskrawo zniszczenie. Ściany nagie, ponure, pozaciekane wilgocią, błyszczące siklawami wody. W podłodze wyrwy głębokie, gruz i rumowisko).

MŁODZIENIEC (chwyta się za głowę, cofa się w panicznym popłochu wstecz, trzepoce rękoma, jak tonący. Nagle zawraca, chce biedz, wyciąga ramiona ku Alinie, kolana uginają się pod nim, wydaje przeraźliwy okrzyk, pada martwy.

Odrzwia przywierają się powoli, dźwięcząc głęboko, metalicznie, jak dzwon podziemny, zatrzymują się półotworem na jego ciele. Chwilę drżą lekko, i nieruchomieją w swym miedzianym majestacie. Pierwszy świt rozjaśnia niebo).

ALINA: (biegnie nieprzytomnie ku świątyni, zawraca bezradnie, chwyta linę, zwisającą u dzwonnicy i szarpie ją całym wysiłkiem słabnącego ciała. Dzwon wydaje trzykrotnie ponure, poważne brzmienie. Alina cofa się z trwogą). Dźwięki... dźwięki... zewsząd dźwięki... W głowie nawałnica dźwięków!... Groby się ruszają... wstają zmarli... O! (przesłania oburącz oczy. Biegnie na oślep ku stopniom marmurowym, wiodącym w dolinę. Zatacza się, omal nie spada w przepaść. Z obłąkanem wytężeniem wpatruje się w dal). Tam... tam... co to jest? W mieście światła zapalają! Co znaczy ten gwar groźny? Oni tu przyjdą... wszyscy tu przyjdą... Każą mi mówić... przeklinać będą... bić!... Nie! nie! Nie tykajcie mnie! Co tak patrzycie na mnie, jak na umarłą i potępioną?! Ja chcę żyć! żyć!... Precz odemnie... precz!... (ogląda się niespokojnie). Siostry moje! gdzie moje siostry? (woła z trwogą) Milico! Elmo!

(Cisza. Słychać tylko echo jej głosu i konające pobrzmienia rozkołysanego dzwonu).

ALINA (z rosnącem przerażeniem): Milico!

(Cisza).

(Nagle rozbrzmiewa potężny chór dzwonów miejskich na trwogę).

Lwów 1900. *STAMIR.*

Śladem stopy antycznej.

W ŚWIATA TAJNĄ ZAWIŁOŚĆ PATRZĄCYM...

W świata tajną zawiłość patrzącym dwom życia pielgrzymom,
Często zbyt pytającym: CZEMU? — rozbłysła zagadka
W ziemi rodzącej włoskie wino i greckie posągi,
Którym złe zapomnienie, pod darń je kryjąc zieloną,
Było łaskawsze, niż pamięć ludzka, kradnąca święcone
Pięknem głazy dla swoich domostw codziennych na ciosy.
Pomnisz, druhu, przechadzkę po rzymskiej drodze grobowców,
Gdyśmy, czuciom bezsłownym w słów niedołężnych potoku
Ujście dając, mijali ciemne pomników zwaliska?
Czar przyrody i sztuka, w zbożnem chłonione zdumieniu
W ziemi cudów, odpowiedź dały nam, każąc wyznawać
Piękno, co jest nadmiarem, bo darząc pełnią upojną
Trwa niezmienne, — choć stare, nie starzejące się nigdy;
Usprawiedliwień zaś życia szuka li brak niespokojny...
Podziw piękna to wdzięczność, a wdzięczność kropla przelewna
Z serca płynąca, co siebie w sobie pomieścić nie zdoła...
Podziw Tajnię uświęca, bo z piersi ssie tajemnicy...
Czyliż wdzięczny kochance usprawiedliwia kochankę?
Niepokoiż pragnących, dlaczego studnia na drodze?
Albo owoc głodnego, gdy z drzewa do stóp mu padnie?...
Jeśli człowiek z Nicości, czyż niedość, że dane mu nad nią,
Choć na chwilę ulotną, piękno, zdziwienie i zachwyt? — —
— Takie snuliśmy słowa niemądre — mądrej wdzięczności.
Lecz równoczesny u obu uśmiech u warg pobłażliwy
Przerwał słowa bez związku, jak dzieciom zbyt pustą zabawę...
...Księżyc wschodził na niebie, jak dysk złocisty efeba,

Słodko woniała melisa, cykady grały wśród trawy,
Cicho wznosiły się w niebo ciemne, pobożne cyprysy,
Jak modlitwy wieczorne przy dzwonów dźwięku poważnym...
Dusze stawały się piękne, jak róże na Palatynie,
Spływające po rdzawych murach żyjącą kaskadą...
Spała w milczeniu Kampania, umarła lecz nieśmiertelna,
Z akweduktami myśl biegła w góry albańskie, nad morze...
...Długo poił nam dusze urok wieczornej przechadzki:
Noc dopiero nas późna w przydrożnej gospody altanie,
Zbitej z prętów i liściem wina obrosłej, gościła
Cnym napojem tłoczonym z mętnych opali winogron,
Które niegdyś pod bielmem naskórka tęgi sok kryły,
Tajne jasnowidzenie z ognia i rosy, upojność
W chłodzie dojrzałą srebrzystym nocy miesięcznych i bladych
I pod żarem słonecznym skwarnych, złocistych południ...
Boski ogień rozkoszy w członki nam wnikał strudzone,
Ciepły wietrzyk nam skronie cichym opieszczał powiewem,
Sny i myśli pod niebo lekkim wzbijały się ptakiem,
Dobra słodycz i spokój w piersi spływały z bezkresów...
A nad głowy naszemi jaśniał gwiazdami Wóz Wielki,
Wiecznie gotów do jazdy w światy Marzenia i Piękna.

RZECZ MA KAŻDA SWĄ PORĘ...

Rzecz ma każda swą porę. Inna podaje nam wino,
Inna sprzyja miłosnym uściskom i pocałunkom.
Zdala dziś wieczór ostawim puhary płynem złociste
I wykluczym z zebrania kobiet ponętną urodę,
Bowiem pieśniarz nam będzie nowe opiewał zapasy
Mężów w sile najpierwszych, w biegu i w dysków rzucaniu.
Potem — sami młodzieńce — przejdziem w kolumien dziedziniec,
Kędy białe marmury przeplata mirtów zieloność,
By rozmowy pochwalne wieść o dzielności i sławie,
W słowach prostych i pięknych, jak ramię męża nagiego.
Gdy miesiąca róg błyśnie zaczniem się schodzić powoli:
Każdy, próg przestępując, głowę pochyli kędziorną
Pod gałęzią wawrzynu, nisko nad drzwiami wiszącą.

ŚNIEG ZASKOCZYŁ MNIE W GÓRACH...

Śnieg zaskoczył mnie w górach, wędrującego po szczytach,
Śnieg lipcowy, i oczy olśnił mi cudnem zdziwieniem:
Bielą kwitły granity, jak sad skamieniały, bajeczny;
Mleczne, huczne potoki, co śniegom białość swą kradną,
Grzmiały skacząc po głazach, w pian rozbijając się bryzgi...
Nagle wichrem przywiana mgła pląsająca, taneczna,
Opalową zasłoną wszystko zakryła źrenicom,
Jeno blade zarysy ostrych wierzchołków majaczą:
Gór już niema, ni dolin: wszystko jedynie się zdaje...
W szczyt mnie górny rwał popęd, nad mgły i chmury włóczęgi,
Żądza szału drapieżna pierś rozsadzała mi dziko:
Żyć, ach, żyć bezlitośnie i tak niewinnie, jak przepaść,
Wicher, woda a serce szerokie mieć, jak widnokrąg
I wśród grozy upojnej, jak bratobójstwo w kościele,
Wszechświat cały czuć świętym, pięknym, jak zmysły człowieka!...
...Zachód czysty nad morzem śniegów mnie witał na szczycie,
Z piersi śpiew mi miłości, śpiew mi swobody popłynął,
Jak krew stary odwiecznie i jak krew młody wieczyście...
Złote były me myśli, jak szczyty w słońca zachodzie,
A podemną zielone, niestarzejące się stawy
Spały w dole głębokie, ciche, jak serca szczęśliwych...

HOŁD POPIOŁOM TWYM, PIĘKNA...

Hołd popiołom twym, Piękna, która mieszkałaś w tych murach
Przed wiekami i dziką rozkosz miłości wzbronionej
Dumną śmiercią spłaciłaś z kata zemściwej prawicy,
Wiedząc, że chociaż jest miłość nieszczęsna, niema występnej. —
Czas i zmienne niebiosa przegryzły twarde sklepienie
Starych murów zamczyska, w gruzach śpiącego czcigodnie.
Miast księżniczki tu dzisiaj brzoza rozplata warkocze
A w komnatach mieszkają zielone, bujne ogrody,
Piękne, jako jej zmarłe sny o miłości i szczęściu...
Nic nie mówi już dzisiaj o pysze igrzysk i biesiad,
Ni o szczęku orężnym, który napełniał te mury,
Ni o nocach męczeństwa więzionej w ciemnem podziemiu,
Gdzie śmierć silna złożyła słabe jej członki na pochów.
W smętnej pogodzie wieczoru, pod niebem lipca bezchmurnem,

Spokój wielki i cisza przebaczająca wszystkiemu...
Jeno krasna kalina, na ruin szczycie najwyższym,
Wznosi w niebo błękitne jagód czerwonych korale,
Jak krwi krople przelane w najgłębszym z lochów piwnicznych,
Świadcząc przeciw wieczystej krzywdzie miłości bez szczęścia...

WIECZÓR BYŁ CICHY I SŁODKI...

Wieczór był cichy i słodki, gdyśmy — czy pomnisz, o miła? —
Depcąc traw niekoszonych długie, pokładne łodygi,
Stopą wolną kroczyli, milcząc, wśród świerszczy ćwierkania.
Niebo, w którem zmierzch złoto na ametysty przetapiał,
Było jak dusz naszych pole, na którem w trwożnym omroku
Kwitnąć zdały się cicho srebrzyste kwiaty marzenia.
Jakiś lęk tajemniczy serca przenikał nam skrycie,
Że od drogi początku słowa nie rzekliśmy zgoła,
Jakby ust naszych tchnienie mogło być szronu zawiewem,
Który mrozi pąkowie pierwszych dni kwietnia zmiennego.
Jednak była to chwila, ta jedna losem zdarzona,
Gdy się wszystko stać może duszom, co wyrzec się ważą
Szczęściu słowo zaklęcia, sen zmieniające na jawę.
W losu tajne źrenice spojrzeć nie mieliśmy siły...
Przeszła chwila wybrana, która raz drugi nie wraca...
Wszystko, wszystko zamarło i nie ożyje już więcej. — —
Kwieciu, które rąk naszych, aby je zerwać, wzywało,
Daliśmy płocho przekwitnąć i opaść płatkom upojnym,
Choć w ów wieczór przedziwny — pomnisz, czy pomnisz o miła? —
Niebo kłoniło się samo ku naszym duszom tęskniącym,
Dłoniom, kośby spragnionym, podając sierp księżycowy...

W CISZY DŁUGIEJ ROZŁĄKI...

W ciszy długiej rozłąki, w pustelnem swojem odludziu
Snując pamięć miłości, witałem codzień o zmierzchu
Białe twoje gołębie, które z samotnej komnaty
Słała sercu mojemu twa wiernie czujna tęsknota,
Aby skrzydły miękkiemi lekko tykały me czoło,
Jako palce twe ciche ongi czyniły w pieszczocie.
Wdzięczny dłoniom twym białym, w porze wieczornych wspominań
Pierścień kułem ci złoty codzień i gwiazdą z turkusów
W kształt niezabudki zdobiłem: błękitnym kwiatem pamięci,

Który niosły do ciebie twoje powrotne gołębie
A na palec ci we śnie kładł nocny sen mój o tobie. —
Nie zna serce przyszłości, nie przeczuwając odmiany,
Którą Jutro przynosi poddane dni konieczności...
Czas pracowity, cierpliwy sprawił, co stać się musiało:
Serca bezsenną tęsknotę uśpiło serca znużenie.
...Wczoraj nocą wróciły twoje gołębie do ciebie,
Posły pierwszy raz znaku nie przynoszące odemnie,
Zapukały w twe okno nie mając w dziobie pierścienia. —
Nagłą wiedzą przejęta, której stwierdzenia nie trzeba,
Stałaś długo przy oknie piękna, milcząca i dumna.
Gwiazdy ci pierwszy raz zimne i obojętne się zdały,
Dal, otwarta tęsknotom, jak drzwi zaparte na zawsze...
Potem wszystkie pierścienie, liczne jak doby rozstania,
Z skrzyń dobywszy, gdzie twoja pamięć je skrzętnie chowała,
Bez wyrzutu, bez szeptu, blada, wyniosła, surowa,
Kładłaś zwolna po jednym każdemu ptakowi na szyję,
Wyprawiając je do mnie raz jeszcze — w drogę ostatnią.

CHOĆ SZKARŁATNE MI WINO...

Choć szkarłatne mi wino w jasnym podaje krysztale
Dłoń twa, piękna wciąż jeszcze, jak w alabastrze wykuta,
Już nie mogę dziś w sobie odnaleźć dreszczu dawnego,
Co mi w wina czerwieni czerwień ust kazał czuć twoich
I drżeć wargą i dłonią przy twojej szaty dotknięciu.
Nie spieszyłaś za skrzydła w porę uchwycić ulotnej
Chwili chwil, z których siewu lata powstają drapieżne,
Wrogie wszelkiej piękności, jak sępy łup ścigające.
Dzisiaj, siedząc przy tobie, patrzę przez okno na niebo,
Co mi oczy poznanej wczora wspomina dziewczyny,
A promienie słoneczne — jej włosów przędzę jedwabną:
Że aż uszedł mych oczu niebacznych twój wizerunek,
Który, mając mnie witać, w tej zawiesiłaś komnacie,
By mi czasy przypomniał, gdym ongiś sztuki natchnieniem
Zaklął w płótno zwierzenia serca i duszy tęsknotę.
Z oczu prawdę mi zgadłaś. I nad wrześniowe smętniejsza
Róże, wstałaś ciemnemi fałdami szat opłynięta
I w przechodzie, mimochcąc, kruż z krwawem winem rozlawszy,
Niemo chwilę najwyższej swojej żegnałaś piękności,
Zapuszczając na obraz ciężką, szkarłatną zasłonę...

SERCE MIŁOŚĆ ZNAJĄCE...

Serce miłość znające, wiedzą rozkoszy zgorzkniałe,
Strute męką pożądań, pragnień ziszczeniem zwiedzione,
Z tęsknym smętku uśmiechem w lata powraca chłopięce,
Kiedy piersi, nietknięte piersi kobiecej pieszczotą,
W nieświadomej tęsknocie boskim, najpierwszym porywem
Świętej żądzy leciały w tajne rozkoszy przeczucia,
Których czarom zawrotnym żadne nie zrówna spełnienie.
O, śmiech złoty nadmiaru, nagły, lubieżny, szczęśliwy,
Jak miecz ostry i krótki, gdy ciało jędrne i nagie,
Białe w słońcu, z modremi żeber młodzieńczych cieniami,
Z letniej spieki skakało w chłodny nurt rzeki śródleśnej
I zielone pod wodą, w swawolnej z prądem przekorze,
Smukłych członków przegibność w płynnym pieściło żywiole,
Jako miłość głębokim, jak miłość też nieuchwytnym.
Aż znużone igraszką, fal całunkami ochłódłe,
Wypływało wilgotne na brzeg zielony, gdzie łabędź
Oswojony, śnieżysty czekał i szyją swą mleczną,
Niby białem, pieściwie miękkiem ramieniem kobiecem,
Słodko, cicho oplatał ciało młodego pływaka,
Drżące dreszczem mdlejącym przeczuwanego zachwytu...

LEOPOLD STAFF.

Rondo.

Poszli na boje słoneczni rycerze.
Z hełmów ich dumne powiewają kity,
W mgły ich przestrzenne spowija bezbrzeże —
A tam, gdzieś w dali kraj cudów ukryty
Snom ich swe tęcze kładzie na puklerze.

Słońcu w ognistej ponieśli ofierze
Serc swych porywy cudowne, jak myty
Dziedzin w błękitnym wiszących eterze,
W duszach znak mając wybrańców wyryty.
Poszli...

Marą snów wielkich wiedzeni szermierze
Idą, a w dole duch ziemi pobity
Tchem własnych nizin, próżno ku nim w szczyty
Pręży ramiona których niemoc strzeże —
A oni w słońca rozwarte odźwierze
Poszli....

* * *

Wernyhora.

Fragment rapsodu

[I.]

Koń osiodłany, koń skrzydlaty
już czeka mnie u wrót
[. . . . .]

[II.]

Puść mnie ty moja żono,
puszczajcie moje dzieci,
bo dzwon wawelski dzwoni,
bo pełnią ku mnie leci.
[. . . . .]

[III.]

Po nocy wszedłem do kaplicy
katedry świętego Wacława
i wziąłem na się ze skarbnicy
płaszcz króla Stanisława,
gdzie haftowani są srebrni orlicy
a gronostajowa oprawa.
Gdym stąpał mury tą tętniły mową:
przynosisz Słowo nam, bierz nasze Słowo.

[IV]

Były tam śpiące wojewody
i rycerze, hetmanowie i króle
a przydawały im urody
zaryte w twarzach bóle.

Takież to były te ich gody
spoczynku, snu w tej kopule.
Widziałem jako są w uwięzi dusze
i zakrzyknąłem trzykroć „więzy skruszę“!

[V.]

— Hej Sen wasz, długi sen skończony,
hej koń mój, rumak biały ubrany czeka
i jak wichr mię szalony poniesie.
— Hej wy tu śpiący monarchowie,
hej wiara, hej mieczowi panowie
czas powołać wielkie przysłowie powstańcze
— za oręże, do zbroji, do korda
na koń, hej do walki, hej horda,
na bój!

[VI]

Z tej akordów ducha harmonice
ja was porwę muzyką za włosy,
między gwiazdy cisnę latawice
na olbrzymie przestrzenne niebiosy
i uczynię z was skrzące księżyce,
że z mem słońcem zwiążecie swe Losy,
wirujący około mej dusze! —
[. . . . .]

1900. *STANISŁAW WYSPIAŃSKI.*

Fragment ten z teki pośmiertnej autora otrzymaliśmy od Dra A. Chmiela. To, co pochodzi od wydawcy, ujęte jest w nawias [ ]. W rękopisie każda strofa (oznaczona tu cyfrą rzymską) pisana jest na osobnej kartce.

Słowacki w okresie mistycyzmu.

Rzecz o duszy poety.

(Wyjątek z większej całości).

— — — — — — — — — — — — —

Prawda wewnętrzna jest cechą dzieł jego w tej epoce. — —

— — — — — — — — — — — — —

Tej wewnętrznej prawdy brakowało Słowackiemu zbyt często w jego dawniejszych utworach. Był on narzędziem czułem, dającem dźwięk pod palcem wrażeń zewnętrznych, ale wrażenia te trącały lutnię — nie serce. Był on jak harfa eolska dźwięcząca w wietrze, ale wiatr szedł z zewnątrz; — był jak źwierciadło, nietylko wprawdzie odbijające obrazy, ale zabarwiające je świetnie — lecz zawsze był tylko źwierciadłem. Uczuciu jego brakło głębi. „Kościołem bez Boga“ nazwał go Mickiewicz, — „granit rzucić pod tęcze“ radził mu Krasiński. I on sam był tego świadomy. Kiedy mówi o swojej poezyi w Beniowskim:

„Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy —
Chciałem żeby się spalił — i nic więcej! —“

to można to wziąć za przekorną dumę w odpowiedzi na zarzuty, któremi go obrzucano śladem Mickiewicza. Ale w późniejszym okresie znajdujemy wyznania szczere i otwarte. A nie jest to zaślepiona niesprawiedliwość fanatycznego mistyka wobec swojej własnej przeszłości. Wynurzenia młodzieńczych jeszcze czasów dość jasno mówią bacznemu uchu o tej dusznej chorobie. W „Godzinie myśli“ wyznając ów stan duszy, tłómaczy go poeta złamaniem serca pierwszą, nieodwzajemnioną miłością:

Serce jak kryształ w setne poryło się skazy
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie:
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby,

I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga.
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga.
On w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny.

Utwory o najbardziej nawet uczuciowym podkładzie noszą na sobie znamiona raczej tego wczucia się poetyckiego, którego narzędziem nie jest serce, lecz wyobraźnia. Kunszt poetycki rodzi klasyczny poemat bolu — „Ojca Zadżumionych“. Drugie arcydzieło — klasyczny poemat miłości, „W Szwajcaryi“, wydaje się być zrodzonym z miłości i tak bywa zawsze genetycznie tłómaczony. Całkiem fałszywie! Tu jest coś więcej niezawodnie jak kunszt, ale uczucie płynie z ócz, nie z serca. To nie jest poemat miłości, tylko jej sceneryi — i dla niej stwarza poeta kochankę — której... nie było! Wyborną interpretacyę tego nastroju daje Syberyna w fragmencie dramatu „Krakus“:

Czy my jesteśmy ojcze, w jakich stronach
Zaczarowanych?... Pokaż mi istotę
Którą ja kochać mam — bo już się kocham.
Już zakochałam się ojcze, w kolorach,
W ciepłem powietrzu, co powiewa wonne
I księżycowi chłód odbiera z twarzy...

Cóż mówić o innych dziełach tych wcześniejszych epok twórczości? Jak były przeważnie „literaturą“, tak pchnięcie do nich wychodziło zwykle z literatury. Poeta nie czuł potrzeby wyrzucenia czegoś z siebie, czuł tylko potrzebę kolorowania, oświecania barwnego wszystkiego, czego się dotknął. Miał nadzwyczajną zdolność „odczuwania“; co odczuł — to brał za swoje i omotywał swojemi tęczami. Taka zdolność „odczuwania“ bardzo często ujawnia się u ludzi, mających małą zdolność „czucia“. Głęboki, prawdziwy obraz tej psychiki, w której każde uczucie traci bezpośredniość, stając się przedmiotem samoobserwacyi, w której to samoobserwacyi dusza jak gdyby oddala się od uczucia dla zyskania perspektywy, daje poeta w „Godzinie myśli“. Wydaje mu się, że takie ukształcenie duszy jest świadomym i samowolnym aktem samoobrony od rozpaczy. Jest to złudzenie. Ale nie chodzi o tłómaczenie powodów, lecz o samo stwierdzenie stanu.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło,
Dziwnem wynalezieniem cierpiącego życia.
On przed sobą przyszłości postawił źwierciadło,
I rzucał w nie obecne chwile — i z odbicia
Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą
Obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą

Śmiech nieraz słyszał, wspomnień powtórzony echem,
Smutny i połamany przyszłością niepewną;
I na wesołą chwilę twarzą patrzał rzewną,
A nieszczęście przyjmował pół-smutnym uśmiechem,
Patrząc na nie z przyszłości. — Był to wzrok wędrowca,
Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca
I ztamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Typowa psychika marzycieli! Chwila obecna dla nich nie istnieje. A odsuwając ją jako obraz w przyszłość, w obrazie tym lokują i siebie, aby się sobie można przyjrzeć. W tym typie leży nieodmiennie spora doza egotyzmu.

Taki stan duszy, wedle Słowackiego rzekomo jej wynalazek dla obrony przed bolem, owszem ból rodzi. Nie żyje się szczęśliwie w krainie cieni — wyznał niegdyś w Hadesie Odyssowi Achilles, — w krainie gdzie ból nie jest bolem, radość radością, ale powieścią o radości i bolu. Kraina ta, to samotnia wielka, bo niemasz w niej prawdziwego dusz spotkania; nikt nam w nią towarzyszyć nie może. Ztąd te wiecznie niespełnione westchnienia marzycieli za siostrzanemi duszami, wieczna skarga na „niezrozumienie". Samotność, niezrozumienie, podsyca egotyzm. Pycha wykłada sobie to niezrozumienie wyższością ponad tłum, — a bolesna klątwa odosobnienia przybiera pozór zaszczytnego stygmatu wielkości. I w tem poczuciu leży pewna dumna pociecha. Ale ona nie zdoła zapełnić wewnętrznej pustki. Samotność tylko wtedy jest znośną, kiedy duch jest tak bogaty, że sam sobie starczy za towarzysza. Samo kolorowanie świata, przyglądanie mu się przez barwne szkiełka, zostawia uczucie czczości. Na palecie poety leży nieodzownie uczucie; jeżeli go duch twórcy nie ma w sobie, podrabia je i cierpi czczość już nietylko jako człowiek, ale jako artysta. Radby zaboleć, aby módz prawdę tworzyć. Słowackiemu uczucie to dobrze jest znane. W „Grobie Agamemnona" skarży się na przymus swego poetyckiego kunsztu

Tak więc — to los mój, na grobowcach siadać,
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych!...

Szukać smutków, szukać wzruszeń twórczych, bo ten cierń smutku tkwiący wiecznie w duszy, to był niepłodny ból serdecznej pustki. Podróże miały mu te wrażenia przynieść; było to szukanie miejsc „na smutek łaskawych", jak mówi w cudownym wierszu „Smutno mi Boże", szczerym do głębi, bo oddającym właśnie smutek beztreściowy. Ale zmienianie miejsca przynosiło tylko wrażenia zewnętrzne, nie leczyło wewnętrznej samotności duszy.

Bo i tu, i tam na ziemi, i wszędzie
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Wszędzie mi smutno i wszędzie mi jedno
I wszędzie mi źle — i wiem że źle będzie!...

Chwilowe miłostki, raczej zapędy ku miłości, były jakby niepewnem pytaniem czy nie tu możnaby znaleźć ukojenie. Miłości nie zaznał nigdy; jak cały żył w krainie cieni, tak kochał tylko cień: wspomnienie kochanki pierwszych dni. W ostatniej chwili cofał się zawsze z lękiem, jak ktoś, kto przez omyłkę chciał uchwycić w gorącym uścisku dłoń nieznajomą. Nieznajomą była bowiem jego dusza na tym świecie.

Jeśli z tem wszystkiem ton pessymistyczny, ton zniechęcenia, jest u Słowackiego względnie rzadkim, to pochodzi to z pewnego rozdwojenia tej natury. Najprzód — może właśnie skutkiem małego zetknięcia się z ziemią — pozostało w nim bardzo długo coś z dziecka, wraz z wadami dziecka i przymiotami. Sam egotyzm jego i rodzaj próżności miał w sobie wiele z tego charakteru dziecięcego. Usposobienie jego zmieniało się łatwo, a jeśli mówił o Polsce — w której „nie trwa myśl nawet godziny", — to czuł bardzo dobrze, że mówił także o sobie. Smutek melancholika i mizantropia mieniały się z wesołością pustaka i pogodą dobrego towarzysza. „Ludzie w nim mieli druha — w myślach świat miał wroga". A potem ambicya i optymizm twórczości, zapał tworzenia, nie zostawiały miejsca na długie refleksye; głuszył je zgiełk walki. Robak gryzł w chwilach ciszy.

Zdaje mi się, że to co Słowacki w „Królu Duchu" pisze o cierpieniach ducha bezcielesnego, o konieczności ustalenia go w formie, jest odbiciem własnych jego uczuć z okresu kiedy żył „tęczową czczością"; — że własne doświadczenia wewnętrzne, własny „ducha bezprzytułek" oddał w tem cudownem porównaniu do jaskółek wirujących w mgle jesiennej. Wszakże ten sam poetycki obraz użyty jest w Kordyanie, w ustępie, który wewnętrznemu cierpieniu poety daje wyraz niezmiernie jasny i prawdziwy. Kordyan skarży się na pustkę wewnętrzną, na brak ukochania, brak hasła, brak celu. „Sto we mnie żądz, sto uczuć... sto uwiędłych liści!" Uczucia kłębią się w nim jak wir liści uwiędłych, a są bez treści: „głosem uczuć szumy — bez harmonii wyrazów". To raczej nie uczucia, nie coś co się daje nazwać i wyrazić, to raczej głód uczuć, to pragnienie aby ożyły, ból czczości. Chce zacierpieć, modli się o ból — aby ożyć wewnętrznie.

— — — Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali...
Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj!

Jedną myśl wielką roznieć, niechaj pali żarem,
A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem;
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem!...

Modlitwa miała być wysłuchaną...

Jest w życiu mężczyzny, oprócz tej, która stoi na rozgraniczu między dziecięctwem a młodzieńczością, druga chwila przełomowa: ta, która kończy młodość a zaczyna wiek męski. Na miejsce narcyzowego egotyzmu młodości, lubiącej się przeglądać w strumieniu życia, występuje indywidualizm, z żądzą opanowania nurtu tego strumienia. Miękka plastyczność duszy, która daje się ugniatać wpływom zewnętrznym, roszcząc przytem pretensye do niezależności, ustępuje mniej pretensyonalnemu, ale twardszemu materyałowi. Uczuciowość, łatwo ruchoma ale egzaltująca się rozmyślnie, lubująca się w sobie i przez to nie wolna od pozy i złudzeń co do własnej głębi, nabiera teraz tej głębi i pod rylcem wrażeń nie ugina się już, ale żłobi. Niepokój, który nawet szczęściu nie daje cechy pogody a nieszczęścia rysy kamienne uruchamia, odbierając im surowość, ustępuje spokojnej powadze, która zna najgłębszy nastrój szczęścia, pogodę, a w różach nie marzy już koloru czarnego; w nieszczęściu nie kocha się już, lecz mu stawia czoło, bo wie, że gdy je wpuści do wnętrza, to nie przelotny już muzyczny jęk wiatru przejdzie po niem, ale łoskot walących się gruzów. Na tym przełomie dusze jedne rosną, inne karleją. Rosną te, które uniosły z sobą za ten próg życia idealistyczne pierwiastki, karleją te, dla których ów próg jest zejściem na poziom codzienności, w towarzystwo „zjadaczy chleba". Słowackiego epoka przełomowa przypada około roku 1840, bezpośrednio po wydaniu „Anhellego", „Balladyny" i „Lilli", w przeddzień napisania „Beniowskiego". Niemoże być wątpliwem, że są to dzieła nietylko o głowę wyższe od wszystkich (z małemi wyjątkami) poprzednich, ale zarazem samoistne, słowem dojrzałe. Owa samoistność jest pierwszem znamieniem wewnętrznego przełomu. Drugiem jest zmiana temperamentu, widoczna z listów. Pisze poeta do matki w lutym 1841 r., że „stał się spokojniejszym, weselszym prawie, w wielu rzeczach mniej niecierpliwym". Dlaczego?... „Gdyby mi trzeba było wytłómaczyć, dlaczego mi lepiej na tym świecie dziś niż wczora, nie umiałbym tego uczynić". „Są lata napełnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynię... Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszem... Może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym, ale dobrą ona jest, i mnie teraz weselej..." „Rozważywszy rzeczy nic dla mnie bardzo szczęśli-

wego nie zdarzyło się. Jestem jak zawsze dość samotny, pracuję, dumam, ale ta czczość jakaś, która mi prace moje i dumania obrzydzała, zniknęła... Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał w niebie, i to mi daje dziwnie dumną spokojność"... „Jeszcze ci raz powtarzam — że mi teraz na świecie lepiej i szczęśliwiej, a ja nie jestem jak ci ludzie nierozsądni, którzy nigdy teraźniejszego dobrze nie czują i Bogu nie są zań wdzięczni..." Jest to wprost jakby antyteza do owych słów z „Godziny myśli" (1833), w których mówi, że nigdy nie żyje teraźniejszością. Wreszcie, częścią jako przyczyna, częścią jako skutek ówczesnego stanu jego ducha, ważnym jest jego stosunek do p. Bobrowej, pierwsza w życiu silna, męska namiętność. Było to tylko „snem smutnym — ale dobre, bo wyrwało mnie z odrętwienia" — powiada. Gdyby się sen ten był ziścił, kto wie czy Słowacki zostałby był towiańczykiem. Towianizm stał mu się wewnętrzną potrzebą gdy utracił złudzenie, że „wezgłowiem mu jedno kobiece serce". Towianizm zaspokoić miał jego głód uczuć głębokich. Schlebiające próżności powodzenie i kolorowanie świata błyszczącą wyobraźnią, nie mogły mu teraz wystarczyć. A życie wokoło miało tyle czczości w sobie.. Kłótnie i swary, plotki i zawiści, małostkowe ambicye, hałaśliwe i czcze gadaniny, projektomanja, obrzucanie się błotem, cały ten jarmark emigracyjny, z którego przynosiło się tylko „uszy pełne stuku" w puste, chłodne ściany swego mieszkania! Gdybyż choć tu odpocząć przy jakiem drogiem, kochającem sercu... Ale „nieweseliśmy wszyscy i tą niewesołością wzajemnie się trudzimy i męczymy, bo niemamy rodzin, niemamy związków familijnych. Każdy do ścian pustych wraca, — odzwyczailiśmy się płakać nad nieszczęściami drugich, jak mnichy; rzadko kto zachował serce bijące... Jest to najsmutniejsza garstka ludzi, już bez nadziei i bez żadnych prawie wstrząśnień serdecznych... Co do mnie, zda mi się, że mnie promień wracającej wiosny najbardziej cieszy, tak niemam nic, coby mnie gwałtownie ucieszyć mogło..." Nostalgia, daremność pragnień i nadziei, stan jakby ciągłego wyczekiwania, brak sposobności do wyładowania energii, to wszystko trawiło i żarło te dusze z natury niespokojne i gorące... I wtedy przyszedł człowiek „z dobrą nowiną", Towiański.

Dla Słowackiego przystąpienie do towianizmu przedstawia się nieco odmiennie niż dla ogółu innych. Tamci, prawie wszyscy, przeszli rodzaj nowicyatu. Już przedtem (od grudnia 1834) skupieni za wpływem Mickiewicza w Grono Braci Zjednoczonych, potem w Bractwie Służby Narodowej, którego głową był (dawniejszy St.-Simonista) Jański, oddawali się praktykom religijnym, a nawet między sobą nazywali „braćmi". Słowacki nie należał do tych związków i obrzucał je wzgardliwem

mianem jezuityzmu. On tego nowicyatu nie przechodził. Tamci weszli w towianizm w towarzystwie i dla towarzystwa; już byli sekciarzami, zanim zostali towiańczykami. W sekciarstwie towianizm zwyrodniał. Słowacki wszedł w towianizm nie jako sekciarz, ale tylko jako człowiek; poczuł serce obudzone u tamtych ludzi i rzucił się im w ramiona; poczuł piękność idei i stanął przy niej. Miłość i piękność tu go przywiodły; jako człowiek kochający tu przyszedł — i jako poeta.. I jako człowiek godność swoją człowieczą szanujący potem odszedł, gdy tamci „epidemiczną chorobę" do siebie wpuścili, choć „widząc ich tak chorujących, nie mógł serca od żalu obronić". A jako poeta dał towianizmowi od siebie dar bezcenny: nieśmiertelność. Cóż bowiem zostawił po sobie towianizm, coby godne było pamięci wieków, jeśli nie ziarno, które skiełkowało w „Genezie" i w „Królu Duchu"? W życiu — parę czynów — o których naród, przez wzgląd na Adama, radby zapomnieć, i zresztą rozpaczliwą bezpłodność, — w literaturze — trzy tomy beznadziejnie banalnych morałów pana Andrzeja, w których — rari nantes — pływa parę interesujących myśli, no — i bądź co bądź — ostatni tom prelekcyj Mickiewicza. Słowacki, apostata towianizmu, jest jego najpiękniejszym kwiatem i owocem.

Wpływ, jaki towianizm wywarł na Słowackiego, był głęboki i zbawienny. Samo już przystąpienie do grona braci było aktem zaparcia się i miłości. Wszakże to w przeważnej części byli ludzie, od których ucierpiał wiele, i to ucierpiał niesprawiedliwie. A pokora nie przychodziła mu łatwo. „Nie mówię, aby mi to łatwo było, abym nie staczał walk z sobą i z częścią dumną ducha mojego, który się ułożył i ustroił podług świata". (Listy: 18 stycznia 1843). Ta też dumna część ducha uchroniła go od takiej pokory, która nie podnosi już wewnętrznie, ale poniża. Za złe mu wzięto, gdy nie prosił zastępcy mistrza o medalik, niechcąc naśladować aktu całowania nóg, którego przy tej okazyi dokonali Goszczyński, Boleski i Skinder. Że ten akt nie był wybuchem nieświadomym, odruchowym, dowodzi późniejszy wypadek formalnego zapisania się jednego z braci w poddaństwo Towiańskiemu, czemu nikt nie przyganił a co mistrz sam przyjął.

Jak w tej sprawie, tak i w innych Słowacki stanął o głowę wyżej od całego grona towiańczyków, a to zarówno rozumem jak sercem. Wiadomo, co go z tego grona wytrąciło. Veto, które założył w Kole przeciw dążnościom rosyjskim, przynosi mu zaszczyt. Ale w tym samym akcie protestuje jeszcze przeciw czemu innemu — przeciw tej „hańbie idei świętej", „której się dopuściła na duchu ludzkim, przyprowadzając go do stanu najwyższego helotyzmu, bez litości będąc

dla biednych duchów, które, że tak powiem, knutem ducha i ciągłej egzaltacyi pozbawiła ludzkiej godności i zamieniła w obłąkańców, którzy są już wszelkiego podobieństwa z wizerunkiem Chrystusa Pana pozbawieni". W Kole bliżej te zarzuty swoje tłómaczy. „Co do ducha waszego, bracia moi, uznaję że ten czysty jest i najpiękniejszy na ziemi. Ale wy go już przyprowadzacie do form, już obumiera, już stało się u was rozkazem: przyjść w duchu — mówić z ducha — uderzyć kogo duchem — być w wielkiem podniesieniu czucia, — gdy tymczasem ja, który znam, choć niedoskonale, stan natchnienia i działanie na drugich ludzi będących w natchnieniu — nie słyszałem nigdy w kole naszem tego głosu... Bracia moi, nie silcie się na egzaltacyę — i przeciw sumieniu nie gadajcie o niczem... Nie krzyczcie jak gdybyście niebo otworzone widzieli... W Imię Boga... żadnego wam fałszu nie odpuszczę — żadnej w was nieczystości nie ukocham — do żadnej nieprostoty nie przyłączę się — w żadnej klątwie nie odezwę się z wami". Występuje więc Słowacki w obronie miłości chrześcijańskiej, w obronie prostoty, szczerości i prawdy. W ten sam ton wciąż uderza w listach. I wie dobrze, że to jest nastrój nowy, zdobyty; szczęśliwy jest z tej zdobyczy i broni jej z zapałem świeżo nawróconych. O przeszłości swej mówi jako o czemś przezwyciężonem. „Przeszłego mego życia nie żałuję, ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z której mi teraz łatwiej postępować wyżej. Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym, ale dzięki Panu, żem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całej duszy mojej"... „Dusza moja była pełna skarbów Bożych oddawna, lecz nie było w niej miłości; dlatego sama jadła wnętrzności swoje, niemogąc zkądinąd brać pokarmu". Na bajronizm swój dawniejszy patrzy z uśmiechem pobłażania, jak na dzieciństwo. Do matki pisze, że chciałaby w nim tej dawnej melancholii poetycznej — daremno; niewie już dziś, skądby jej wziąć, bo zupełnie — mówi — „odemnie i zemnie uciekła". Jeśli mu żonę chce upatrzyć — a gdyby to była „jaka byronianka, to niech sobie idzie szukać cienia mojego na skale Leukady i pod kolumnami ateńskiemi, i z przeszłym Julem niech się żeni... bo teraźniejszy chce uśmiechu na ustach kobiety, dobroci, prostoty i spokojności serca". Płakać naprózno — jest grzesznie, — „płakać dlatego tylko, że nas polonezy Chopina semitonami i dyssonansami łaskotały po wszystkich nerwach". Nieszczęsna ta smętna atmosfera „błąkających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie aby im ludzie smętku do smętku dolewali... Chorzy jesteście, i chcecie aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już,

nie sercem czujecie. Lubicie, co wam nerwy rozczula, a wstręt macie do zdrowych pokarmów. Widziałażeś ty, aby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiem, przez Chopina muzykę sprawionem, stał się lepszym, piękniejszym, litościwszym, wyrósł na bohatera?" — A zatem sztuce naznaczone jest zadanie; przynajmniej negatywnie. Nie zadanie służki jakiejś tendencyi, ale zadanie ogólnego podnoszenia, uszlachetniania. Zjadaczy chleba ma w aniołów przerobić; — nie pieluchą ma być, lecz ostrogą. Ku temu nie trzeba stawiania norm i regulaminów sztuce; potrzeba tylko podniesienia wewnętrznej wartości jej kapłanów. Od szlachetnych pochodzi sztuka szlachetna, od szubrawców sztuka szubrawa. I bez względu na wszelkie tendencye, bo nie treść ale ton tylko trafia do serc a ton musi być poczęty w prawdzie. Chorzy mogą tylko chorą tworzyć sztukę, silni — silną, a święci — świętą. Tendencya jest doktryną; czem innem jest prawda. „Wszelka prawda nowa wymaga po człowieku nowego podniesienia się do niej". (Mickiewicz). Tylko w prawdzie jest prawdziwa poezya. „W przyszłości taka tylko poezya będzie mogła mieć miejsce" — mówi Mickiewicz. „Nie będzie wolno mówić niby z natchnienia wyższego, nie będąc istotnie natchnionym; a ktoby prawił, jak to bywa dzisiaj, o aniołach, o szatanach, o tajemniczych rzeczach w naturze, nie widziawszy ich w duchu, będzie miany za bezczelnego". „Tak stanie się poezya znowu czem była niegdyś w czasach proroków". Jak mówi St.-Martin, nie należałoby pisać wierszy, aż zrobiwszy pierwej cud. Słowacki powiada raz, że miarę wartości swoich dzieł znajduje przez postawienie sobie pytania, czy mógłby je czytać wobec Chrystusa. — Tak to z własnego duchowego odrodzenia wywodzi poeta nowe hasła, nowe kryterya dla sztuki. Prawda, prawda wewnętrzna, jest takiem pierwszem kryteryum. „Żadne uczucie światowe nie rozminie się z sercem naszem, i żadna miłość w nas nie gaśnie, niczego się nie wypieramy prócz głupstwa i fałszu i maskowanych rzeczy, i bałwanów zrobionych przez oszukaństwo ludzkie i zapałów nie z serca idących"...

Drugiem kryteryum jest spokój. — „Tylko pohamowana w nas siła jest siłą, i zostaje darem Bożym". To jest „moc Chrystusowej natury". „Wszystko, co ducha naszego poruszając rozżarza formę i rozognia ciało nasze, wszystko, co nie ze światłości wnętrznej Ducha świętego — lecz z ognia natury naszej wydobywa się i czynem się objawia — grzechem jest... Świętość świecąca z ducha naszego — jako moc spokojna zwycięży". To też „rzeczy nawet porywające w przeszłość lub przyszłość całą ducha istotę, powinny być spokojnie mówione". „Poezya ma trzy podziały: woda: (miesięczna cała, północna,

pittoresque), — ogień: (cała szatańska, pasyonowana, południowa), — światło: (cała słoneczna, święta, początek w Ewangelii, spokojna)". Światło, światło białe, słoneczne, jest najwyższą syntezą. Mieści w sobie in potentia wszystkie kolory tęczy, ale one są w niem zamknięte, nie ujawniają się. Wszelka barwa jest skutkiem rozszczepienia, jest rozbiciem syntezy, zejściem na stopień niższy. Celem ducha ludzkiego jest słoneczność. Dla „światłych pierworodnych, już tęcza jest grzechem". Siedem kolorów — a malowanie słowem lub pędzlem to jest jedno („Wykład Nauki"), — i odpowiadające im siedem tonów muzycznych, „do globu należą... Światło jest czystą formą świętości... a myśmy go jeszcze w prawdziwości jego nie widzieli... A sami oto w tęczowych wyjaśnieniach się — i w rozmaitych instrumentach naszej duchowej muzyki — podnosimy się do wyrozumienia jasności Bożych". Dlatego sztuka jest tylko formą przechodnią ewolucyi, i będzie zepchnięta kiedyś „nogą dalej idącą w przepaść przeszłości, gdzie odpoczywają formy dawne, piekłem będąc duchowi, któryby powrócić do nich zechciał, a niebiosami dla tych, którzy jeszcze niżej stoją i przez nie przechodzić muszą; przez pierwszych często już wzgardzone, przez drugich jeszcze czasem nierozumiane"... „Piękność jest świętą" — ale „prawda jest nad wszystkie pięknoście".

Poeta nastrojów, który przez obrazy i tony pokrewne zwykł był rzeczy istotę i stany duszy objaśniać i tłómaczyć, w taki przedziwny sposób zaleca matce — jaki ma wywołać w sobie ton — aby stan jego duszy sobie w myśli odtworzyć: „Wystaw sobie tę ciszę, która... u mnie panowała... i zobacz światło świecy mojej i usłysz głos poważny, jak głos którego z dawnych ojców moich, i otwórz i przeczytaj który z najspokojniejszych rozdziałów Ewangelii po polsku, a będziesz miała najwyraźniejszy obraz teraźniejszego ducha mojego".

Jeden z najspokojniejszych rozdziałów Ewangelii — po polsku czytany — głosem poważnym, jak gdyby którego z dawnych ojców, oto symbol, czy akord, zgodny z tonem ducha poety, ów akord, który ten ton poddaje i tłómaczy! Spokój, pogoda, powaga i świętość; ton Chrystusowy odziany w polskość — niby w bogatą delię senatora dawnej Rzeczypospolitej.

„Nie odmieniło się nic w wewnętrznem życiu mojem, oprócz smutku, który gdzieś uleciał i wpuścił więcej niż nadzieję do domu mego. Przybyła także większa prostota, mniej zachceń ziemskich, a więcej prawdziwej żądzy dobrego. Duch mój się podniósł i ciało nabrało więcej mocy, tak, że mnie ludzie zaledwie poznają. Niedziwię się więc, że wy widzieć mnie nie mogąc, z samego głosu (z listów) widzicie

zmianę we mnie, zmiana albowiem jest realna i zupełna. Bóg mnie obronił od tej strasznej godziny, w której przychodzi rozczarowanie na ludzi marzących o rzeczach Anielskich, albowiem widzę, że do końca życia mam drogę pełną słońc i tęcz prawdziwych, i ta mi wystarczy, choćbym żył najdłuższe lata. Każdy czyn na tej drodze nie trudzi, ale pokrzepia...“ „Na tej drodze, na której jestem, niema innych kwiatów jak nieśmiertelne i nieśmiertelnie wesołe“. — Takie zapewnienia powtarzają ciągle listy z owej epoki. Wesołość ta, o której one mówią, jest cichem światłem rozradowania wewnętrznego, spokojną pogodą, pewnością jutra, uśmiechem ufnym i pobłażliwym. Ma w sobie przecież jakiś rys rezygnacyi; źródłem jej bowiem jest nie „dziś“ — ale „jutro“. Niemasz u Słowackiego peanu na cześć życia, niemasz ołtarza dla „śmiejącego się Boga“ Zarathustry. Bo też mądrość jego nie jest „kobietą kochającą wojowników“, ale dobrą siostrą przewodniczką, wiodącą młodsze rodzeństwo ku Ojcu-Światłu. Niemasz u Słowackiego jednak także zrzeczenia się kwiatów i owoców życia; nie głosi on filozofii cierpienia. Oprócz fałszu, niczego, żadnego „uczucia światowego i żadnej miłości“ się nie wypiera. Chwali sobie, że „u nas wszystko gra w ludziach, żyje, płomieni się, a czy źle czy dobrze zawsze rusza się i wybucha“; — we Francyi zaś nie widział jeszcze zakochanej panny. O Hofmanowej pisze, że „sprotestantyzowała kobiety“, że serca przez nią „na kluczyk od spiżarni zamknięte... klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć na nowo. Bo nie na samych tylko prawidłach moralności stoi anioł żywota, ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują niż na nogach...“

A jednak jest coś smutnego w poecie w owym czasie mimo wszystkie zapewnienia. Może nam się tak wydaje, bo nie łatwo wmyśleć się w szczęśliwość człowieka, który za dokument tej szczęśliwości przytacza, że teraz życie i śmierć jednakowo mu są ponętne i niczem się nie różniące od siebie, — „a tak jest, i tak być musi dla wszystkich ludzi, którzy zdobędą uczucie nieśmiertelności ducha i wszystko jasno zobaczą“. Zdaje mi się, że przy takiem życiu, które życie i śmierć za jedno ceni — życie musi być zazdrosne i kołatać o swe prawa pierwszeństwa. Jakiś cień cierpienia zdaje się padać na to szczęście; na barkach ochoczych leży, ale cięży przecież ów „krzyż biały“ Towiańskiego. Bo też „duchy idą w cele ostatnie — przez ofiar stos...“

Z zewnętrznych powodów smutku jeden głównie znajduje odbicie swe w listach poety: jego stosunek do ludzi. Serce jego bardziej niż kiedy pragnęło miłości. Dawniej ten głód uczuć był może pragnieniem zdolności kochania, teraz żądał przedmiotu miłości. Szukał serca, przed

którem mógłby się wylać całkowicie, ale „choć powierzchownie nie sam“, był samotny. Dosyć miał ludzi przychylnych — a jednak czuje się samotny „samotnością serca“. Miłość zdaje się go przepełniać. Radby „kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli, i cząstką jego szczęścia szczęśliwsi“. Serce jego „na prawdziwe uczucia ludzkiej boleści otworzone, pęka się codziennie, nawet patrząc na nieznajomych ludzi nieszczęścia“. Ale miłość ta nie znajduje oddźwięku. „Kogo się dotknę teraz, dotykam go całą piersią moją. Jeżeli nie może znieść człowieka, a chce zamaskowanej figurki, podług teraźniejszego świata, na model poety lub dowcipnisia, z którym wieczór przepędzić miło, zrobionej — od takiego człowieka odchodzę bez żadnego uczucia gniewu, ale też z czasową dla niego obojętnością, bo silny dość nie jestem, abym jednem spojrzeniem duchy w anioły przemieniał, a niemam też dosyć czasu, abym nad każdą taką istotą pracował jak dawni nawróciciele“. Ci „bracia“, w których objęcia niegdyś z takim zapałem się rzucił, głodny prawego duchów obcowania, ci ludzie — skarży się — „których ja dawniej wielkimi i pięknymi sądziłem, ciągle i coraz bardziej upadają, a nikt nowy nie przyjdzie, coby mi ich stratę zastąpił. Codzień prawie czekam czy się nie otworzą drzwi moje, i czy twarz jaka nowej piękności nie błyśnie mi słońcem rozweselenia; bo to niepodobna, aby mi nigdy za życia mego Bóg nie pozwolił ujrzeć prawdziwą piękność na ziemi, serce rozweselone mocą i dobrocią, szlachetność świętą i niezmienną... Wołajże ze mną razem, droga moja (pisze do matki), aby mi takie braterstwo przyszło dopomódz!....“ — Cóż z tego że ci, co go otaczali, byli mu przychylni, — kiedy ze wszystkimi — powiada — muszę postępować jak z kryształowemi lalkami, bojąc się niszczyć tego, co w nich jest półdoskonałością, aby po zniszczeniu tego nie zostali zupełnie martwymi: — szanować więc muszę wszystkie pół-tony, pół-szlachetności, pół-uczucia, pół-zapały, pół-energie i pół-miłostki, i czekam, czekam jak cudu, aż który z tych ludzi obudzi się nagle przedemną i zawoła zupełnie moim językiem... Czy ty wystawisz sobie torturę takiego oczekiwania? Często już prawie godziłbym się pójść jak jezuita i zmagnetyzować jaką kobietę sercem, aby mieć coś podobnego zupełnie do siebie, choćby ta dusza była tylko artyficyalną i umalowaną po wierzchu piękności złotem i kolorami, — ale ta myśl bezbożna trwa krótko, wolę nic nie mieć, niż fantazmo i widmo“.

Jest coś dziwnie wzruszającego w tej skardze. A nie samo to, że poeta czuł się tak samotnym, ale raczej ów rys jego duszy, który go na wieczną „samotność serca“ skazywał. Słychać w tem jakby skargę

dziecka, które zabłąkało się między obcych i poradzić sobie nie umie. „Pocoś ty przyszedł od gwiazd i od tęczy — na ten świat biedny, i w ten dom rozbojny —?“...

Słowacki należy do typu ludzi, którzy potrzeby serca nigdy nie zdołają zaspokoić. Nie żeby kochać nie mogli, ale że obcym im jest kunszt kochania, kunszt, z którym jedni się rodzą, który inni zdobywają doświadczeniem. Tacy ludzie za wiele wymagają od miłości. Charakteryzują się oni zwyczajnie zbytnią wylewnością uczuć. Otwierają się całkiem i obnażają przez to i te najdelikatniejsze struny duszy, które najlżejszego dotknięcia już nie znoszą. Dotknięcie — jest tu urazem: pod niem cofają się nagle, jak ślimak za dotknięciem czółków cofa się w ciemność swej skorupy. Dwaj ludzie, którzy się do dna otwierają przed sobą, są jakby dwa ciała, które nasycają się tą samą elektrycznością; w chwili zupełnego zrównoważenia następuje na miejsce przyciągania, odepchnięcie. Tylko silna miłość między kobietą a mężczyzną znosi niekiedy bezkarnie taką próbę; radbym powiedzieć taką próbę „przebacza“. Może dlatego, że zniesione przyciąganie zastępuje tu węzeł fizyologiczny, który polega właśnie na zróżnicowaniu. W innym wypadku, gdzie idzie o przyjaźń, utrzymywać się ona zwykła w takich warunkach wtedy, gdy przyjaciel gra rolę tylko cierpliwego receptora, gdzie stosunek nie jest stosunkiem równego z równym. „Najcichszy z ludzi i najsprawiedliwszy“ nazywa Słowacki Rembowskiego, takiego właśnie nierównego sobie i najbardziej oddanego przyjaciela. Podobny stosunek łączył go z Felińskim, który był wtedy młodzieniaszkiem. Stosunek taki, rozumie się, nie jest pełnym, i nie wystarcza. Listy Słowackiego charakteryzują tę stronę jego duszy bardzo wyraźnie. Są one wylewem zupełnym. Jakże różne są listy Mickiewicza, który nie wynurza się wcale, donosi tylko o faktach. Ten charakter uczuciowości Słowackiego jest w związku z jego egotyzmem. I w tym okresie, w którym rozwinęła się w nim strona uczuciowa, za miarę człowieka uważa stopień dostrojenia się do niego samego, więc sam siebie. Chce, aby ten przyjaciel zawołał na niego „zupełnie jego językiem“, chce mieć „coś zupełnie podobnego do siebie“. Żądanie niedosiężne, tak często przez egotycznych romantyków powtarzane w formie westchnienia za „duszą siostrzaną“.

Ta samotność odbija się na dziełach poety. „Król Duch“ wydaje mi się nosić wyraźne piętno tworu samotnika. „Lat tysiące są jak jedna chwila“ — jak chwila obecna; czas jest w nim zniesiony, jak w marzeniu. Nieskończoność jest najbliższą. Umarli są najbliższymi; zmartwychwstają oni w samem „ja“ poety. A czytelnicy? I ci nie

są z tego dnia i godziny. „Pieśń tę oddaję wiekom“. „Król Duch“ jest księgą dla wszystkich i dla nikogo — jak mówi o swoim Zarathustrze Nietzsche.

Tak więc jeśli o szczęściu swem mówi poeta, to szczęście to nie jest radością życia, nie jest ono niemal „z tego świata“. Polega ono na zaspokojeniu i pewności, na spełnieniu owej modlitwy: „daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj“, — bierze światło od celów nieskończenie dalekich.

A spokój? I spokój ten jest pewnością dalekiego jutra, które smutne „dziś“ znieść pozwala. Spokój ten jest wolnością od owego rozstroju, owego wewnętrznego nienasycenia i rozdarcia egotycznego bajronizmu, które dawniej poecie każdą chwilę zatruwały; nie jest to jednak niewzruszona gładkość wód śpiących. „Ty chcesz odemnie opisu stanu mego... może nawet widzisz mnie z daleka w jakiejś nadzwyczajnej egzaltacyi, podobnym do ludzi, których zwykle mistykami zowią... Otóż raz na zawsze proszę cię, nie wątp o mojej wnętrznej ducha spokojności... Rozmiłowany w prawdzie i w prawdach, któremi przez Boga nakarmiony byłem, czynię, co mogę, abym się czysty, szlachetny, niczem nieskalany, w obliczu i przed okiem Stwórcy mojego zawsze stawił... Różnica moja z ludźmi jest ta, że z innego źródła niż oni biorę wiedzę moją... a stąd często przeciwko opiniom czynić lub mówić muszę — i ta jeszcze różnica, że kiedy oni obojętnie schodzą się dla zamienienia wzajemnego kilkoforemnych (? sic!) myśli, ja do każdego zbliżam się, niby do brata... z chęcią, aby mu serce zapełnić, rozum zamienić w mądrość, wskrzesić go niby... i dać mu pęd ku wielkim celom żywota... a siłę w nim zrodzić, rodząc w nim uczucie nieśmiertelności. Taka praca, trudna i wiekowa może, jest mi sądem i przeznaczeniem...“ „Opierają się ludzie, którzy się jako tako w formach dawnych uciszyli i niby zmartwiawszy na pół spokojności dostąpili. Ja nie jestem spokojny, ale szczęśliwy jestem, że mi ta praca ducha zamiast pracy rąk daną była przez Boga, bo są dnie, że w ciągłem jestem upojeniu, w ciągłej niby harmonii z całem stworzeniem — drzewa mi się tłómaczą z tajemnic swoich — jagody usprawiedliwiają ze swoich własności; kwiaty za swoją piękność memu duchowi dziękują — a wszystko gada dziwnym, nowym językiem rzeczy, które zapewne nieprędko inni ludzie posłyszą...“

Biografowie poety prawie bez wyjątku mówią o nadzwyczajnej jego w tej epoce wrażliwości i rozdrażnieniu nerwowem. Stan jego duszy określają jako chorobliwy i anormalny. Ulegając autosuggestyi, autorowie ci w najzwyklejszych niejednokrotnie wzruszeniach dopatrują

się chorobliwej egzaltacyi. Ale wyłączywszy wynikłe ztąd dziwaczne plotki, bynajmniej nie będę usiłował dowieść, że to co pozostaje ma absolutnie „normalny“ charakter. O pojęcie normalności w ogóle spierać się daremno. Słowacki, jak każden geniusz (ba, nawet talent!) przekraczał normę, był zatem anormalnym. Anormalnem jest każde silne wzruszenie, a cóż dopiero stan ekstazy! Na wykroczeniu poza normę polega każden postęp; zatęchłe wody tylko leżą wiecznie w „normalnym“ poziomie. Taką „zatęchłą wodą“ byłaby „zdrowa“ literatura wedle modły geszefciarza Nordaua i wszelkich jego konfratrów. Zapewne apostołom takiego „zdrowia“ o duchu ludzkim „w kształty się piramidalne wyrzucającym“ mówić daremno. „Normą“ zaiste taki duch być nie może, to pewna. Gdyby wszystko płonęło, świat by zgorzał. Ale co poczęlibyśmy bez ognia? Błogosławieni, którzy są ogniem ziemi! A doprawdy, czyż nie istnienie tych właśnie „szaleńców“ dowodzi — może jedynie — że jest jakiś sens życia!... Toż nie chodzi mi o określenia normalności i anormalności, o granice choroby i zdrowia; są to kwestye daleko zawilsze i daleko wyższe ponad to, czem trudni się zwykłe badanie literackie. Chodzi mi — bo to do dziedziny badań literackich należy — o pozytywną prawdziwość objaśnienia psychiki poety. Piszący o niej popadają pospolicie w dziwny błąd logiczny. Ponieważ stan ekstazy uważają za sprzeczny z objektywizmem myślenia, przeto — chcąc zostać na „pozytywnym“ gruncie — traktują go jako objektywnie nieistniejący! Pozytywne studyum stanu ekstazy uważają za logiczną kontradykcyę! Ażeby na owym „pozytywnym“ gruncie objaśnienie utrzymać, wolą przypuścić, bez żadnych poważnych podstaw, owszem wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, działanie haszyszu lub opium. Upicie się „duchem Bożym“, jest to bowiem coś zbyt dalekiego pojęciom tych panów, ażeby mogli w nie uwierzyć... Tembardziej, że obcość i chłód, w jakim ich zostawia mistyka poety, nie pozwala im odczuć w sobie tych wstrząśnień głębokich, jakich on doznawał. Może, oprócz pewnej predyspozycyi, trzeba czytać „Genezis z Ducha“ za młodu, aby siłę tych wstrząśnień zrozumieć... Z własnych moich wspomnień mógłbym mówić o tem, jaką błyskawicą owiało mnie to dzieło, jakie budziło we mnie dreszcze, które włosy podnoszą, owe dreszcze zachwytu, o których w owej epoce tak często wspomina Słowacki, mówiąc o snach „przechodzących przez włosy“, o wrażeniach, że ktoś „włos mu ruszy...“, o „wietrze we włosach...“ A jednak to, czem to dzieło do mnie mówiło, była tylko piękność idei. Wiara jego — była dla mnie i wtedy cał-

kiem obcą. W zachwyty moje mieszał się raczej nie bez samoironii jakby żal, że w tę wspaniałą koncepcyę świata uwierzyć naprawdę nie mogę, jakby zazdrość wobec tego, który koncepcyę tę uczynił swoją wiarą i który ją wzlotem myśli wierzącej snuł i stwarzał, opromieniając nią ciemność straszliwą i bolesną nieskończoności. Od tej pory wiem — i bez dokumentów historycznych — że szczęśliwcowi temu nie trzeba było haszyszu do jego upojeń, że mu „pogórza, ojczyste grobowce — przy dźwięku fletni skakały jak owce“, że mu „ustały bić godzin zegary, — duch nie znał czasu, a czas nie miał miary“, że nachodziły nań chwile, gdy „drżał jak Mojżesz, kiedy mu Jehowa rękę był swoją pokazał ze skały“, — chwile, gdzie ciało nie mogło sprostać naporowi ducha, i było z nim, jak z onym małym giermkiem Popiela, którego struła pieśń mocarza.

Głosy okropne w niego wlatywały,
Kości roztrzęsły, — pierś mu się popsuła.
Chodził i przez sen gadał i drżał cały,
Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
Którą muzykant napełnił przelotem
Tonów — i zamknął napełnioną grzmotem.

Toż kiedy dawniej „szukanie“ smutków i sztuczna egzaltacya były poecie podnietami do tworzenia, teraz za warunek tworzenia głosił spokój. Burza myśli i uczuć musiała być okiełznaną, aby powstało dzieło. Zasada: „tylko pohamowana w nas siła jest siłą“, odbija się na głównem dziele tej epoki, na „Królu Duchu“ widocznie. Forma sama, „rymu dawnego struktura, w którą się Panu ubrał przez pokorę“, forma oktawy, w posąg spiżowy stęża wrzątek treści.

I kiedy dawniej pobudki do tworzenia przychodziły poecie zwyczajnie od dzieł cudzych, co jest dla niego bardzo charakterystycznem, teraz, z zasadniczej myśli swej filozofii wydobywa nieskończony potok poezyi, natchnień własnych, z wnętrzności najgłębszych dobytych, z wiarą proroków objawionych, nowych! Natura jego zakwitła sama z siebie po raz pierwszy. „Obiit Gustavus, natus est Conradus“.

Bóg Ojców, który mię raz na śpiewaniu
Śpiącego zastał i naszedł wieczorem
I cały na mnie rzucił się w błyskaniu,
I mocy swojej przeraził upiorem:
Bóg-Duch widzialny, który czuje w spaniu,
Nawiedzacz ludzkich izb z anielskim dworem,
Bóg swoją mocą ku mnie nachyloną,
Napełnia pieśnią to maluczkie łono.

Pod jego wielką mocą trzymam pióro,
Snem piszę, a z mgieł rozjaśnionych biorę —
I moją własną, kwitnącą naturą
Nieznane dotąd oceany porę...

Nieznane oceany... dziewicze lądy...

JAN GW. PAWLIKOWSKI.

Humorysta dni dzisiejszych Jules Renard.

A śmiech jest różny. Jest śmiech — powiedziałbym — zewnętrzny, taki który wybucha wielką i krzykliwą wesołością i trwa długo a hałaśliwie. Jest śmiech melancholijny, jak promień niebieski księżyca, — a znowu inny: uspokojenia i pewności siebie. Drwi czasami, czasem pokrywa pogardę. Idyoci cieszą się także własnym śmiechem...

Jest wreszcie śmiech tak straszny, tak głęboki, a przytem tak niespodziany że mimowoli ściska się gardło człowiekowi, a powieka nabrzmiewa łzami...

... Staje mi przed oczyma mglisty krajobraz jesienny. Widzę długą aleję drogi równo i pod rząd ogrodzoną drzewami, zczerniałemi z zimna. Z poza tych trabantów gdzieniegdzie wychyla się wyszczyrzone, głupkowate oblicze domku przedmiejskiego, które śmieje się teraz półgębkiem z wyglądu ulicy. Pełno też na niej błota, wybojów i śmieci, po bokach płyną ociężale strumyczki brudnej wody, a środkiem poślizgując się kroczy orszak ludzi, czarny, poważny i surowy. Na przodzie czworo, ze skupieniem i zadumą na twarzy, niesie trumnę na ramionach — resztki ukochanej istoty za życia, nieopłakanej nigdy po śmierci. Więc stąpają wyniośle, więc nic ich nie obchodzi świat i nieżyczliwość nieba, bo o umarłej myślą.

Wtem jeden z nich tak w swej gwieździe zapatrzony potknął się i z chlustem wywrócił się na brudną obłoconą ziemię. Pociągnął tem innych za sobą i po chwili widać było jakieś cztery obrzydliwe potwory, umazane, tarzające się po błocie — plugawe, wstrętne i pocieszne. I cały konwój wybuchnął homerycznym śmiechem, choć w sercach — wierzcie mi, był tylko żal......

Taki jest śmiech Renarda.

Bo też jakże się nie śmiać, kiedy opowiada tak zabawne historye. Przecież on — znany i sławny — zamiast pisać o bohaterach czynu, czy serca, mówi tylko o najmniejszych, nietylko ludziach, lecz ba, z przejęciem prawi nawet o zwierzętach. A co gorsza nie opisuje ich przejść serdecznych i ciężkich trudów, ale często skarży się właśnie nad ich niedołęztwem, nad brakiem tych wielkich dzieł, nawet nie mówi o wielkich zboczeniach i wadach,

lecz o bagatelach. Czyż to nie śmieszne? — Swoją drogą trudno też było o tak małych rzeczach mówić poważnie. To byłoby szczytem śmieszności, patetyczność w drobnostce.

I naturalnie ten śmiech do smutnych musi prowadzić konsekwencyi. To porównanie małości i nędzy, z tęgością „wielkich“ zwykłą koleją rzeczy sprowadza żal beznadziejny. Żaba choćby się nie wiedzieć jak natężała, nigdy nie stanie się wołem, owszem zginie i będzie celem drwin. — Na takie nieszczęście niema nadziei, niema odkupienia — i tylko nowe bole. I nie pozostaje nic, jak głowę schylić w narzekaniu.

„ZDRÓJ OSŁODZONY“.

(Z „Lanterne sourde“).

Głupi Franek zabawia się u źródła. Pije wodę. Z początku czerpie dłonią, potem dla wygody kładzie się nad źródłem i pije maczając nos i brodę. Dmuchnie, a przygląda się różnym potworkom w toni i białemu pióropuszowi bulgoczącej wody.

— Dobra jest, powiada, ale mnie się widzi, że ocukrzona będzie jeszcze lepsza.

Biegnie więc do wsi, kupuje kawałek cukru, i gdy noc nadeszła wraca chyłkiem i rzuca go do źródła.

— Jutro rano, mówi, będę miał ucztę z tej wody, ja sam — nikt więcej.

Wszyscy spali jeszcze kiedy głupi Franek wylazł już z łóżka i pospieszył do źródła.

Nim skosztował, rzecze wargi ściągając w cmoczek:

— Ach! jakież to dobre!

Pochyla się, kosztuje i rusza gębą smakując:

— Tak. Nie. Ani trochę nie jest słodsza niż była.

Nagle stanął z oczyma utkwionemi w odbicie swej zawiedzionej fizyognomii.

— Gwałtu! jaki ja głupi! wrzasnął; tożby to dziecko zrozumiało: woda płynie i mój cukier stopiony popłynął z nią razem. W tej chwili zmyka mi przez pola; ale nie musi prędko płynąć, jeszcze go dogonię.

I głupi Franek idzie wzdłuż strumienia. Co dwadzieścia kroków staje i kosztuje wodę, ale za każdym razem głową kręci i podąża dalej w pogoni za swoim cukrem“. *(tł. M. G. T.)*

Człowiek wciąż chce osłodzić, uszczęśliwić swe biedne życie, bo mu się wydaje przecież gorzkiem, wiecznie wkłada w nie nowe prace, nowy trud serdeczny, a tymczasem — „dziecko by to zrozumiało“ — zabiegi jego niesie prąd fali i w drodze już rozpuszczą się, rozwieją. I nie przystawaj co kroku i nie kosztuj życia, bo ono tak cierpkie, jak było; i żebyś niewiedzieć

jak dobrze szukał, i nie wiedzieć jak długo i pilnie, słodyczy przez ciebie weń złożonej już nie znajdziesz, o nie!... Tylko świat nazwie cię waryatem...

I nie pozostaje nic jak narzekanie...

Bo nic nie pomoże...

*

Ale jest jeszcze inny powód dlaczego Renard się tak śmieje. Przecież na Boga żyjemy w wieku największego rozsądku i rozumu; przecież hasłem naszych czasów jest dobicie się do swojego celu (czasem nawet szczytnego) dobicie się bądź co bądź i tylko dobicie się do celu. „Co mnie obchodzi nieszczęście wielu, moje smutne dziś przygody — kiedyś je muszę zwyciężyć. I staje człowiek na piedestale, który sam sobie zbudował, wyniosły, zimny i niewzruszony jak bóg grecki, obojętną maską patrząc na tłumy. I w takiej chwili hartu ducha i nieugiętości woli chciałby kto sentymentalizować się nad drobiazgami?!] Więc Renard boi się pokazać swą tkliwość litosną, w czasie gdy ona tak wzgardzona, wstydzi się płakać nad nieszczęściem w świecie w którym ono tak przeklęte. — Więc często w najwyższem wzruszeniu wtrąca dyssonans syczący śmiechu i sam pierwszy naigrawa się z siebie, by uprzedzić szyderstwo drugich.

I dlatego także można go nazwać humorystą. —

*

Jest jeden dział sztuki (przecież trzeba czasem dzielić niepodzielne), który w przeciwieństwie do natchnionych proroctw przyszłości (Michał-Anioł czy Goethe) daje genialny obraz życia współczesnego, momentu, w którym został poczęty. Kiedy tamten rozmawia z Bogiem i ludziom drogę i ideał pokazuje, ten jest może dla człowieka ciekawszy, bo daje mu jego portret, istnieje z niego i w nim; pokazuje jak się zmieniło jego czucie i myśl.

Tak w swoim czasie Boccaccio opisywał miłość i rycerskość, żądzę przygód i rozhukanie namiętności. Potem nastały czasy „opowieści moralnych", cnoty codziennej. Potem Maupassant rzucał światu, skrwawione płaty życia.

Nędza współczesnej chwili jest kalejdoskopem „la lanterne sourde", najpiękniejszej i największej rzeczy Renard'a.

A tematem jej:

Jakaż może być większa boleść, jak widzieć biedaka, po uszy grzęznącego w błocie, a który o tem sam nic nie wie — może nawet kontent, że przecież nie utonął jeszcze zupełnie. — Czyż może być coś piękniejszego jak obraz obłąkanego, który popełnia jakieś niesłychane zbrodnie, szaleństwa, śmieszności nawet, a sprawy sobie z tego nie zdaje.

Bo pomyśleć, gdybyśmy się tak na jego miejscu znaleźli, bo pomyśleć, gdyby on tak nagle przejrzał i zrozumiał całą swoją nędzę, gdyby tak stracił niespodzianie iluzyę dobroczynną — nie, to za okrutne. —

O tem mówi część nowelek tego zbioru.

A inne mówią o złem wyrządzonem ludziom przez ludzi, a raczej o wrażeniu jakie ono wywiera na dotkniętych. — Bo są tacy, którzy z lekkiem stosunkowo sercem znoszą obelgi i ukłucie, a upadają tylko pod wielkiem nieszczęściem. A innych „wielkiem nieszczęściem“ jest właśnie drobnostka, słowo wypowiedziane dwuznacznie, żart niewłaściwy w duszy ich długiem odbijający się echem. Czasem to tak bywa, że na wielką jakąś krzywdę człowiek machnie ręką i powie: „Et głupi, po nim i tego mogłem się spodziewać“. A czasem tylko słowo nie na miejscu powie nam ktoś kochany, i wskutek tego jednego słówka, tracimy do niego iluzyę.

A iluzyi jest tak mało, że jeszcze jedną stracić, to naprawdę wielka boleść.

A ludzi, których szczerze kochamy jest tak mało, że jeszcze jednego stracić, to naprawdę wielka męka...

Albo znów bywa, że złe słowo czyjeś jest właśnie (przypadkiem, czy nie) oddźwiękiem tego, co my sami o sobie myślimy z trwożną nadzieją, że może przecież to nie jest prawdą. — Tem boleśniej, gdy nam to kto trzeci potwierdzi...

Albo niekiedy nieopatrzny żart czyjś obraża w nas jakieś najświętsze przesądy (a któż ich niema w głębi duszy?); — i to może być straszne.

Ale najgorsza to może męka cierpieć nie przez własną i nie przez cudzą winę — przez zbieg okoliczności nieszczęsny. Bo gdy kto sam zbłądzi, a przez to burzą spadają na niego nieszczęścia, to przynajmniej ma urazę tylko do najukochańszej sobie istoty i umie sobie swą boleść wytłomaczyć. A chcąc dla własnej miłości wytłomaczyć powód swojego nieszczęścia, swą niezgrabność lub nawet głupotę, temsamem zmniejsza i skutek. Gdy inny go pokrzywdzi, o, — to pozostaje zemsta, odpłata i obmowa. Lecz któż ma tyle mocy by stawić czoło bogom nieśmiertelnym, gdzież śmiałek, który zechce walczyć z Arymanem czy Ormuzdem i na poprzek ich celom swój cel postawić. — Nic mu wtedy nie pozostaje jeno głowę kornie pochylić i nowego czekać bolu.

Oto treść „Lanterne sourde“...

*

Ale cóż to, czy świat jest tylko padołem płaczu? Czyż nie ma innych, tylko nieszczęśliwi? Czy każdy tylko o tem myśli jak ten ból znieść lub uniknąć tamtego? O nie — choć wyjątkiem jest szczęśliwość, znajdzie się jeszcze dużo takich, którzy nie znają nędzy życia. Naturalnie, bo wielu radości jego nie zaznało, a kto nie pojął tezy, jakżeby zrozumiał antytezę?

Życie jest tak ciężkie i trudne, tak trzeba się trudzić nad jego poznaniem i odgadnięciem, że mnóstwo jest takich ludzi, którzy nie mogą ani na chwilę oderwać głowy od tego mozołu i rozglądnąć się wkoło lub poza siebie.

A tylko za sobą można szczęście zobaczyć promienne, lub smutne klęski — przed nami jeno iluzya. Ten, kto tak bez ustanku musi baczyć na gruz i ostre kamienie, po których idzie, co najwyżej może rozsądzić czy droga łatwa, czy trudna, — a to jeszcze nie nieszczęście.

...Ot taki chłop. Musi pracować od rana do wieczora i nie ma czasu myśleć, chyba tylko „żeby skiba szła prosto" lub, „żeby ziarno równo się po polu kładło". A jego cały kłopot, to żeby deszcze plonów nie zabrały lub posucha nie spaliła, a jego troska: żeby się gadzina dobrze chowała. A jak całodzienne pokończy roboty, to taki zmęczony i wyczerpany, że zje tylko wieczerzę i zaraz kładzie się spać. I tak schodzi mu dzień za dniem. — Jego życie to prąd rzeki, szeroko po równinie rozlanej*).

...Albo znów dzieci. Dopóki maleńkie wciąż muszą się uczyć znosić życie. Muszą poznawać ludzi, myśli, uczucia. Biedactwa nawet do nauki muszą się przykładać. I to im tak czas zabiera, to ich tak pochłania, że ani sposób myśleć o czem innem. Zresztą na to są dziećmi, od tego są dziećmi; z chwilą gdy zakosztują owocu z drzewa szczęścia i nieszczęścia przestają być dziećmi, stają się ludźmi. A jednak, — a jednak niektórzy ludzie do późnej starości są dziećmi — niektórzy prawie w kolebce stają się ludźmi.

Ale też dziecko odczuwa krzywdę mu wyrządzoną znacznie głębiej niż człowiek dojrzały, bo ona wytrąca go z przyrodzonego biegu życia, — a że jest jeszcze niedoświadczone więc jest tkliwsze i bardziej ufne.

Biedny ty jesteś mały „Poil de Carotte"**). Nikt cię do serca nie przytulił, a tyś taki mały. Nikt cię nie uściskał i nie ukochał, a ty taki słaby i taki głupi. Nikt do ciebie serdecznie nie przemówił, a tyś nieśmiały. Twój brat starszy bawi się dobrze, a ty tułasz się po kątach. Twoja siostra ubiera się ładnie, ale to z kokieteryi, — matka całuje — tylko przy gościach. Jesteś najgorszym uczniem w klasie. — I na to wszystko nic, nic nie możesz poradzić. — Ale na pociechę powiem ci, że niejeden z obcych cię pokochał, niejeden by cię przytulił i ucałował, — niejeden zapłakał nad tobą.

*

Jest u nas dramat, w którym gdy bohater największe wykonuje dzieło, słyszy wypowiedziane słowa: „dramat układasz". O jak prawdziwe i straszne to słowa, jak okrutne to wykrzyknięcie zawsze za głośno tego, co siedzi w głębi duszy artysty. Bo artysta to człowiek gorszy, niż najzaciętszy fanatyk, gorszy niż najgorszy egoista; — ale artysta też — to większy bywa mąż od świętych i aniołów.

---

*) O tem mówi „le Vigneron dans sa vigne" i „les Bucoliques" Renarda.

**) To przezwisko „bohatera" a zarazem tytuł najpopularniejszej książki Renarda.

Artysta (mówię zawsze o takim „z Bożej łaski"), za najwyższy cel w życiu ma Sztukę — w niej widzi życie — kochankę — Bóstwo. Bez niej byłby jak ptak bezdomny, i jak to odbicie się słońca w błocie, ona go grzeje, karmi i odziewa, a raczej nie — ma ją przy sobie, zapomina o rzeczywistości i tworzy sobie jakiś cudny raj na ziemi.

Ale też poza nią nie widzi nic. Taki „homme de lettres" to tylko „homme de lettres" i nic, absolutnie nic więcej. Wszystkie myśli, czyny, pragnienia wkłada i obraca koło swych pism. Bolesne skrzywienie ust, para błyszczących oczu, uśmiech niewinny dziecięcia materyałem tylko będą dla niego. Bez skrupułu gwałci najświętsze uczucia i węzły, byle je tylko módz w pismach umieścić. Lekko zniesie katusze i męki; wielkie poświęcenie i praca Tytana zabawką będzie dla niego, jeżeli z niej książka powstanie. — Gdy jest szlachetny — to dla gestu. — Żyć będzie goniąc za Sztuką zawsze i wszędzie. A dusza jego po śmierci długo będzie błądzić po polach elizejskich, szukając miejsca pięknego i ciekawego — choćby w piekle.

O takim człowieku, najczęściej pisze Renard*), — zdaje mi się, że on sam się w nim przedstawia.

*

Od pewnego czasu ludzie starają się i mają sposobność wszystko poznać i przeczytać. Mnożą się tłómaczenia z najrozmaitszych języków, coraz więcej ukazuje się wydań starych pisarzy, coraz więcej piszą też studyów i krytyk. Toteż artysta dzisiejszych czasów, nie podlega tylko swym bezpośrednim poprzednikom, — owszem z pomiędzy wszystkich przed nim tworzących wybiera najpokrewniejszego, jednego — drugiego — trzeciego, z różnych epok i różnych czasów i ten staje mu się mistrzem i przyjacielem. Więc są tacy, którzy zaczytują się w św. Franciszku z Assyżu i mistykach średniowiecznych, i tacy, którzy uwielbiają wielkie ludowe epopeje, a inni cześć oddają tragikom greckim.

Renard, Francuz z krwi i kości znajduje oddźwięk swych uczuć w Rousseau, w jego tkliwości przeczułej i w szczerości jego. Z rozczuleniem rzewnem przypomina sobie jego chwile, marzy nad jego wyznaniami szczerości i zazdrości niepowstrzymanej. I Heine mu też nadzwyczaj miły; jego uśmiech szyderczy i kpiny z całego świata i ze siebie samego, wciąż jeszcze dźwięczą mu w uszach.

A potem Balzac, kolosalny „twórca ludu" wzór mu niedościgniony pokazuje psychologii i obserwacyi.

A po tych trzech to i E. Fromentin, i Flaubert, Stendhal, Verlaine, Mallarmé i Maupassant wywierali na Renarda wpływ w większym lub mniej-

*) „Tablettes d'Eloi"; „Ecorrufleur".

szym stopniu. Nigdy jednak nie stał się on przeważnym w jego dziele, częścią może dlatego, że za wiele się tych wpływów krzyżowało, a przedewszystkiem, że Renarda wielka indywidualność nie zniesie cudzych rządów, owszem sama sobie szkołę już zaczyna tworzyć. (Tristan Bernard, Paul Leclerq).

*

Trudno wielkim stylem, o małych mówić rzeczach." Toteż technika i sposób pisania Renarda inny jest od zwyczajnego. Zamiast pisać w szerokich rysach, rzuca tylko jakby światła różnokolorowe na pewne części życia. Utartego używszy frazesu maluje plamami. Krótkiemi słowy, krótkie szkicuje momenta. Stąd najwięcej pisze nowelek, ale nawet i w długą rzecz (boję się powiedzieć „powieść") nie wkłada akcyi stopniowo się rozwijającej — ale rzuca plamy takie, daje epizody, z lubością amatora obchodzi swoje postacie i coraz to z innej strony im się przygląda.

Przytem, jak malarze i muzycy nie dyssekuje duszy i nie kraje na części, by ją dokładnie poklasyfikować, w przeciwieństwie do psychologów, zmęczony analizą daje tylko rezultaty, płaty życia zewnętrznego, słowo, ruch, gest — reszty daje się domyślać czytelnikowi.

A skąd się wzięła ta wrażliwość przeczuła i ten — odważmy się powiedzieć — nowy sposób pisania.

Być może że to po prostu zwykły rozwój w literaturze. Po romansach rycerskich i powieściach bohaterskich — przyszła „komedya ludzka" i romans klas średnich. Teraz biegiem rzeczy czas na najbiedniejszych.

Być może, że to skutek zmiany uczuć w społeczeństwie i ich kierunku. Jak w życiu dopiero od niedawna zauważono biednego i ze strachem — i z radością — poczęto go dźwigać z nędzy (wszystko jedno z moralnej czy materyalnej) tak samo i w sztuce. Prawdopodobnie zresztą złożyło się na to i jedno i drugie a przytem mnóstwo innych powodów większych czy mniejszych, które wyliczyć byłoby rzeczą niemożliwą bo tak się wszystkie mieszają i łączą. Bo literatura, jak każda zresztą inna gałąź życia, jak życie samo, to jakby wielka cysterna, zbierająca krople deszczu majowego i strugi ulewy, śniegu sople i ziarnka gradu w jedną płachtę wody, w której trudno by było oddzielić kroplę od kropli, a rzadko tylko możnaby wyczuć cieplejszy prąd wiosennego deszczyka, bo wnet się wszystko rozpuści, rozpłynie.

J. H. RETINGER.

Na czasie.

Oto parę luźnych uwag, które nasunęły mi się przy sposobności czytania jednego z najmłodszych polskich autorów.

Nie jestem krytykiem zawodowym. Nie jestem obowiązany za 10 halerzy od wiersza wszystko rozumieć i o wszystkiem mieć coś do powiedzenia. Dlatego też miałem dość czasu na przeczytanie książki p. Józefa Relidzyńskiego (Poezje, Gebethner 1908).

Szkoda, że autor tę rzecz wydrukował. Za kilka miesięcy sam przyjdzie do tego przekonania. Niewielu zrozumie to co czyta, a wielu z tych co zrozumieją, to będą te dusze proste i nieuczone, które nie wiedzą że można lepiej napisać a pomyśleć gorzej. To co jest własnością autora, tego krytyce tknąć nie wolno. Chodzi tylko o to, że p. Relidzyński mimo wszystko, — za mało siebie ceni. Książkę jego pisało dwóch ludzi: on i jego tłómacz. Forma jest tłómaczem treści. Trzeba baczyć, by się swojemu tłómaczowi nie dać wziąć za łeb; a próbuje on tego na wszelki sposób. Najpierw podsuwa łatwo rym i rytm przez użycie słów, które pozornie treści nie przeczą, ale które tę treść powoli ku sobie odwodzą, jeżeli się im pobłaża. Często rym nagina do siebie sens całego wiersza, który niby z całością się zgadza, ale jest całkiem niepotrzebny i rozwleka sprawę, szkodząc jej sile i naoczności. (Do takich należą n. p. często, bardzo powszechne a przeto i bardzo łatwe rymy: końca, słońca, gońca). To samo dzieje się kiedy w rytmie brakuje jednej zgłoski; wtedy by nie psuć nibyto całości wiersza, który pozatem wypada dobrze, wkłada się gdzie się da słowa: „wraz“, „to“, „ja“ i t. d.. Gdyby p. R. miał większą cześć dla siebie, przyszedłby do przekonania, że są to drobiazgi bardzo niebezpieczne i dużoby z nich pozmieniał, choćby kosztem przerobienia całego wiersza. Nie można żałować sobie chwili skupienia, jeśli się nie chce zmarnować bożej łaski. Nie trzeba cenić sobie zbytnio tej „bezpośredniości“ pozornej, to często bywa tylko nagięciem idei do tych wyrazów, które nagromadziły się „na wierzchu“ przez oczytanie, osłuchanie, rażącą współdźwiękowość etc. Więcej cenić trzeba pierwotną bezpośredniość idei, fantazyi, niż łatwość formy; z tego założenia wychodząc tak można nagiąć formę, że z czasem właśnie jej bezpośredniość będzie czystem zwierciadłem duszy. — Ale wróćmy do porania się z tym swoim tłómaczem, bo to nie koniec jego ataków do zagarnięcia hegemonii. Kiedy bestya widzi że jego pan ma zbyt wyrobione ucho żeby nie odkryć jego podstawionych wyrazów, wtedy zaczyna nie słowa, ale ustępy całe najkunsztowniej układać, żeby dźwięczały ładnie. Wtedy trudniejsza sprawa: idea poczyna walczyć

z estetyką — z estetyką pustego dźwięku. Tylu znakomitych ludzi, zwłaszcza na zachodzie, uległo swemu sprytnemu tłómaczowi. Są to przeważnie poczciwcy, którzy radzi swojego sługę widzą w adamaszkach, a sami żyją jak Dyogenes w beczce. Niestety nie wiedzą o tem, że jeśli sami będą się mieć dobrze, to i sługa będzie mógł chodzić w złotogłowiu. Baczenie na treść, szacunek dla siebie samego urabia formę, zdobywa nią potem szacunek świata. — Zdaje mi się, że autor „Wielkiego Inkwizytora“ (którego niestety nie miałem czasu przeczytać) nie da się wziąć temu tłómaczowi — za dużo w sobie ma — i że prędko otrzęsie się z tych niektórych naleciałości zewnętrznych. Nie zdaje mi się, żeby mu mierność groziła. Przysłaną książkę czytam z przyjemnością, starając się ominąć niektóre dyssonansy (n. p. niedbały germanizm: „jakieś wspomnienia wielkie się purpurzą — te Miecza i Pancerza“, str. 18; — albo płytkość wynikła z pobłażania rymowi, str. 24 u dołu; — tamże owo fatalne „pozatem“; — tłómaczenie Goethego można było opuścić, jak również cały wiersz p. t. „Tragarz“, który wygląda jak owe wiersze dobierane w zabawie do rymów; obserwacya, że psy chodzą bez noszy „ssących“ niebardzo warta publikacyi. Nie najszczęśliwszy również wiersz p. t.: „Memento mori“, zwłaszcza ostatni wiersz drugiej zwrotki, który nie osiąga zamierzonego nastroju przez zwolnienie rytmu i uderzenie refleksyi brakiem rymu. Na takie rzeczy mniejszą można zwracać uwagę, jeżeli silne napięcie nastroju całości pozwala je przeoczyć — bywa to n. p. u Wyspiańskiego). Wypadałoby dla równowagi wyliczyć i wartościowe rzeczy w książce, trudniejsza by to jednak była sprawa, jako że ich jest niepomiernie więcej. Szanuję pana R. choć niebardzo sobie jeszcze cenię jego tłómacza. Bardzo pięknie rozumie przyrodę i widzi to czego inni nie widzą. Śliczny jest wiersz, w którym krowy idą do wodopoju, psuje go tylko końcowa liryczna teza (właśnie Upaniszady powiedziałyby autorowi, że przyroda innym językiem mówi niż on). Niemniej jednak zacnem jest to naciąganie rzeczy na swoją a priori powziętą modłę, dowodzi młodości i życia. Jeśli w książce Józefa Relidzyńskiego ludzie mało znajdą, będzie to tylko dowodem ich krótkowidztwa.
Niech p. R. czyta Danta i Piotra Kochanowskiego — a przedewszystkiem uważnie siebie.

Marek.

Część druga. — Wczoraj

Materyały podane poniżej, o ile nie będą opatrzone komentarzem naukowym, albo wyraźnie w przypisach nie oznaczone jako przedruk — drukowane będą z rękopisów. Co się tyczy tego rodzaju ustępów, redakcya — mimo usilnych sprawdzań — nie bierze całkowitej odpowiedzialności za to, czy rękopis nie był drukowany. Jako pierwodruk podajemy rzeczy drukowane wprost z rękopisu, nieobjęte wydaniami zbiorowemi, w pismach peryodycznych po dłuższych poszukiwaniach nieodnalezione — i ogółowi nieznane.

Moja autobiografia.[1]

Pawłów, 15 sierpnia 1888.

Chcesz, masz — a dla Ciebie tylko!

Ja, Twój przyjaciel, urodziłem się 12 września 1823 w Beremianach, na naszem Podolu. Rodzicami mojemi Erazm i Ludwika z Wolańskich Ujejscy. Dopiero mój dziad Piotr przeniósł się na Ruś czerwoną. Przodkowie moi, zacząwszy od Bolesławowego Szreniawity, gnieździli się w Województwie Krakowskiem. Jeszcze mój pradziad Józef Stolnik sandomirski i jeden z regimentarzy Konfederacyi barskiej posiadał znaczne dobra w Tarnowskiem.

Beremiany, to cudowna wieś! jakby stworzona na kolebkę dla poety. Strypa z Dniestrem łączą się na jej gruntach. Obie rzeki płyną między górami lasem pokrytemi lub skałami. W klinie, na górze, sterczą chatami Beremiany. A za tą wsią płaszczyzna pofalowana żyznej, podolskiej ziemi i dębowe laski, tak rzadkie na Podolu. W tych naszych lasach i na polach wznosiły się starożytne wojenne mogiły. Mój ojciec odgrzebywał w środku wsi groby, gdzie broń znajdował krzemienną. Archeolog Kirkor, temu lat ośm, odnalazł pogańskie cmentarzysko i wał okrążający dawną gontynę; z grobów wywiózł do muzeum w Krakowie wiele ozdób bronzowych i czaszki naszych protoplastów. Góra nad Strypą, gdzie to cmentarzysko, nazywa się Orliska. Podobno z tej góry wyrosłem. No, w udanej skromności spuszczam oczy przytem.

Było nas czterech braci w domu i piąty jakby rodzony, syn mego stryja i zmarłej przy połogu ciotki. Ja byłem najstarszy. Jako pierworodny pieszczony byłem, a już fanatycznie do końca jej życia przez moją babkę: Chorążynę Teresę z Witwickich Wolańską. Umarła dopiero w r. 1852, doczekawszy się wnuków odemnie. Uczyłem się w domu przy nauczycielu, który nazywał się Podlaszecki. Pierwszym moim serdecznym przyjacielem był Antoś Steblecki, syn księdza ruskiego w Beremianach Ztąd może mam miłość dla narodu ruskiego, dotąd niczem niezachwianą. Chrzcił mnie X. Łuszczyński, proboszcz naszej parafii w Jazłowcu, którego ruiny zamku nazywają Palmirą polską.

W r. 1831, mając lat ośm, widywałem często w domu rozbitków z korpusu Dwernickiego, oficerów od krakusów i hułanów, przyjeżdżających do nas konno w pełnych mundurach. Przypominam sobie, że nawet u nas w stodole, kilkudziesięciu żołnierzy polskich przez parę dni biwuakowało. Pamiętam sagany z kwaśnem mlekiem, które do stodoły wnoszono. Był pokoik gościnny w dachu domu; tam zamknąłem się i ułożyłem w myśli dwa pierwsze poemaciki patryotyczne, które potem wielkiemi literami spisałem. W jednym z nich znajdowały się dwa takie wiersze, które pamiętam:

Podajcie mi, ach czółenko,
Niech do mych braci płynę!

Zapewne Dniestrem chciałem się dostać do Warszawy. Jeszcze nie znałem geografii. Droga moja matka wyszperała kartki tych wierszy pod moją poduszką i jeździła potem z niemi po sąsiedztwie. Mając lat ośm, już miałem wietrzną sławę.

Oddano mnie wkrótce do szkół publicznych do Buczacza. Tam u XX. Bazylianów studyowałem dwie ostatnie klasy normalne i zacząłem pierwszą gimnazyalną. W tym Buczaczu nowe dla mnie cuda. Zamczysko stare na górze, gdzie wczołgiwałem się do zasuniętych gruzem lochów — i Strypa — i „kamień i na kamieniu, a tym kamieniu kamień“ — jak mówią o Buczaczu. W parwie łacińskiej, jak Ci wiadomo, utknąłem na deklinacyi A l a, chociaż urodziłem się na Orliskach. Skutkiem pomyłki był ten, że otrzymałem duże rózgi. Rozchorowałem się śmiertelnie. Chorowałem długo. Odebrał mnie ojciec z Buczacza i zawiózł do szkół do Lwowa. Zbrzydziłem sobie łacinę. Płacząc oświadczyłem stanowczo, że jej nie chcę. Chodziłem więc do szkół realnych. Mieszkałem we Lwowie u mego ojca chrzestnego a szkolnego kolegi mego ojca w Zamościu i wielkiego mego ojca przyjaciela, u Antoniego Rudzińskiego, właściciela apteki „pod złotym Lwem“ obok kościoła Bernadynów, w domu, który dotąd istnieje i gdzie także pod innem godłem apteka. Kiepsko się uczyłem — tylko z historyi i geografii byłem celujący. Nawet raz profesor historyi S t r a s s e r, który mnie lubił i różne książki mnie wypożyczał, przerwał raz prelekcyę, patrząc na mnie badawczo i spostrzegłszy z mojej twarzy, że ja to już wiem co on preleguje, powiedział: Ujejski, sage, was weiter. Powiedziałem. A pisałem także w tym czasie wiersze. Wiersze sarkastyczne na nielubianych przez nas profesorów. Kursowały one po ławkach. Schwycono je. Napróżno starano się wybadać, kto je pisał. Było wtenczas braterstwo między studentami.

Rodzice moi wypuścili w dzierżawę Beremiany i przenieśli się na

mieszkanie do Lwowa dla dozorowania edukacyi wszystkich nas pięciu. Ojciec mój, głębokiej, zamkniętej w sobie natury, chociaż najczulszego serca, był małomownym, nietowarzyskim, a oprócz poczciwego Rudzińskiego, do którego każdego dnia przed obiadem wychodził, nie szukał innych znajomości. Więc nudził się. I wziął w dzierżawę bliski Lwowa Dawidów od XX. Dominikanów. Na lichej ziemi gospodarował i tracił. Ale my studenci mieliśmy częste odpoczynki w Dawidowie biegając tam co święto, nieraz piechoto. Święta nasza matka prowadziła dom we Lwowie. Ojciec kochający Ją i nas mocno, więcej przebywał z nami, niźli w Dawidowie.

Wena moja poetyczna nie rozwijała się w mieście. Na wsi, w Dawidowie, chodząc po polach układałem wiele wierszy. Była ich cała książka, którą później spaliłem.

Przestałem chodzić do szkół, nie mogąc znieść suchej ówczesnej metody, przygnębiającej mego lotnego, ognistego ducha. Otoczyli mnie najlepsi rodzice domowymi nauczycielami. Uczyłem się w domu muzyki, języków i innych przedmiotów. Nauka systematyczna niekoniecznie mi pasowała — za to bezładnie czytałem wiele. Czytałem po całych dniach i po nocach. Walenroda umiałem na pamięć. A kochałem się przytem często i ogniście. Już miałem znajomość z Leszkiem Borkowskim, Augustem Bielowskim, później z Wincentym Polem. Podobno Bielowski dla wyrobienia języka, kazał mi dużo czytać w Biblii Wujka. Tonąłem w Biblii, która mnie zachwycała. W Dawidowie wiele pisałem. Tam, w oficynce, gdzie osobne pomieszkanie u rodziców dla siebie wyprosiłem, w dwóch nocach powstał mój M a r a t o n. Próbowałem pisać prozą. Dziesięć powieści zaczynałem — i nie kończyłem. Nie szło mi. Impetyczny — paliłem.

W r. 1845 moi rodzice sprzedawszy wujowi Beremiany, kupili kilka wiosek w Brzeżańskiem: Lubszę, Wyspę i Mełnę i tam się przenieśli. Młodsi bracia pozostali w szkołach we Lwowie, a najmłodszy poszedł do akademii inżynierów do Wiednia. Ja przeniosłem się z rodzicami i babką do Lubszy. Znowu miałem odrębne pomieszkanko w oficynach. Bez takiego odosobnienia żyć nie mogłem. Liczne sąsiedztwa rozrywały mnie, chociaż lubiałem i dotąd lubię samotność — wtedy kiedy jej potrzebuję. Rwało mnie do dalekiego, szerokiego świata — nudziłem się. Przyszedł rok 1846. Ten mną wstrząsnął do gruntu. W kilku nocach w Lubszy napisałem Skargi Jeremiego. C h o r a ł napisałem wcześniej, napisałem go we Lwowie, (bo jeździłem często do Lwowa), napisałem po wysłuchaniu muzycznej kompozycyi Józefa Nikorowicza w Zboiskach, gdzie mnie i wiele innych z młodzieży na

podwieczorek zaprosił. Słowa dorobione były do muzyki, która mnie zachwyciła.

W wycieczkach moich do Lwowa robiłem tam wiele znajomości, kochałem się, szalałem — ale także zawarłem serdeczną przyjaźń z Karolem Szajnochą i bywałem na wieczorach literackich u Kłodzińskiego, dyrektora Biblioteki Ossolińskich i u Marszałka Wasilewskiego, ojca Felicyi. Już znano mnie jako poetę i bardzo kochano.

W r. 1847 zakochałem się w ślicznym aniołku w sąsiedztwie Lubszy. Miałem lat ledwie skończonych 22, a rodzice nie chcieli mnie widzić skrępowanym tak wczesnem małżeństwem, a gdy już przedtem marzyłem o dalekich podróżach i ubierałem się w domu w strój grecki, uszyty według bajrońskiego wzoru przez orientała-żyda w Strzeliskach, więc po naradzie rodziców z Wincentym Polem, wyprawiono mnie do Paryża na naukę. Trzeba Ci wiedzieć, co domyślisz się łatwo Ty, która mnie teraz, mającego lat 65 nazywasz młodzieńcem, że w r. 1847, gdy miałem 22 lat skończonych, byłem jeszcze dzieckiem — a dziwnem. Bo używałem już świata, piłem z pełnej czary jego rozkoszy, a mimo tego miałem niewinność i naiwność dziecięcą.

Piszę jednym pędem odrazu na tych kartkach, chwytam punkta wybitniejsze z mego życia — i zapomniałem wspomnąć o człowieku, który wielki wpływ na mego ducha poetycznego wywierał. Był nim brat cioteczny mojej matki a mój wuj, Henryk Kozicki. Wiesz o tem że dopiero w ubiegłym roku pochowałem go — a byłem tak szczęśliwy, że znalazłem się natenczas na Podolu i mogłem kilka słów żalu i miłości nad Jego trumną wypowiedzieć. Otóż ten mój drogi Wuj był wielkim skarbem dla ducha mego. Wychowaniec szkoły krzemienieckiej, gorący patryota, równie gorący wielbiciel polskiej poezyi, zainteresował się entuzyastycznie mojemi próbami poetycznemi, które jemu pod osądzenie posyłałem. Dawał rady, wytykał błędy, a będąc znakomitym deklamatorem, odczytywał z zapałem na zgromadzeniach w swojem sąsiedztwie te moje pierwociny. Mieszkał w swoim majątku w Tarnawce, o parę mil od Beremian odległym — a już w parę lat po powstaniu r. 1831 działał na ducha maleńkiego poety, bo pamiętam czas, miejsce kiedy w Beremianach, przy zgromadzonych w domu moich rodziców sąsiadach, czytał z textu francuskiego, tłómacząc go odrazu najpłynniej na język polski, biografie „100 polaków i polek" Straszewicza.

A także zapomniałem o mojej wycieczce do Warszawy, którą odbyłem w r. 1844. Stało się tak: Na wakacyach byłem w Dawidowie;

rodzice pojechali na Podole w odwidziny do krewnych. Aż tu przyjeżdża do Dawidowa mój kuzyn i przyjaciel, trochę starszy odemnie a już właściciel Strzelisk, Wiktor Wiśniewski i mówi: W interesach jadę do Warszawy; wstąpiłem, aby cię pożegnać. A ja cały w ogniu, i do babki: Babciu, ja chcę jechać do Warszawy! — Jakże to może być, moje dziecko, rodziców niema w domu, a ty chcesz gdzieś wojażować. — Babciu, ja muszę! — No, kiedy musisz, to podaj mi moją szkatułkę. Tę szkatułkę mam dotąd. I w tej szkatułce święta ręka mojej babki zaczęła między papierami przewracać i z różnych kopert wydobywała banknoty na zasiłek mój podróżny. Więc pojechałem z Wiktorem na Chełm i Lublin do Warszawy. W Chełmie wypadł nam nocleg. Zajechaliśmy do jakiejś oberży, którą prowadziła nieszpetna panna Franciszka. Zainteresowała się młodym wojażerem, dwudziestoletnim chłopaczkiem, i mówi do nas: Mam jechać na zamówiony podwieczorek do bliskiego lasku; jedźcie panowie ze mną. Więc jedziemy. W lasku stół zastawiony i kilku oficerów moskiewskich. To mnie oburzyło. Ale w onym czasie inni byli moskale. Przy winie oświadczali się z przyjaźnią dla Polski i polaków. Jakoż ściskaliśmy się pijąc wino. Jeden tylko z podełba na mnie spoglądał, bo panna Franciszka widocznie ze mną kokietowała. Wchodziło to w jej rachubę. I koniec końcem ja z Wiktorem wróciliśmy sami do oberży — a ona gdzieś przepadła. Że też o takich głupstwach chce mi się pisać — kiedy pomijam tyle spraw i znajomości poważniejszych i ważniejszych. O uroku pierwszej młodości!...

Lublin przewertowawszy, gdzie zastałem jeszcze skromny pomnik postawiony na pamiątkę Unii lubejskiej — zwidziłem potem Puławy. W zamku był konwikt żeński. W ogołoconej świątyni Sybilli jeszcze coś znajdowało się pamiątek, także w domku gotyckim. W świątyni Sybilli płakałem. Znałem już poemat Woronicza. Przeprawiwszy się przez Wisłę, zboczyłem do Czarnolesia Kochanowskiego. Lipy już nie było. Potem do Zwolenia, gdzie grób złotego Jana. Potem przez Radom i R a s z y n do Warszawy. Miałem od Bielowskiego list do Wójcickiego. Ten był moim ciceronem. Oprowadzał mnie po Warszawie. Tu, raz rzekł, uderzaliśmy na arsenał! — Wprowadził mnie na posiedzenie redaktorów „Biblioteki warszawskiej". Po nudnych rozprawach Wilkoński zaczął opowiadać jedną ze swoich dykteryjek. Okularowe powagi kładły się po sofach ze śmiechu. Ja śmiejąc się położyłem się na stole, zielonem suknem przykrytym. Zwrócił Wójcicki moją uwagę, że to oparcie dla mnie młodego niestosowne. U Leona Łubieńskiego byłem także na literackiem śniadanku. Także

u Łuszczewskich, rodziców przyszłej Deotymy, gdzie poznałem Lenartowicza. Deotyma była wtenczas niewidziana, przy niańce. Jeszcze wtenczas nie improwizowała.

I także zapomniałem powiedzieć że na początku r. 1846, w lutym, byłem na Podolu odwidzając rodzinę. Miałem ścisłą przyjaźń z domem Wróblewskich w Czortkowie. Najstarszy syn Kazimierz (umarł w Bahii, w Brazylii. Gołuchowski wypędził go z kraju.), zdolny bardzo, autor Początku wielkiego dramatu, odwidzał mnie w Lubszy. W domu jego ojca ulokowałem się. Wciągnął mnie do ruchu rewolucyjnego. Jeździliśmy we dwóch propagując i przygotowując powstanie. Prawie nikt nie wymawiał się. Zachęta dwóch gołowąsych młodzieniaszków była wystarczającą. W Rydodubach u mego dziadka, brata mojej babki, p. deputata Witwickiego, mieliśmy się liczniej zgromadzić, aby uderzyć na blizki Czortków, gdzie stacyonował szwadron huzarów. Dziadek zawołał mnie do siebie i dyplomatycznie odradzał. Babka Witwicka pobłogosławiła zięcia, synów i mnie, każdemu dała medalik i powiedziała: Idźcie, gdy potrzeba. Była straszna zawierucha śniegowa. Siodłano konie. Nadleciał z Czortkowa od Wróblewskich posłaniec z uwiadomieniem, że uderzenie na Czortków wstrzymane. Już tam doszła wieść o rzezi tarnowskiej. Adolf Rozwadowski, emisaryusz delegowany na Podole, wstrzymał wybuch podolski.

A teraz wracam do mojej podróży paryskiej. Przedtem, jeszcze jedno straszne wspomnienie. 31. lipca byłem we Lwowie. I szedłem z tłumem, który szedł za wozami, na których wieziono na śmierć męczeńską Teofila Wiśniowskiego i Kapuścińskiego. I byłem tam — i widziałem — i po raz pierwszy dowiedziałem się, że przez ból wielki zaciętość rodzi się w duszy człowieka, — a łza jest bolu profanacyą. Teraz zrozumiesz, co Cię dziwiło, gdy raz w liście wspomniałem, że po stracie Jasnej, szedłem jak kamień na posiedzenie parlamentu we Wiedniu. Wróciwszy z ekzekucyi pędziłem do najbliższego mego przyjaciela, Szajnochy, — w jego objęciu wybuchnąłem płaczem. Płakaliśmy obydwaj. A kiedy w innym strasznym dniu dla mnie, wróciłem z posiedzenia parlamentu do mojej stancyjki, tom zwalił się na łóżko, i położyłem rewolwer przy sobie — ale spostrzegłem wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa nad łóżkiem — i ocalałem.

Boże! Jak Ty mnie wodzisz, przez jakie bole i przepaści, abym stał się duchem nieśmiertelnym, Tobie na wieczność oddanym, Tobie służącym w pokorze i nieudolności mojej.

Znasz mnie. Wiesz, że w jednej chwili umiem z wysokości zstępywać i nazad w górę lecieć; że umiem hamować w sobie najżywsze

poruszenia i schodzić do spokoju. Takim mnie zrobił mój los i siła mego ducha.

Więc, nie odrywając pióra, jadę teraz do Paryża.

A jechałem, naturalnie, na Kraków. Już przedtem znałem go. W roku, podobno 1843, czy 1842, odwoziła nasza matka najmłodszego syna do Wiednia, do akademii inżynierów. I wzięła mnie ze sobą. To była pierwsza podróż moja. Więc na Kraków jechałem. Na kopcu Kościuszki zebrałem wiązkę trawy i kilka kwiatów, i poniosłem ze sobą — jako talizman na pokusy paryzkie.

Więc jadę do Paryża. Zmówiłem się z Wincentym Polem, który dla zdrowia udał się do Warmbrunu. Tam dążyłem. W Wrocławiu „pod złotą Gęsią“ zdybałem się z Sapiehami. Przedtem, kiedy napisałem w Lubszy „Skargi Jeremiego“ posłałem bezimiennie ich odpis X. Leonowej Sapieżynie, która już wtenczas świeciła w naszym kraju cnotą i patryotyzmem, jednającym dla niej cześć naszą. Nazwałem ją w przypisku, jak słusznie, „Kapłanką Polski“. I kiedy teraz to piszę, ona żyje jeszcze. Daj jej Boże życia najdłuższego! Więc otulono mię przyjaźnie. Odwidziwszy Pola w Warmbrunie puściłem się w góry Karkonoszów (Riesengebirge). Tę wycieczkę odbyłem z Purkinim, sławnym geologiem czeskim i z jego synami. Byłem na szczycie Śnieżnej góry (Schnee-Koppe) — gdzie nocowaliśmy. Rankiem dwóch synów Purkiniego i ja budowaliśmy z kamieni wielką piramidę. Zjawił się jakiś niemiec i — pyta co robiemy. Rzekłem: Für die polnische Unsterblichkeit! —

Wróciwszy do Wrocławia, X. Leon, który odwoził syna Adama na naukę do Anglii, zaproponował mi, abyśmy razem przez Niemcy jechali. Naturalnie, że z wdzięcznością to przyjąłem. I razem pojechaliśmy do Berlina, gdzie przez parę dni zabawiliśmy.

W drodze, jadąc w jednym wagonie, mówił wiele do mnie X. Leon, dając mi skazówki, które w dalszem mojem życiu stały się przy ciężkich przejściach, bogactwem dla mnie. Z Berlina jechaliśmy razem dalej do Belgii. Była natenczas jeszcze kolejowa przerwa — między Hamm a Münden, którą odbywaliśmy dyliżansem. Noclegując gdzieś w tej przerwie, X. Leon zażądał w oberży jednego pokoju na nas trzech. Jedno łóżko było w tym pokoiku. „Wy młodzi przespicie się na materacach na ziemi“. — Mówił mi raz X. Leon, że po powstaniu r. 1831, gdy zagrabiono jego wielki majątek, znalazł się w bardzo biednem położeniu i mieszkał z żoną i dziećmi w Wrocławiu, wydając dziennie 1 floren na utrzymanie. Ta prostota, szczerość budziła we mnie wiele myśli, które stały się wielkim skarbem na dalsze moje

życie — dla mnie pochopnego do lekceważenia grosza. W Bruxeli, gdzie rozchodziły się nasze drogi, bo ja jechałem do Paryża, a X. Leon przez Ostendę do Anglii, poznałem przez niego młodych Czartoryjskich, którzy przybyli do Bruxeli dla zobaczenia wuja. Byłem parę razy z X. Leonem u Skrzyneckiego. A sam, z Lucyanem Siemieńskim, do którego miałem list od Bielowskiego, u Lelewela. Bardzo to sprawy ciekawe, ale gdybym wszystko pisał, byłaby z tego księga, a ja tylko notatki kładę dla Ciebie hamując się, a folgując pióru nieraz bez sensu.

Ano, jestem w Paryżu. Zajechałem do hotelu de France na r. d'Autin. Żądam stancyi. Wpakowano mnie do dwóch paradnych pokoi dywanami wybitych. Siedm franków dziennie. Przestraszyłem się. O, ta straszna duma szlachcica polskiego! Przyjąłem dwa pokoje. Nazajutrz przeleciałem piechoto Paryż — i zaraz stanęło mi bliskie morze, morze przed oczyma. Widzić morze to jakby zbliżyć się do nieskończoności, to jakby zbliżyć się do Boga! — Wieczorem tego samego dnia, pognałem do Hawru. Z Hawru, mniejsza gdzie, na pierwszy odpływający okręt płynę do Cherburga. Miałem w drodze wyśmienitą burzę, aż się radowała dusza moja trzymająca się ciałem przy maszcie.

Tych sześć kartek posyłam Tobie — a resztę, jak Bóg da. Ani odczytuję, co napisałem — dodaj komy, gdzie potrzeba.

Cała moja pielgrzymka do morza wżłobiła się głęboko w pamięć moją. Wyjechałem z Paryża wieczorem. Noc była cicha, jesienna, księżycowa. Chociaż kupiłem bilet do drugiej klasy w Mantes przesiadłem się do klasy czwartej, której podówczas wagony były bez żadnego przykrycia. Gołe, na popielato pomalowane ławki i ciemnobłękitne niebo zamiast dachu. Jechałem śliczną Normandyą, którą stosowniej, niźli Bolonię we Włoszech, możnaby nazwać: la grassa. Takie bujne, soczyste łąki i tuczne bydło po nich; na co patrzyłem przy powrocie za dnia. I stworzony jestem na turystę. Za wszystkiem szperam w podróżach, na wszystko zwracam uwagę. Toż w Rouen zabawiłem dwa dni. Cudne miasto! stara Sekwana, niektóre ulice o domach średniowiecznych, katedra jedna z najpiękniejszych, — i plac tragiczny, na którym spalono Dziewicę Orleańską. Gdzie Jej popioły?! — Jeśli trwają dotąd w sercach francuzów, to wypędzą niemców z Alzacyi — Daj Boże! — Z Hawru do Rouen wracałem Sekwaną. Wzgórza po brzegach, a na wzgórzach ruiny starych zamków; i jeden z nich Roberta-Diabła, który śpiewał w tym czasie w operze parys-

kiej. Między Rouen a Paryżem wrzało po wagonach. Duc de Praslin został w Paryżu właśnie uwięziony za morderstwo żony. Pokazywano w przejeździe jego zamek opodal drogi kolejowej. W Paryżu widziałem tłumy przy pałacu Praslena zamkniętym, ponurym, o spuszczonych storach. W nim zamordował żonę. Na ścianie pałacu czernił się napis ręką mściwego ludu węglem nakreślony: L'ordre règne à Varsovie. Te słowa wypowiedział z trybuny, po wzięciu Warszawy, marszałek Sebastiani, ojciec nieszczęśliwej Praslenowej. Podobno żył on jeszcze. Wkrótce potem uwięziono jakiegoś byłego ministra przy obrzydliwym szkandalu w publicznym domu. Cuchnęło w tej belle France za rządów Ludwika-Filipa. Mruczał lud — było to mruczenie nadchodzącej burzy.

A ja już w Paryżu — wykąpany w morzu. Miałem list od Lucyana Siemieńskiego do Walerego Wielogłowskiego. Poszedłem do niego. Zajął się mną po ojcowsku. Zaraz, w tej samej kamienicy, na górnem piętrze najął dla mnie małą stancyjkę, gdzie się ulokowałem. Rychło dowiedział się, żem poetą. Może Siemieński pisał o tem coś do niego. Aż w parę dni pojawia się w Paryżu, w „Dzienniku Narodowym" mój Chorał, bez wymienienia autora. Ktoś z kraju przysłał ten wiersz do Paryża, a dziennik wydrukował. Zawrzało między całą Polonią. A ja mówię raz Wielogłowskiemu: To mój wiersz. Z niedowierzaniem popatrzył na mnie. — Ja mam więcej takich rzeczy — powiedziałem. Co? jakie? — i z pamięci spisałem wszystkie moje Skargi Jeremiego. Chwycił je Wielogłowski i powiedział: Będę drukować. Wielka radość dla mnie. Jako wynagrodzenie autorskie otrzymałem od niego ślicznie oprawiony exemplarz, który mam dotąd. Był on jakby dyplomem dla mnie — bardzo się ucieszyłem. Emigrancki swój grosz zaryzykował dla mnie poczciwy Wielogłowski, za co mu do zgonu wdzięczny jestem. Wątpię, czy wrócił mu się nakład. Książki drukowane przez emigracyę w Paryżu, stały ofiarą nakładców. Wkrótce potem przeniosłem się na wygodniejsze mieszkanie na rue Vaugirard, naprzeciw pałacu Luksemburgu. Zapisałem się do klubu polskiego na r. Neuve St. Augustin, gdzie chodziłem na obiady, fabrykowane kunsztem kucharza polaka. Gdy się tam pojawiłem, przyjęto mnie jakby dziecko ukochane. Już dowiedziano się, że ja jestem autorem Chorału — a tymczasem Skargi drukowały się. Prosiłem Wielogłowskiego, aby na wszystkie sposoby zakrył moje imię, drukując Skargi. Więc położył na książeczce L o n d y n zamiast Paryża — a przy końcu wierszy położył R z y m, niby tam autor je pisał i przebywał. Ta ostrożność była potrzebną. Z wielkim trudem otrzymałem w kraju paszport tylko do „Deutsche Bundesstaaten". Poczciwy Darowski pomagał mi w tem,

jeżdżąc ze mną do dyrektora Policyi, osławionego Sachera, do Winnik, gdzie ten cerber odsiadywał swoją letnią wilidżiaturę. A gdy przejechawszy Niemce, znalazłem się w wagonie na granicy belgijskiej, wszedł do wagonu żandarm żądając od pasażerów paszportów. Wyjąłem mój, brzmiący tylko na Niemce. Popatrzył na mnie badawczo, ja wymownie na niego i oddał mi paszport z lekkim uśmiechem. Widocznie nie wyglądałem na zbiegłego kryminalistę. Rozmówiliśmy się oczyma.

Więc w klubie polskim, gdzie zasiadało do stołu wiele znakomitości z r. 1831, jenerałowie, posłowie, pisarze, a których znałem już dawniej z wizerunków i ich biografii w dziele Straszewicza — byłem pieszczochem tych ojców. Tam zjawił się raz na chwilę jak blade widmo Szopen i dał mi swój wizytowy bilet z adresem i zaprosił do siebie. Tam objawił mi się równie przelotnie Słowacki, równie blady, o wielkich czarnych oczach, i znikł — a ja drżący zbliżyć się do niego nie śmiałem. Ale o Szopenie, Słowackim, Mickiewiczu, o Bogdanie Zaleskim, o Antonim Goreckim nie zaraz mówić będę. Dopiero na wyjezdnem z Paryża rozgadam się o nich przed Tobą.

W i ę c (to częste w i ę c biorę z pamiętników Kilińskiego) — więc mieszkam teraz na r. Vaugirard w małym hotelu garni, wynajętym i prowadzonym przez parę auwerniaków, zdaje się chłopów; przez małżeństwo: Monsieur et Madame Dumas. Pani Dumas uprząta w pokoju, pan Dumas czyści mi suknie i cieżemki. I dlatego miałem racyę, kiedy wróciwszy do kraju, na zapytanie czy poznałem w Paryżu sławnych pisarzy francuskich, odpowiadałem z dumą: I jak jeszcze! D u m a s cieżemki mi czyścił. — Cały hotelik zapełniony studentami, do których chodzą gryzetki — (już ta warstwa dziewcząteк, pełna naiwności i uroku wymarła teraz w Paryżu), także znajduje się w hoteliku parę małżeństw fałszywych — a ja, jako notre cher polonais, tronuję w tym hoteliku; tembardziej, że posiadam najparadniejszy, najobszerniejszy pokój, na pierwszem piętrze, z dwoma oknami na front, dywanikiem wyścielony, za który płacę 40 franków miesięcznie z pościelą i usługą. Mam także wynajęte pianino, i szlafrok fioletowy z fałszywego aksamitu, kupiony po drodze w Wrocławiu za psie pieniądze — i także wielką cygarniczkę z jednolitego bursztynu, za którą zapłaciłem w Salzbrunie aż 7 talarów, do czego mnie namówił stary szlachcic polski, znany z kraju, aby się przypodobać pięknej kupcowej, do której się umizgał. Więc jestem en vogue — kochają się we mnie. Jadam czasem w domowym table d'hôte, a czasem w niedzielę, w jadalnym ogólnym pokoju, przez który chodzę do mego s a l o n u, sunę

w pierwszej parze ze starą panią Dumas kontradansa, przy dźwięku mojego pianina sprowadzonego do sali balowej. Toż gdy w maju r. 1848 wyruszałem na wojnę do Polski, był płacz po mnie i lament, i wiele pięknych twarzyczek stało przy drzwiczkach fiakierskiej karetki.

A krzepko biorę się także do nauki, bo święci rodzice na to mnie wysłali, i zapewnili w tym celu mój pobyt w Paryżu na dwa lub trzy lata. Chodzę na różne prelekcye do bliskiej Sorbony i Colège de France, gdzie słucham także prelekcyi Micheleta. Ugodziłem francuza, wykolejonego literata, który mnie przygotowuje do zdania examinu w dalszym ciągu. Z dyplomem, jako bachelier es lettres chciałem powrócić do domu rodzicielskiego. Nadeszła zima i zaśnieżyła naukową moją wulkaniczność. Tańczyłem na tygodniowych zebraniach u XX. Adamów Czartoryjskich; zaprzyjaźniłem się z ich starszym synem Witoldem, serdecznym chłopcem a trochę lampartem; bywałem z nim po innych polskich domach — między innemi u X. Izy Sanguszkowej, gdzie mnie spotkała owacyjka — kiedy la table des princesses, przy którym siedziały X. Helena Ponińska i X. Eustachowa Sanguszkowa i X. Czartoryjska i jej matka X. Anna Sapieżyna, poruszył się lekko, aby autorowi Chorału udzielić parę słów uprzejmych. Na wieczorze u X. Izy olśniła mię pięknością p. Calergi, une beauté opulente, blondyna, biała jak śnieg, pełna, słusznego wzrostu. Tańczyłem z nią. Moskiewka, Nesselrodówna z domu, a lgnęła do polskich domów. I kiedy później z Adamem Kochanowskim, emigrantem z Galicyi z r. 1846, udaliśmy się do niej o składkę dla biednych emigrantów z tego krwawego roku, dała nam więcej, niż ktokolwiek z polaków, dała nam 1000 franków. Wyszła potem powtórnie za mąż za Muchanowa w Warszawie. A na jej pogrzeb cała Warszawa wyległa. I dlatego o niej wspominam — bo znajomość moja była małą i przelotną.

. . . .

A teraz pomyśl, że przy tem wszystkiem odwidzałem Mickiewicza, Słowackiego, Szopena, i umiałem duchem róść przy każdej wydarzonej okazyi. Dziwny ja człowiek. Miałem takie koneksye z Towianami. Ciągnęli mnie, ale niepoddawałem się. Byłem jakiś trzeźwy na tym punkcie, a zanadto w sobie dumny i niepodległy.

. . . .

Serdeczny był to człowiek (Henryk Służalski), z lubelskiego rodem a miał się za kozaka z Ukrainy. Był małym urzędnikiem przy kolei, robotnicy ubóstwiali go. Mógłbym o nim cały tom napisać. Korespondowałem z nim później. Przysłał mi odcięte po śmierci włosy Adama

ze Stambułu. Umarł w Trikalis u nędznych kozaków Sadyka-Paszy. — Jakiemi drogami duch mój się wodził, to przecie niezwykłe. A niech będzie Najwyższemu Bogu chwała, w którego wierzę jak w to słońce, które co dnia widzę nad sobą, żem nie zmarniał, że czuję się teraz lepszym i silniejszym niźli byłem za czasu młodości mojej. Chwała Mu chwała, chwała Jego miłosierdziu, podnoszącemu pokorny pył od zbłoconej ziemi, aby go przemienić na promień nieśmiertelny.

Co ja nie piszę w tych notatkach! Miałem zamiar na trzech ćwiartkach skończyć obiecaną autobiografię — a ona rośnie, rośnie aż mnie strach zbiera. Dla czego tak? Bo mówię do Ciebie.

Grzmi już w Paryżu. W grudniu, na prelekcyi Micheleta, student odczytuje i tonem persyfluje tronową mowę Ludwika-Filipa wypowiedzianą przy otwarciu prawodawczej izby. Byłem obecny. Lakordera słuchałem na jego konferencyach w Notre-Dame. Jego łagodzące a potężne słowa już nie działały na mnie. Ogniem żyłem. Elektryczność była w powietrzu, przejmowała mnie we wszystkich żyłach moich. . . . . . Między studentami radziliśmy. Lew z quartier latin budził się. I przyszedł Luty. Takiej drugiej rewolucyi już nie będzie! Chrystus unosił się nad Paryżem. Mało gwałtu, mało krwi, żadnego uderzenia harmaty, kolby liniowego wojska podnoszone do góry na znak zgody i braterstwa. Tron upadły w śmieciu, entuzyazm wnieborosły, biały pożar w duszach, nie ten czerwony na dachach — tak odbyła się rewolucya lutowa.

Byłem w niej czynny. Byłem na „Placu Zgody", kiedy 200.000 ludu manifestowało się. Byłem w następnym dniu, we środę, o paręset kroków od bulwaru, kiedy w nocy dano ognia do idącego ludu a on poniósł trupy na plac Bastylii i ogłosił walkę. A we czwartek wyszedłszy z domu szedłem po ulicach ogołoconych z bruku, bo stawiano barykady. I przy jednej na zapytanie, kto jestem — chciano mnie ogłosić dowódzcą, dla tego, żem powiedział: Polonais. Z bratem moim, francuzem i studentem (nazywał się Perut) zdybałem się po drodze szczęśliwie. Niósł karabin. Podążyliśmy we dwóch na drugą stronę Sekwany. Widziałem fale zapełniające całą ulicę, kiedy od Bastylii szedł lud przez ulicę St. Honoré, gdzieniegdzie zbrojny oderwanemi żelaznemi sztachetami — straszny jak huragan. Na placu Palais royal znalazłem się z moim towarzyszem, zbrojni jednym karabinem. Plac zapełniony tłumem. Przed nami kasarnia, gdzie zamknęli się municypaliści. Każda ich kula trafiała. Podłożono słomę pod kasarnię. Wydymiono lisów. Lwy to były. Wybrani żołnierze z wojen algierskich. Otworzyli bramę i wyszli z bagnetami naprzód. Jeden z nich

znalazł się przy mnie i przy moim Perut. Uderzył w piersi bagnetem jednego z bluzistów. Powalił go. C'est mon frère! — krzyknął inny w bluzie i zabił go uderzeniem swego bagnetu. Padł i dyszał. Usunęło mu się czako z czoła. Padł tak, że mnie potrącił aż upadłem na kolano. Zerwałem mu z czaka blaszanego koguta i trójkolorową kokardę — i schowałem do kieszeni, na pamiątkę tej chwili. Byłem jakiś zimny, przytomny w głowie, chociaż cały drżałem wojenną gorączką. A ja mówię do Perut: Idźmy teraz do Tuilerjów. Przedarliśmy się przez tłumy. Stanęliśmy na ulicy Rivoli przy jednej, najbliższej zamku bramie ogrodowej. Brama o żelaznych sztachetach zamknięta. Po kilku chwilach widzimy, a było nas przy bramie sporo ludzi, widzimy, że środkiem ogrodu sunie garstka. C'est le roi, c'est la reine, c'est la duchesse d'Orléans avec son petit, qui s'en vont. Krzyknęli wkoło mnie. A po chwili cały oddział wojska piechota z kolbami do góry, i harmaty gromadzone na placu karuselskim dla obrony zamku przedefilowały ogrodem przed nami. Le chateau est vide. — Krzyknięto. I barkami wyważyliśmy bramę. I do zamku! — Weszliśmy we stu, może we dwiestu; przed nami uciekali w trwodze liberyjni słudzy królewscy zrzucając ze siebie ponsowe fraki. Szliśmy przez puste salony. Widziałem w jednym z nich zastawione na stole niedokończone śniadanie i cygara jeszcze kurzące. W sali tronowej widziałem na estradzie ogołoconej z dywanu, na deskach widziałem napis nakreślony kredą: Vive la Pologne! — Kto to napisał? — Chyba ręka anioła bożego. Tron stał przewrócony, po części z purpurowego aksamitu odarty. Poszedłem i urwałem kawał aksamitu. (Między moimi gratami już go później odszukać nie mogłem). W sypialni królewskiej z nad łóżka, ja i Perut zdarliśmy na pamiątkę krzyż i kropielnicę z perłowej macicy. Krzyż wziął Perut, ja kropielnicę. Tę mam. Widziałem, że inni szukali innych pamiątek. Rozbijali biurka. W jakiejś bibliotece wziąłem także książkę. Mówiono mi że to biblioteka X. Joinville. Mam ten dykcionarz arabsko-francuski. Książka według cyfry na okładce należała do Xcia Orleanu. Gdzieś na podłodze podjąłem zwitek papierów zawiązany wstążką i wsunąłem ją także do kieszeni. Łakomy byłem na pamiątki. A tu, po jakich dziesięciu minutach, wali się na pokoje tysiączna masa ludu. Ledwie przepchałem się z powrotem. Błądząc dostałem się na galerje obrazów Luwru. Już stali przy drzwiach na straży bluziści z karabinami, i każdego wchodzącego z cygarem przestrzegali, że dym szkodzi obrazom. Co za lud!

(Nowych 5 kartek posyłam. Rób z komami porządek, bo ja nie czytam co napisałem). *KORNEL UJEJSKI.*

Erotyki.[2])

I.

Jle to lat?... Czy my wiemy —
Podziałów niema w wieczności;
My jak dwa duchy idziemy
Przez niebo naszej miłości.

Idziemy cisi, pogodni
Przez niebo naszej miłości —
Świat zdrady, pychy i zbrodni
Znika za nami w nicości.

II.

Ach, kocham ciebie każdem serca tchnieniem,
Ach, kocham ciebie łzami i płomieniem,
Tyś moje życie i szczęście i świat —
Kocham — a nie wiem ile chwil, czy lat
Jak kocham ciebie......

Ach kocham ciebie na wieczność, na wieczność,
I nie przez stałość ale przez konieczność,
Kocham — sam nie wiem dlaczego i jak
Jak pluska ryba i jak lata ptak,
Tak kocham ciebie! —

Chwilami szczęścia moje życie znaczę,
Z nicości wstaję kiedy cię zobaczę,
Nic nie chcę widzieć oprócz twoich lic,
Nic nie chcę widzieć, ani kochać nic,
Lecz kochać ciebie! —

Ach, kocham ciebie każdem serca tchnieniem,
Ach, kocham ciebie łzami i płomieniem....
Chciałbym wynaleźć wiele słodszych słów;
Na próżno szukam — i powtarzam znów
Ach — kocham ciebie! —

III.

Wracam już do niej, ach, wracam przecie,
Długą strawiony tęsknotą —
Nie kończ się świecie! nie kończ się świecie
Dokąd ramieniem mnie nie oplecie,
Nie powie: Moja pieszczoto!

Trwoży mnie serca tak silne bicie
Jak w złem przeczuciu przed bitwą —
Trwaj moje życie! Trwaj moje życie!
Dokąd nie klęknę przed nią w zachwycie,
Nie powiem: Moja modlitwo!

Patrzę po niebie, ono bez trwogi,
Wesołe są gwiazdy nocne,
Dziękuję Tobie Stwórco nam błogi,
Że dałeś światom bezpieczne drogi
A człeku serce tak mocne! —

IV.

Wszystko zawiodło! Ojczyzna w grobie,
Bóg zasnął w niebie.
Z piekieł zwątpienia rwę się ku tobie
I sławię ciebie.

Poszły już wszystkie sny moje złote
Wiatrom na przędzę;
Dzieliłaś ze mną mej wiary cnotę —
Podzielisz nędzę?...

Gdy przez pustynię pójdę bezmierną
I drogę ciemną
Czy będziesz dla mnie dobrą i wierną
Czy pójdziesz ze mną?...

Gdybyż przy tobie zamknąć powieki,
O Antygono!
Z ostatniem słowem: Bądź mi na wieki
Błogosławioną! —

V.

W ciemnych otchłaniach duch mój się miota,
Gdy wyjdę na jasne chwile,
Niewiem co zbrodnia, niewiem co cnota,
Kocham cię!... Wiem tylko tyle.

Kiedy milczący patrzę na ciebie
Świat mi się mąci zawile —
Niewiem czym w piekle, — niewiem czym w niebie —
Chłonę cię!... Wiem tylko tyle.

A gdy mnie wezwie trąba Sądu złota
Powiem zbudzony w mogile:
Nic nie pamiętam z mego żywota —
Kochałem!... Wiem tylko tyle.

VI.

Że ciebie kocham wiedzą o tem ptaki,
Bom się przed małym słowikiem użalał;
Już żartowały ze mnie drwiące szpaki:
Czyś ty oszalał?!...

Jest w tem co mówią prawdopodobieństwo,
Chociaż nie dyszę burzą i zarzewiem;
Że mną owłada spokojne szaleństwo,
I wiem i niewiem.

Choć kocham ciebie, nie tracę spokoju
Nie chcę ni rwać się, ni lecieć, ni płonąć —
Chciałbym jak w jasnym, przeźroczystym zdroju
Tonąć i tonąć — —

Czuć że mnie ramię pieszczone otacza,
Że twój wzrok słodki pada na me skronie,
Że duch nademną, co wiele przebacza,
W naszej obronie.

Świeci znów księżyc, twój posłaniec cichy —
Czy on wyleje na me stare rany
Rosy i blasku dwa srebrne kielichy:
„Jesteś kochany!...“?

* * *

KORNEL UJEJSKI.

Z pamiętnika.[3]

19/6

Nie ma u Ciebie śmiałego polotu myśli, — żywej wyobraźni; — przyjmujesz wszystko tak jak Ci jest podanem. Ale któż dorówna Ci w dziewiczym wdzięku Twoim? — Serce Twoje jest Tobą — a Ty sama cała jesteś sercem. — Uczucie Twoje zastępuje Ci myśl, myśl Twoja jest uczuciem. Ono jest alfą i omegą, zagadką całego Twego życia. — Przeniknąłem głąb Twoją Siostro! — Lęk i ból mnie przejmuje ilekroć w nią spojrzę; — ach! a widzę Cię co dnia! — Przyszłość Twoja może być czarną jak grób. — O nic Ty nie pytasz inaczej jeno sercem — sercem najszlachetniejszych uczuć; — na to chyba świat aniołów zdolen Ci odpowiedzieć, — ziemia nigdy, albo bardzo rzadko. — Gdybym Ci mógł dać człowieka godnego Ciebie; ciszę, spokój i szczęście domowej zagrody, — dałbym Ci cały świat!

Dziwnie odzwierciedliła się w Tobie Siostro moja! piękność i posępność Twoich stron rodzinnych; wszystko w Tobie ciche, posępne, głębokie jak Twoja wioska osłonięta górami, — samaś smukła jak jodła — piękna i porywająca jak świat górski — — i ja się Ciebie wyrzec musiałem!.......... Nie mogłaś mię pokochać dla mego odszczególniania się między młodzieżą. — Pękałem się na to pierwej, — widząc moje uczucie zdeptane przez Ciebie, zdawało mi się że mię cały świat depce. — Jeśli we mnie Człowieka pokochać nie możesz Siostro moja! lepiej żeś nie pokochała bożka. Ja pokochałem w Tobie kobietę. — Straciłem Ciebie dla siebie. — Mam Cię tylko dla Ciebie samej. — Światu oddałem siebie na wszystkie lata mojego żywota.... Co on mi da? — Trochę sławy?.... zimna....! a mnie strasznie gorąco w piersiach — i grób... czarny; — a ja jasności łaknę. — —

. . . .

Wieczór.

Bywają dnie że przy Tobie i dla Ciebie Siostro zapominam o wszystkiem, oddaję się całkiem Tobie i towarzystwu, — zapominam — nie! lżej tylko czuję żem Cię stracił na zawsze; — taki dzień liczę do szczęśliwych — i takim był wczorajszy. Nigdy może nie czułem goręciej Twej utraty jak dziś, była chwila w której sądziłem iż utraciłem już przyjaźń Twoją; dziko zrobiło mi się w piersi — jednak grałem komedję — .... poszliśmy na zamek..... zdawało mi się że mię stronisz!........ podałem Ci rękę.... przyjęłaś aleś była smutną. Sądząc że przyczyniam się obecnością moją do tego, wyprosiłem słowo u Ciebie, iż skoro bym Ci się stał przykrym, lub zbędnym dla Twej przyjaźni powiesz mi w tej chwili; — przyrzekłaś niechętna! a ja spodziewałem się że mi powiesz: zbędnyś mi..... Nie wiem jak Cię przeprosić za to — nie mam słów do podziękowania Ci za wywiedzenie mię z błędu. — Wróciłem spokojnym.....

. . . .

I znowu duma! — i nawet wobec Ciebie Siostro! — Duma natchnęła tę prośbę o której wyżej wspomniałem. — Zdawało mi się że jest niegodną mnie rzeczą zbliżać się do Ciebie jeśli Ty mi z litości okazujesz życzliwość. — Duma oh! ja jestem szatanem dumy. —

. . . .

20/6

Modlitwa i marzenie wiele mają wspólnego. — Oboje są tęsknotą za lepszem; — więcej bo tajemniczem wżyciem się w to lepsze; — oboje niosą ducha po za rzeczywisty świat i z ziemią prawie nic wspólnego nie mają. — 5 lat temu modliłem się raz ostatni z wiarą; — od chwili zachwiania się jej przestałem się modlić, — trzy lat przeszło niewiary; dwa lat wahania się między pojęciem Boga w naturze a denegacją Go; — — — — gdzie się myśl przychyli?..... poweź sobie: „Jestem z Boga i Boga częścią, wieczność moją!..." czy powie sobie: „To, co mię dziś składa zmieni się w pył — a moją jest nicość?" — Gorącą czuję potrzebę modlenia się odkąd Cię poznałem Siostro. — Wiara budzi się z przypomnień... myśl nie chce się ugiąć przed nią, nie przeświadczona o jej prawdziwości...... marzę o Tobie i uspokajam się jakby modlitwą. —

. . . .

21/6

Wczora widziałem Cię szczęśliwą — przynajmniej to powiadało mi Twe oko pełne światła i rumieńce na twarzy; — raz

tylko zbliżyłem się do Ciebie i zapytałem „Jak Ci Siostro?“ — „Miło mi“ odrzekłaś. — O! dzikie niesforne to serce moje. — Trzeci miesiąc mija odkąd mu powiedziałem: „Przestaniesz Ją kochać dla siebie; — dla Niej Ją kochać będziesz!“ — Zdawało mi się że uległo posłuszne rozkazowi, bo kochało mocno, i biło spokojnie.— Jak wierzyciel zaspokojony procentem umilkło ono na krótki czas — oszukało mię spokojem, a teraz pęka się i jęczy o całe niebo swoje. — — — — Przy powiedzeniu Twojem Siostro „Miło mi!“— ostygło mi ono w piersiach — zabolało, a potem powiedziało — „Nie kocham już!“ z jakąś dziką radością. — Jak oszukało mię — tak chciało — szalone! oszukać samo siebie! — Jakże srogo mści się ono dziś samo na sobie za to powiedzenie! — bolu w niem więcej niż kiedykolwiek.... nie dam mu upaść; Siostro! — ono musi pójść drogą raz mu wytkniętą. Dziś idzie ze wstrętem jak zbrodniarz wiedziony na stracenie; — później pójdzie jak pokutnik długo — długo — pokąd nie podniesie się z pyłu i nie powie jestem jasne i czyste. —

. . . .

To „nie kocham już!“ było głosem dumy. — Wyznaję!.. duma gra wielką rolę w mojem życiu całem, niema we mnie uczucia prawie w które by się ta duma wkraść nie umiała.

. . . .

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Wzrok anielski.

Jak serce bije — w to lub w owe tętno,
Tak i we wzroku, to jasno, to mętno.
Dopóki żyjem a miłujem święcie
Coś anielskiego na zwierciedle oczu,
Na jawie widno niemal wniebowzięcie!
Niechże ostygniem! wzrok niby w omroczu
Coraz mętniejszy mgli. To chyba jeszcze
Błysną w anielski wzrok natchnieni wieszcze!
Lub dwoje młodych w zakochania czasie,
Chwilkę anielskim wzrokiem pojrzą na się!
Wzrok ten dla ziemi nie jest bo powszednim;
Jak świętość, miłość, pieśń, rzadkie tu goście!
Och! czyj wzrok taki — to klękajcie przed nim,
I o nowiny świeże z Nieba proście!

1855 r. 30 Października. *BOHDAN ZALESKI.*

Sonet.[4]

(Helenie Krasnopolskiej do albumu).

I.

Tylko treść która z całością się splata,
To, czego żaden trąd nie upośledza,
Czego nie dzieli egoizmu miedza
Od innych ogniw duchowych wszechświata,

To, co chwilowy zakres swój wyprzedza
I z ruchem przyszłych pokoleń się brata,
Tylko ta wspólnych źródeł samowiedza
Co z gwiazd na gwiazdy wznosi się skrzydlata

I wszędzie siebie znajduje świadomie,
W zmierzchach minionych i przyszłych stuleci,
W sercach współbraci i w światów ogromie,

I w każdym życiem drgającym atomie,
Ta jedna z czasu wyplątana sieci
Nieśmiertelnością poza grób wyleci.

EL...Y (ADAM ASNYK).

*
* *

Przyczynek do „Rzeczy o wolności słowa“.[5])

„Mówią — że to jest wielkie, ja wiem: ja tam byłem“.
(Rzecz o wolności słowa).

I.

Gdybym był Pliniusem (młodszym) i gdyby Tacit do mnie pisał zapytując o szczegóły malujące dzień w którym Vesuvius otworzył w sobie krater niepamiętny i zarosły kolosalnymi dęby, co jakoby paździorze lekkie wybuch naprzód odepchnął a potem wstał kolumną ognia... Tedy; zaiste że byłbym podobnym do uwierzytelnionych korrespondentów pism czasowych i odpowiedziałbym ich obowiązkom: albowiem zabawiałbym się fotografowaniem.

W inny atoli sposób piszę, dla powodów które nie będą niejasnymi dla tych wszystkich co byli łaskawi kiedykolwiek uważnie mię czytać. „Jakże się prędko zapomina na świecie! życie jest krótsze od pamięci i każdemu ktokolwiek czuje że ma posłannictwo do spełnienia — brak czasu, na najpotrzebniejsze roboty. — A jeszcze przy tem trzeba byśmy na nowo imali się prac co zdawały się dokonane!“ Zawołał był we słowa te mowca znamienity, skoro przyszło mu wracać do dawnych mów swoich jak mnie tu przychodzi na myśl powtarzać nieużytecznie głoszone pojęcia moje o obowiązkach dziennikarstwa, o distribucyi słowa i jawności. Że więc, nie mam być podobnym do uwierzytelnionych feuilletonistów, przeto, w inny rozpocznę sposób.

II.

Bóg i parlamentarny system ocaliły Francię od upadku w przepaść tak wielkich rozmiarów że skoro ze spokoiną myślą

obliczyć je przyidzie, okażą się one przenoszącymi o wiele sam wymiar plag i ruin. Dziś, to wcale inaczej się przedstawia — dziś, się tego wcale niepomierza z powodu iż wrażenia i boleści bliższemi są. Oto i zaraz przykład: wedle moich poięć korrespondent dziennika ma większy obowiązek chronić od czasowych na razie wrażeń niźli onym stawać się korytem. Dawno, jeszcze przed wystąpieniem Garibaldiego na scenę polityczną uważałem iż odwieczna tragedia grająca się pomiędzy wolą człowieka a historią ściera się gdzieś w powietrzu i piorunnie się kędyś spotkają te potęgi. Cały ciąg różnorodnych pojawów konspiracyinych nacechowany bywał jedynym znamieniem talizmanu to jest: Energią! Za dni Kommuny były chwile w których niewybrzmiałoby dla niczyiego ucha niedorzecznie, gdyby kto ogłosił że zamianowany został człowiek „energiczny“ Dyrektorem Obserwatorium, lub Dyrektorem Opery — niemniej, gdyby kto mówił że „energiczne“ mleko na targu rannym sprzedawano i niezadziwionoby się widząc konduktora machiny parowej w wielkich u pięt ostrogach... Wyraz Energia jak Alemut kabalistyczną przybrał wartość i poięcia ludzi wydawały mi się tymi ogromnymi odłamy Ninivitańskich gmachów na których widzisz ryte wielkie bestie z muskulaturą potwornej plastyki od stop do głów. Skrzydła mające i oblicza ale te i tamte giną i bledną przy uwydatnieniu każdego nerwu jak pletnia rzemienna twardego. Widziałżeś te Babylońskie i Ninivitańskie rzeźby i odłamy w Muzeach albo rysunkach? to widziałeś i pojęcia ludzi czasu Kommuny — — pejzażu ruin Paryża i obrazu bitew niemaluię Ci, ale raczej poięć społecznych obraz.

Wszelako — wiesz zaiste, że dziś, nad Eufratem złomy Babylońskich gmachów piasek cichy zasuwa i blady owies kołysze się na łysinach potworów kamiennych — — jedne drzewko zostało tam gdzie ogrody Semiramid a u gałęzi jego arab co konie twoie wiąże zwraca ci uwagę że i te drzewko nie rodzime jest i nie miejscowe, jedno, niedocieczonym cudem natury z nasienia jeszcze do ogrodów Semiramidy sprowadzonego powstałe! (Podobny przykład aklimatacyi i trwania ogrodnicy uczeni spotykali na około zwalisk Łobzowa gdzie, że ogrody ongi były przechowały się do dni obecnych krzewy z dalekiego kraju...). Jako więc ogromy ruin i narycia Babylońskich potworów — energii zarównane dziś piaskiem i jako owe jedne drzewko zielone; tak, spotęgowana wola jednostki w Kommunie spotykała się tu z potocznym rozwojem Parlamentu. Owszem, jakoby dla tem jaśniejszego uwidomienia rzeczy, widzisz, że ten Parlament Wersalski nieposiada nawet w groncie swoim żadnej uderzającej i szczególnej zna-

mienitości. Ani tam Demosten ani Cicero — Pyszna eloquencia Viktora Hugo nawet nie tam... tam tylko sam parlamentarny system i nic więcej.

III.

Kto ma uszy ku słuchaniu niechże wysłucha która? godzina na zegarze Europy tej uderzyła — Europy tej (śmiem rzec) bez principiów i gieneracyi tych obecnych niespokojnie i źle wychowanych, albo właściwiej powiem: niewychowanych wcale! Większość oyców niemiała czasu i środków na oycostwo, a edukacia publiczna jest kaduczna. Za dni terroryzmu w kawiarni jednej wziąłem Oficialny dziennik i napotkałem instrukcię (energiczną) delegowanego Ministerium Oświecenia ale czytając śmiech mię porwał, aż spostrzegłem że w kawiarni uśmiechać się trzymając w ręku Oficialny Kommuny dziennik, jest otworzeniem przystępu denonciacyi... Zakryłem przeto twarz arkuszem bibuły oficialnej i czytałem.... „Wizytator baczyć będzie energicznie aby żadnego obrazu, krucifixu, madonny (sic) słowem: żadnej postaciowej ruchomości wrażenie robić mogącej na umyśle małoletnich sala szkolna nie obejmowała... Rozszerzymy instrukcię do wymiarów jak najrozleglejszych: ale, życzymy sobie aby młodociany umysł obywatela był niwą nijaką — terrain neutre“ — etc.... Niemogłem się od śmiechu wstrzymać i porwałem do rąk Charivari jako odpowiedni grymasowi ust dzienniczek. I pomyśliłem: cóż ten człowiek wie o nijakości umysłu nowonarodzonego?.. gdzie, i kiedy to miało przykład??. Co, nazywa człowiek ten postacią i obrazem?.. azali abecadło i każda z liter nie jest postacią?

— Jednakowoż, też same absurdum, lubo rozwolnione sporą miarą wody rozbełtawszy we wielkiem naczyniu służyło zaiste że za źródła napawające edukację pod sterem samegoż nawet uczonego i dobrzechętnego Konarskiego*) i wszystkiego tego co jeszcze po dziś dzień naucza! Co więcej, że gdybyśmy kilkanaście lat bieżącego spokoju Europy wzięli na uwagę okazałby się taki nieustanny zamęt nawichrzeń i zdarzeń śród zbliżonych więcej niż kiedykolwiek czynności i sfer czynności ludzkich a przeto udzielający się wszelako i wielorako

*) Publikujący niniejsze pismo gdyby przeciwnego był zdania — toć, określić lub zaprotestować może w dopisku jak ja tu nadmieniam ten dopisek. *C. N.*

który zupełnie jest uniemożliwiającym wychowanie człowieka. Zdawałoby się że Oycowie w interessach swych nieustannie kłócąc się i zabijając, nigdy na też interessa ze stanowiska snujących się niżej ichże własnych dzieci nie pojrzeli..! lubo to są one interessów owych spadkobiercami.

Jakoż i tu jeszcze wyraziła Francia sprawę ogólną — Tylko Bóg i parlamentarny system Europę dzisiejszę ocalić potrafią od upadku w anti-civilizacyiny kataklizm. Z tej to mniemam przyczyny na ogromnym tle łuny ogromnego miasta i w tak spotęgowanych zarysach spotykała się tu jak na cyrku jednostkowa energia z upoważnioną, ciągłą, prozą parlamentarnego zgromadzenia: aby mówię tem okazalej napisane było wielkiemi litery i czytelnie zadanie czasu. Zdaje mi się albowiem że na tym świecie wszystko cokolwiek żyie świadczyć musi prawdzie i jeżeli i co, z godnością wolnego działania nie spowiada i nie wyznawa ani jej głosi; tedy i to, obięte bywa w naturze zdarzeń przez prąd następstw i samąż naturalną osoby swej postacią uwidomia tęż prawdę którę miało było na czas wyznać.

Pisałem w Paryżu
1871. maja.

CYPRJAN NORWID.

List.[6]

(Do Mieczysława Pawlikowskiego).

Paryż, Rue de Bellefond 38 *12 Marca 1859.*

W zapożyczonym różowym kolorze występując proszę, abyś przyjął odemnie to szczere słowo:

...Dwie rzeczy z miłego listu Twego za obowiązującej wartości uważam. Chciałem nawet dwa listy napisać Ci — jeden pod tym adressem — drugi pod Twoim, aby na dwie one rzeczy właściwemi drogi odpowiedzieć.

— Pierwszą jest ta, dla której oto zapożyczyłem się w różowy papier. — Na tę nieodpowiem Ci słowy, ale bardzo serdecznem błogosławieństwem, a słowo to nie za sędziwe bywa na usta moje przeto, iż przepielgrzymowałem jakoby cały świat. — Jak mi kto niezbyt okrągłej i czerwonej twarzy, niezbyt pełnych ramion; powie „szczęśliwy jestem“ jak mi kto dziś pod temi powyższemi warunkami powie to — zaiste jakoby powiedział mi: jesteśmy szczęśliwi. — Albowiem heroizm jest w tych słowach a heroizm nie jest wyłączny lecz podziela się. — Dalej — skorzystasz wiele! — wejdziesz w sferę i fazę dokonań, dopełnień... Wejdziesz w ten przezacny egoizm (małżeństwa) który jest krągłą, zupełną i plastycznie skończoną formą-ofiary.

Bowiem trzy miłoście najokreślniej wyrażają miłość na planecie tym — a te są do siebie w takim porządku: Egoizm który wszystko dla siebie immoluie. Heroizm który siebie dla wszystkiego immoluie. I nareszcie bynajmniej eklektycznie pośrednie ale twórczo po nad onemi dwoma istne: małżeństwo — przeto iż z niem immolacia zachowawczą a zachowawczość immolacyjną stawać się ma i nie jest to już przeciwskładne istnienie ale ruch całość i astralną siłę mający twór.

— Na tyle wyrażenia współczucia i wdzięczności moiej dla Ciebie (za doniesienie mi o przyszłości Twoiej) stać mi — Więcej nie mogę — i nie zdrów i bolesnym ciosem dotknięty i kłopotami przeciążony jestem.

twój

Cyprjan N.

— Druga rzecz o której pisać Ci powinienbym jest iż jak bardzo pięknie i sprawiedliwie kreślisz: publicystyka dzienników naszych jest nicestwem marnem i nieledwie plugawem. — Chcesz abym wspomnienie Zygmunta dał....! gdzie? komu? — — palcem dotknąć żadnego dziennika niewarto — Osobno, mógłbym (jak przeboleię jeszcze nieco i uspokoię nerwy spazmem stargane, bo ci co łzami nie płaczą, łzami, cierpią rodzaj konwulsyi). Osobno, mówię mógłbym ale mam pewne szranki i miary — mógłbym zebrać noty i dać Trzy-medale, ścisłą legendę ich trzech, bo iuż oto z oczu mi poszli we trzech. — I byłoby to nieco większe od książeczki o sztuce; to jest nieco grubsze ale — komu?...

Piszesz mi że Króla-Ducha 2. część leży w rękopiśmie!

A sił mi już nie stać na jałowe zachody.

Cały ruch umysłowy u nas w tych powyższych słowach skreślony — biada!

Zrób układ za mnie = znajdź księgarza który mi wyda w 3 tygodnie po odebraniu rękopismu książeczkę nieco grubszą od tej o sztuce ale tejże formy i kształtu wiernie tegoż samego — a przyszlę Ci o Adamie, Juliuszu i Zygmuncie — 3. medale —

Własnym kosztem niedawno oto wydałem więc niemogę bo i tak ciężko mi żyć, cięzej skarżyć się.

p. s. Wiem że lepiej odemnie umiesz po grecku i wiem że Nepomucen Kamiński kołatał do wrót — ale widzisz, co ja czytam w Greckim to spróbowane jest na całym szeregu marmurów wykopanych i tych co wykopane będą — a zaś Kamiński kołatał nie otwierał.

Jużci pewna że Chrześcianie więcej zacno widzieli w pięknem od Greków ale i proboszcz Twej parafii więcej od Sokratesa wie o rzeczach nieśmiertelności — cóż z tąd? — Idzie o to że oni jedni siłami swemi aż tam zaszli.

— Co zaś do słowa pęk to zawsze u Kamińskiego znajdziesz

ten błąd który popełniłby n p. czytelnik gdyby z drugiego periodu słowo wziąwszy odniósł do sensu pierwszego. —

W pierwszym periodzie słowo jest jąć w drugiem jęczeć pęk odnosi się do jąć. — Jeszcze kiedyś inaczej to przeczytasz — albowiem powiadam Ci iż to jedynie piękne jest co z dostoiną wesołością wychyliło puchar tragedyi i jęku i serdecznie Cię proszę abyś nie dopuszczał myśli jakobym cokolwiekbądź oglądał się na usposobienia czytelników prowincyi i krain — Myślę owszem że najzupełniej zgrzeszywszy pod tym względem wszelkie autorstwo polskie uczyniło tę nicość publicystyki na której dziś żyjemy — już wiek przeszło jednego moralisty niema w całej literaturze polskiej oprócz wykaszlanych fragmentów Witwickiego — a słyszę że wszystko kwitnie! — biada.

— Omyliłem się w kolei kartek listu — Jestem i chory i skłopotany i jak zawsze wielce samotny.

Cyprjan.

Pokój mój — nie pokoik podobny jest do owego: „pokój mój daię wam“.

CYPRJAN NORWID.

Polish Hymn.

Let us weep for the heroes, the noble the brave
Who made Warsaw rejoice under arms.
Our banners are bleeding, and fearfully wave
O'er the city their silent alarms.

All the streets are as still as the war-fields of death
Where the ashes of valour repose,
And there water'd with tears, o'er our turrets the wreath
Of the laurel and cedar-tree grows.

Now the warrior in banishment dreams of his tow'rs.
He is arm'd with the axe of the slave.
And the wives and the children are counting the hours
Of his exile, which lasts to the grave.

If the virgin is bathing her bosom in dew
She has found that her first love is slain.
In the field where she weeps she had hoped to renew
The sweet vows of affection again.

Here the army of strangers has taken its stand, —
And on places of liberty dwells.
But more proud grows the national heart, while the band
With the music of tyranny swells.

Yet not all has been chang'd, for our arms still are here, —
But the Russian now wears them instead.
He has charge of our peace, for the peace of despair
Is the most that was won by the dead.

Of the arm which was rais'd our lost glory to gain
Now no visible remnant we trace,
Save the statue of Liberty broken in twain
Which they've left in the public place.

Not a national hymn is permitted to rise
As a monument over the past.
E'en our prayers, save thro' heaven, the tyrant denies
To our friends who in prison are cast.

And the mothers are torn from their husbands away
The cold deserts to people with slaves.
They depart with their grief, and they die on their way
While unknown is the place of their graves.

Stuttgard, Oct. 13. 1832 *T. G. HAKE.*

To Godebski with best wishes for the Poles.

Hymn polski (tłómaczenie).

Zapłaczmy nad losem szlachetnych rycerzy,
Co pod broń porwali Warszawę!
W straszliwym spokoju dziś gród ten nasz leży,
A nad nim sztandary lśnią krwawe.

Umilkły ulice, jak pole po wojnie,
Gdzie mężne pokładły się czyny;
Na murach, łzą gorzką skrapiane zbyt hojnie,
Wkrąg rosną posępne wawrzyny.

W siekierę niewoli uzbrojon, śród dziczy
Zesłaniec o ziemi swej marzy,
A żona z dziecięciem powrotu czas liczy —
Nie wróci! Grób czeka go wraży.

Dziewica żałosnych potoki ros leje,
Już pierwsza jej miłość w mogile,
A jeszcze na łanie tym miała nadzieję,
Że wrócą rozkoszne jej chwile.

Tu, w miejscu, gdzie wolność władnęła tak żywa,
Wróg rozbił namioty, krwią zlany;
Lecz serce narodu tem górniej się zrywa,
Im głośniej mu brzęczą kajdany.

Nie wszystko się przecież zmieniło, choć nasza
Broń zmilkła — niech wróg o tem baczy:
Przygniata go dzisiaj nasz spokój, przestrasza
Łup śmierci, nasz spokój rozpaczy.

Ni śladu z tych ramion, co rwały się w boje,
By sławę odzyskać; dokoła
Swobody li posąg, przełaman na dwoje,
Źrenica dziś ujrzeć wydoła.

Nie wolno nam dzisiaj ojczystej wznieść pieśni,
Przeszłości minionej pomnika;
Za druhów się modlić, gnijących śród cieśni
Więziennej złość wzbrania nam dzika.

Matki wzięto mężom, by cudze rozłogi
Ujarzmieńców się tłumem zludniły;
Ci z smutkiem odchodzą, te giną śród drogi
Bo nie wiedzą, gdzie szukać mogiły.

Sztutgart, 13 października 1832. *T. G. HAKE*

Godebskiemu z najgorętszemi dla Polaków życzeniami.

z angielskiego przełożył
Jan Kasprowicz.

Ze starszej Eddy.

Śpiew o Thrymie.
(Prymskvipa).

1. Wszał wpadł bóg Thor, gdy powstał ze snu
I zoczył, że Mjolnir, młot szczezł mu potężny;
I brodą wściekły trząsł i z głowy rwąc włos,
Syn ziemi jął szukać w okół.

2. Pierwsze ze słów, co je wyrzekł, brzmi tak:
„Słysz ty mnie Loki, a o tem coć zwierzę,
Nikt nieśni jeszcze na ziem padole,
Ni ówdzie w niebiosach — młot zagrabiono Azowy!“

3. Więc poszli w sień dworu jej, Frei bogini;
Pierwsze ze słów, co je wyrzekł, brzmi tak:
„Racz ty mi Frejo twych piór dziś użyczyć,
Bym młot ukradziony mógł posiąść znowu“.

4. „Rada je dam ci, choćby złote być miały,
Albo z szczerego srebra, dam ci je przecie“.
Gna precz Loki, szat pióra łopocą,
Rzuca za sobą, w zwyż prąc się, dwór Azów
I dopada w lot olbrzymów dziedzin.

5. Na pagórze tam Thrym, sam Thursów władyka,
Plótł smycz dla swej psiarni, czerwono-złotą
I gładził rumaki po włosiu grzyw.

Thrym.

6. „Praw-że mi o Azach, praw-że mi o Elbach,
Przecz dążysz samotny w olbrzymów gród?“

Loki.

„Złe czasy na Azy, złe czasy na Elby,
Tyś-to Hlorridów Mjolnir młot schował?“

Thrym.

7. „Jam-to Hlorridów Mjolnir młot schował,
Na osiem staj w ziemi zaryt jest głąb
I nikt go wpierw posiąść niezdoła,
Nim Frei żoną, nie nazwie Thrym“.

8. Gna precz Loki, szat pióra łopocą,
Rzuca za sobą olbrzymów wyżyny
I do dom w dół, ku dworzyszczu rwie Azów.
Do wrót aż wyszedł Thor mu naprzeciw,
Pierwsze ze słów, co je wyrzekł, brzmi tak:

Thor.

9. „Niesiesz wieść dobrą, co twe znoje opłaci?
Rzuć mi ją z powietrza, powiadaj co wiesz!
Kto siadł, zapomni niejedno, co rzec miał,
A kto lega wczas, rad łże prawdzie w żywe oczy“.

Loki.

10. „Dobrą mam wieść, co me znoje opłaci:
Thrym młot twój dzierży, sam Thursów władyka
I nikt go wpierw posiąść niezdoła,
Nim Frei żoną nie nazwie Thrym“.

11. Więc poszli w sień dworu jej, Frei bogini;
Pierwsze ze słów, co je wyrzekł, brzmi tak:
„Strój mi się, Frejo, w ślubny zawój się skryj,
Mus śle nas samowtór, w olbrzymów kraj“.

12. Ją sroga tknie złość, parsknie Freja,
Aż Azów grodu wstrząśniony drży tyn,

Aż kanak z niej spada, Brissingów cud-dzieło:
„Szaloną iście, zwaćby mnie trzeba,
Gdybym szła z tobą w olbrzymów kraj“.

13. Na Thingu błonie spieszy lud Azów,
Niewiasty szły też, obok mężów, na wiec.
Tać jest rada dostojnych bożyców,
Jako Hlorridów Mjolnir dostać znowu.

14. Zabrał głos Heimdall, najmędrszy wśród Azów,
Wróż Wanom podobien, co przyszłość znał:
„Niech bierze Thor ślubny zawój na skroń
I kanak szeroki, Brissingów cud-dzieło.

15. Pierścień mu dać, na nim klucze brzęczące
I szaty do stóp niewieście ma wziąć,
Pierś niech się skrzy od zapon blasku,
Włosy w kunsztowny utrefić mu zwój“.

16. Thor tak rzecze, najtęższy z Azów:
„Babą będą mnie lżyli dostojni bożyce,
Gdybym wdział na się dziewki zawój i strój“.

17. Rzekł na to Loki, z rusałki zrodzon:
„Milcz raczej już, nie marudź darmo!
Dziś, jutro a Thursy owładną Asgard,
Rychłoż po młot będzie sięgać wtedy?“

18. Więc zdobi się Thor w ślubny zawój i strój
I w kanak szeroki, Brissingów cud-dzieło.
Podali mu pierścień, na nim klucze brzęczące
I w szaty do stóp niewieście się skrył,
Pierś mu się skrzy od zapon blasku,
Włosy w kunsztowny upletli mu zwój.

19. Rzekł wówczas Loki, z rusałki zrodzon:
„Mnie też weź z sobą, twą służkę udam,
Mus śle nas samowtór w olbrzymów kraj“.

20. Wnet wiodą w zaprząg dwa brodate reny,
I wiążą u dyszla lotne rogacze;

Drżą góry w okół, w krąg ziemia się pali,
W kraj Thursów gna Thor Odyna syn.

21. Rzekł wówczas rad Thrym, Thursów władyka:
„Czuj duch, druhowie, poznosić mi ławy;
Za żonę Freję mam pojąć dziś,
Njorda córkę hen, z Noatun.

22. Pod topór byki czarnolśniącej maści
I jałowice złotorogie gnać mi,
Mam skarbów aż nadto i dobra mam dość
I Frei tylko, jej był mi brak".

23. Mrok zapadł dziś wcześnie, noc nadchodzi,
We łbach się Thursom zakręcił już chmiel;
Wołu z szczętem zjadł Thor i ryb osiem,
Wszystkie ciasta też, co dla niewiast podane,
Potem wypił miodu trzy tęgie beczki, jak nic.

24. Rzekł na to w głos Thrym Thursów władyka:
„Czy widział kto gdzie by dziewczyna tak żarła?
By takie kęsy łykała, jak ona
I, z chłopy, miód piła beczkami?

26. Zaczepki grot odstrzeli co tchu
Przebiegła służebna, tuż przy Frei siedząca:
„Ósmy Freja dzień się głodzi,
Tak wielka w niej tęskność i chęć ku wam gore!"

27. Zasłony tknie Thrym, chciw Młodej całunku,
Lecz się wstecz żachnie, odskoczy i w krzyk:
„Przecz-że błyszczą tak strasznie Frei oczy?
Zda się w nich płonąć ogień na dnie!"

28. Zaczepki grot odstrzeli co tchu,
Przebiegła służebna, tuż przy Frei siedząca:
„Od ośmiu dni Freja snu nie znała,
Tak wielka w niej tęskność i chęć ku wam gore!"

29. W próg weszła Thursowa sędziwa siostra,
Co o dań ślubną przymawiać się waży:
„Daj, niech z rąk ci te złote koła zsunę,
Chcesz łaskę staruchy zaskarbić sobie,
Łaskę staruchy, całą dobrą wolę“.

30. Rzekł wówczas tak Thrym Thursów władyka:
„Młot mi tu nieście, bym dziewę nim święcił;
W dłoń Mjolnir młot Pannie młodej dać,
A ty, Waro, uświęć nasz ślub!

31. W piersi Thora serce rozśmiało się w głos,
Gdy wzrok ócz zajadłych młot ujrzał stracony;
Wpierw zabity padł Thrym, sam Thursów władyka,
I zgruchotan legł w krwi wszystek ród olbrzymów.

32. Thor zabił też Thursową sędziwą siostrę,
Razy dostała, miast złota, co lśni
I młota ciosy wzięła miast obręczy.
Tak się to stało, że Thor posiadł młot swój znowu.

Wedle miary oryginału przełożyła

Maryla Wolska.

ROZMAITOŚCI.

Wiersze okolicznościowe i polityczne.[7]

I. GAWĘDA SZLACHCICA DZIERŻAWCY Z ŁUMNY W KARNAWAŁ 1848 R.

Co też rzekną poeci i tych płodów znawcy
Gdy im błyśnie śród miasta rym z Łumny dzierżawcy,
Co, rzecz biorąc i słusznie i ze źródła szczerze
Powinienby się poznać, tylko na zacierze.
I prawda — wszakże czyniąc z wiedzy sąd rozumny,
Nie latał jeszcze pegaz pod szlachcicem z Łumny.
Lecz ja o głos nie pytam, w męztwo się uzbroję,
I niech się jak chcą śmieją, ja opowiem swoje,
Bo się aż w góry wleką, z miast błędy niebaczne,
A więc, in Nomine Domini, tak moją rzecz zacznę. —
Urodziłem się panie, choć wspomnieć nie warto
Tertia Julii ni fallor(?) Octingentesimo quarto,
A więc z górą sześdziesiąt liczę sobie latek,
Doczekałem się w pracy i pod wąsem dziatek —
A choć z temi przeżyłem rozliczne koleje
Niebywało mospanie co się dzisiaj dzieje,
Jak gdyby stary szatan mieniąc wpływu sceny
Dawne matki przemienił w same Magdaleny! —
Dlatego wyszła kolej — z pary dziwa różne —

Lecz i cnót niemasz panie, i kieszenie próżne.
Bo para jak dym jedzie w szczytny dach niebieski,
Rozchodzi się po świecie ale nie do kieski, —
A co gorsza jakież to dziś śród ludzi życie?
Człowiek cierpi w poziomie za grzechy na szczycie
Wszakżeci grzeszy zbytek, że aż wstydno panie!
W Imię Ojca! czy dopust? czy Boże skaranie?
Wyjąwszy kilka dusz co jak bursztyn czyste,
Sodomy w starym grodzie znaki oczywiste,
Sodomy mówię panie w młodych dam zarzewie. —
Jakto?... Żona bal daje, a mąż o tem nie wie?
Niewiasta ród szlachetny, w żywocie krew nasza
Bez wiedzy starszej głowy na bale zaprasza!
Weseli się mospanie, w smutnych chwil godzinie
Kiedy łza z Niebios kary, wolnym zdrojem płynie —
Hulanka po trembachach! Gdzie? na drugiem piętrze —
U kogo? Tfu mospanie, aż mnie boli wnętrze
Mówić o tej swawoli, co nam wniosło licho
A na które nie można na wsi patrzeć cicho.
Bo to obraza Boża — i niemiec się śmieje.
Niewiedzieć Panie odpuść — co się w domu dzieje. —
Oj! nie tak miły Boże u nas wprzód bywało,
Mąż i żona mosanie, było jedno ciało,
Mąż miłował małżonkę, żona czciła męża
Nieznano frakowego za komnatą węża.
Dziś, w mieście — o! nie na wsi — bo prawdy nie skryje,
Niewiasta?... juści twoja!... Ciało? Bóg wie czyje,
Na które, byle gładkie, że jest cudzej żony
Dybią panie, młokosy, jak na groch gawrony.
Aby więc wstyd ten zakryć, gdy masz czucie wrzące,
Słuchaj bracie!... Kawecan załóż twojej żonce,
Ten figiel i dla drugich stanie się uroczem
Aby się nie tryndały gdy nie mają o czem.
Niech imość każdy krajcar na dukata złoci
Kiedy dziś bez pańszczyzny człek się na wsi poci,
Bo to panie nie chi chi, mieć zboże na łanie,
I patrzeć, że go zwożą in Decembri, sanie;
A cham który już z cepem, nabrał wojny ducha
Widząc prawa otuchę, szlachcie pod nos dmucha. —
Kawecan przeto panie wsadź twojej damuli

Niech biedneńka po hulce, trochę uszy stuli.
Ale słuchaj! ostrożnie chciej się rady imać,
Wszak nie trudno rozdrażnić, ciężko płochość wstrzymać,
Bo to panie niewiasta jestto ród kokoszy,
Lada łoskot za płotem to ją z grzędy spłoszy.
Poczem choćbyś dobierał i najsłodszej nuty,
Już na grzędę nie wróci z pomiędzy koguty,
Które ją na swą stopę, jak zwierzę ladaco
Choćby była pulardą, na grzech przekabacą.
Uda ci się ta rada? ulżysz uczuć trosce?
Ucieszy się odmianą, szlachcic na swej wiosce.
A zerwie się w narowie i kawecan zwali?
Płuń! na biedę i porzuć, niech rodu nie kali,
Niech panie po rodzinie w publicznej ohydzie
Kiedy niechce statkować, na trzy wiatry idzie.
Bo to fe! to sromota! ażeby niewiasta
Była panie, ladaco, dlatego, że z miasta,
Dlatego że ją wdziękiem kwiatów wiosny znaczą
Ażeby tańcowała, kiedy drudzy płaczą! —
Otóż macie com marzył, w mem znaczeniu marnym,
O grzechach miejskiej kasty, przy kotle browarnym.
Bo i warka dochodzi, i pegaz się zżyma
I ja już niechcę dłużej świecić wam oczyma. —
Przyjmijcie to panowie proszę bez urazy,
Dzierżawca wioski Łumny

Pomorski Protazy.

II. NA MASKARADĘ W CZASIE KARNAWAŁU 1860 R. przez P. B. W KAMIEŃCU [8]).

Niecne zabawy, smutne widowiska,
Nieszczęsnym szałem szatan spętał szlachtę,
By strój za którym żal nam serce ściska
W zapustną zamienić płachtę.

O nieobaczni! godziż się synowi
Szatę, co kryje w grobie ojców kości

Zdartą od wrogów przez losów zmienności
Na pośmiewisko dawać .....

W tym świętym stroju doma, w polu radził,
Szablą od granic gnał wroga zuchwalca
Prawdziwy Polak. — A gdy już prowadził
To mężne hufce; — nie panny do tańca.

Gdy dziad wiszącej z boku karabeli
Ujął w swe dłonie: — to nie dla mazurka,
Spytaj ..... Tatara lub Turka
Jak było pląsać po takiej kapeli.

I wy niebaczne zacnych matek córy,
Was opętała próżność białogłowska.
Wiecież wy dziewki? — na Trembowli mury
W jakim to stroju wstąpiła Chrzanowska?

Radzę wam zamiast tych konfederatek
Wziąść serce w piersi a umysł do głowy
Zacnych, pobożnych, godnych waszych matek!
To najpiękniejszy wasz strój narodowy. —

III. W IMIONNIKU W. M.

Z prawdą, miłością bliźnich i bojaźnią Boga,
Zacna Pani!... najkrótsza jest do szczęścia droga,
A kto te trzy przymioty posiada w komplecie
Temu Bóg da nagrodę w zagrobowym świecie. —
Nie znam cię zacna Pani! — lecz gdy o tem słyszę,
Żeś dobra Polka,... więc Cię mą kochanką piszę;
Bo to przecie bynajmniej nikomu nie szkodzi,
Że Ciebie kocha stary, gdy kochają młodzi. —

Żyj długo na tym świecie szczęśliwa i zdrowa,
Tego Ci życzy stary mieszkaniec Krakowa;
Jest ślepy, przytem głuchy, lichy sługa Boży
A nazwisko jego jest

Grabowski Ambroży
lat życia 84.

Kraków 12 sierpnia 1866.

IV. Z ŻYCZENIAMI ŚWIĄT WIELKANOCNYCH[9].

Chcę wam powiedzieć, co serce czuje,
I życzyć — jak nikt goręcej... —
Ale mi tonów w piersi brakuje —
Niestaje głosu już więcej —
Co życzyć? — gdy tak smutno dokoła,
Najdroższe bledną nadzieje —,
Chociaż z ufnością wznosimy czoła
Pytając: — rychło zadnieje?
Ziemia jak jeden łan rozpostarta,
I w bitny naród bogata —
Choć o dwa wielkie morza oparta — —
Jest niewolnicą u kata!
Ale Bóg wielki snadź w swej miłości,
Rzekł: „Ci co cierpią, zbawieni,“ —
Więc niech się łańcuch wpija do kości,
Niech wstyd niewoli — rumieni...
Smutno! — choć nasze strzały grzmią jeszcze,
Choć słychać pieśń obozową...
Głośne już dziczy krzyki złowieszcze
I brzęk kajdanów na nowo...
Smutne więc święta! mówię — jak szczery
Co kocha kraj — choć narzeka...
Lud śpi, — w boju padły bohatery,
A naród — niema człowieka!

W. W.

WW. Paniom T. zacnym Polkom na pamiątkę 27 Marca 1864.

V. *a)* WIERSZ PO WZIĘCIU WARSZAWY.

Dnia 30. Września 1831 napisany.

Wolności! drżyj nad sobą a zapłacz nad temi,
Dla których znikła słuszność w Niebie i na ziemi;
Nad garstką, co chcąc zbawić siebie i narody,
Z olbrzymem Europy śmiała iść w zawody,
A zdarłszy krwawą larwę siepaczy potęgi
Przeszła wszystko, co dotąd głoszą dziejów księgi...
I za to, wielki Boże! wśród oklasków wrzawy,
Ojczyzna ich w marzeniu, wróg w murach Warszawy!

O ziemio uświęcona nieszczęściem i chwałą!
Nie trać męztwa, duch żyje choć umiera ciało.
I żołędź w ziemi ległszy wystrzela dębiną
I płomień choć zalany, iskry w nim nie giną,
Drzewa gromem strzaskane z odziomków odrosną
I rzeki lodem ścięte silniej wzbiorą z wiosną,
Lecz teraz, teraz bracia, w tej piekielnej chwili
Gdy sama tylko rozpacz szalę jeszcze chyli,
Krzewmy wzgardę tyranom na Ojczyzny grobie, —
Francyo! tyś go rozwarła! Wieczna klątwa tobie!

Gdzież Polak się obmyje krwią zbryzgany wrogów?
Gdzie pójdzie odszukiwać swych domowych bogów?
Gdzie oprze błędne myśli, roznieci ogniska,
Gdzież są jego świątynie, rodziny, siedliska?
Pokolenia rozpierzchłe, serca zakrwawione,
By znaleźć strzechę w którąż udacie się stronę?
Najlichszy ptak ma gniazdo, każdy zwierz swą jamę,
Narody swą Ojczyznę, Polak: groby same!

b) — — — — — — — — — — —

Za kraj Ojców, za Wolność, za praw swoich księgę,
Jak ufny w Bogu Dawid szedł na Goliata,
Tak czując swoich przodków dzielność i potęgę,
Z tym Bogiem, z tą ufnością bił wrogów Sarmata.

Kto z Bogiem, Bóg takiemu udziela pomocy;
Pysznych niebo potępia, z aniołów są dyabli:
Padł dumny olbrzym trupem od pasterza procy,
Padniesz i ty kolosie od Polaka szabli!

1831 *Jan Ściborski.*

Wspomnienia z lat dawnych.

List do Karola Kniaziewicza Jenerała Wojsk Polskich.

Napisany we Francyi Roku 1834, w czasie pobytu obydwoch w Montmorency [10]).

Dawny mój Towarzyszu i w szkole i w boju,
I w tej chwili tak bliskiej wiecznego pokoju!
Gdy nas los razem zasłał w tę cichą dolinę
Pozwól, że przed Twe oczy szeroko rozwinę
Tę długą kartę życia, od samego świtu
Aż do kresu naszego na ziemi pobytu.

Przebóg! Ileż wypadków i wielkich i głośnych,
Ileż to chlubnych bojów i klęsek żałośnych
Oczy nasze widziły. — Z pierwszej życia pory
Mąż znany z cnót i zasług sam nam dawał wzory,
Pamiętasz gdy go małe otoczyło grono,
Jak z tą wymową razem tkliwą i wzniesioną
Często zwykł do nas mawiać: — „Dzieci me kochane,
Pod mój dozór przez lubych rodziców oddane!
Wielki się zawód życia przed wami otwiera:
Kraj na was jak na swoich mścicielów poziera.
Na jakiejkolwiek drodze przez los wam wskazanej
Bojaźń Boga i miłość Ojczyzny kochanej
Niech dla was powinnością najpierwszą zostaną.
Cześć imienia Polskiego, niczem niezmazaną
Chowajcie wiernie. Każdy pomniąc że Polakiem,
Niechaj się brzydzi czynem podłym i dwojakiem.
Próżność, czarną obmowę, niechaj ma w ohydzie
Niech gardzi życiem kiedy o Ojczyznę idzie“.
Utkwiły w młodych sercach przestrogi zbawienne:
Gdyż jakiekolwiek później koleje odmienne,

Twarde, srogie i ciężkie dla nas nastąpiły,
Zawsze nam te przestrogi przytomnemi były.
Ty, w młodości wojennym już zostałeś Mężem:
Jam dzielił chwile między lutnią i orężem,
Lub w obradach publicznych podnosił głos śmiały
Przeciw zgubnym przesądom i dumie zuchwałej.
Widziały nas obydwóch Maciejowskie pola,
W głuchych, ciemnych tarasach okropna niewola.
Szczęśliwszy! rozproszonych Tyś zebrał Polaków,
Rozwinął Orły białe: i pośród tych znaków
Gdy w bojach męztwu Twemu los przyjazny sprzyjał,
Ponad Renem i Tybrem Polskiś się dobijał,
Ja z rannym Wodzem naszym przez wzburzone fale
Unosząc po Ojczyźnie ciężkie nasze żale,
Na drugiej części świata szukając schronienia:
Lecz i tam mie ścigały bolesne wspomnienia:
Czy śród głuchych puszcz ludzkim nieznaczonych torem,
Śród drzew z pierwiastków świata nietkniętych toporem,
Czy z przepaści nad którą śrebrna lśni się para,
Gdzie zrzucając swe wody huczy Niagara,
Czyli nad morzem, gdy się fala z lekka pieni,
Sunął się biały żagiel po szklannej przestrzeni:
Żaden mi z tych widoków ulgi nie przynosił,
Cień skrwawionej Ojczyzny w oczach się mych wznosił.
Pamiętam jednak dzień ów — ach! jak dla mnie drogi,
Gdym odwiedził szanowne Waszyngtona progi,
Męża co swą odwagą i duszą niezgiętą
Nowej świata połowie dając wolność świętą
Zostawił w sercach ziomków wdzięczność wiekopomną!
Jakże mi postać Jego jest dotąd przytomną!
Wyniosły, okazały, już z łabędzim włosem,
Z mową poważną, jednak z ujmującym głosem,
Pierwszych Rzymian prostotę, z godności wyrazem,
Widziałeś w Jego twarzy połączone razem.
Ileżkroć z uniesieniem w Montvernon schronieniu
Mądrych Jego powieści słuchałem w milczeniu.
I On mię pytał. A gdym skromnie opowiadał
Jakie nam ciężkie klęski spisek wrogów zadał,
I jak Polska runęła w świetnych swych zawodach:
Stoczyła się łza rzewna po starca jagodach.

O! łzo, coś chlubne dla nas dowodziła żale,
Czemum cię zawrzeć nie mógł w kosztownym krzysztale!
Chlubnym byłabyś świadkiem zbyt rzewnym wspomnieniem,
Że mąż wielki zapłakał nad Polski zniszczeniem.

Lecz gdym ja smętne nasze dzieje opowiadał,
Tyś na grobie Ojczyzny nowe laury składał;
I zdobyte, gdzie Tyber wylewa szeroko,
Chorągwie, wrogów naszych zbroczony posoką,
Na zgromadzenia Gallów, śród radosnych krzyków,
Wnosił jak zdobycz pod Twą władzą Wojowników,
Pomścił się Bóg wszechmocny, w krajach oddalonych,
Ciężkich obelg i zbrodni na Polszcze spełnionych.

Tymczasem gdy jak potok rok po roku płynie,
Kiedy ty staczasz boje, ja zwiedzam pustynie;
Widzim, żeśmy się w płonnych nadziejach mylili,
Dla innych nie dla Polski krew naszą toczyli.
Ty, coś jedynie walczył za sprawę ojczystą,
Pogardziłeś nagrodą Tobie osobistą,
A niechcąc bydź narzędziem obcej wyniosłości,
Schroniłeś się w zacisze lubej swojej włości,
Zamieniłeś na lemisz oręż Twój skrwawiony.
Ja w nowej części świata, zewsząd opuszczony,
Kiedy smutne, żałośne prowadziłem życie,
Stan mój nieszczęsny wzbudził w szlachetnej Kobiecie
Litość, ta litość wkrótce czucia więcej tkliwe:
Darem swej ręki chciała więzienia tęskliwe
I troski me osłodzić. Odtąd już zagroda,
Niwa, owocorodny las, z niemi swoboda,
Były moim udziałem. Ileż razy z rana
W ogrodzie lub na łące, jutrzenka rumiana,
Widziała mie z taczkami, motyką, lub kosą,
Scinającego trawę mokrą świeżą rosą,
Albo też w małej pieniek gałązki wybranej
Wpuszczającego oczko płonki młodocianej.
Jak miłe zatrudnienie! Ach jakież słodycze
Dają nam wiejskie życie, i prace rolnicze,
Dalekie od ciężących pośród świata nudów
Od okrucieństw tyranów i szaleństwa ludów

Niespokojność, wyniosłość, żądza bogactw chciwa
Nie skłóci tu, ani też snów lekkich przerywa,
Ciesząc się myślą że go lepsza przyszłość czeka,
Człek na przykre w tym życiu troski nie narzeka.
Takim żywot prowadził z towarzyszką lubą
Co była mojem wsparciem, pociechą i chlubą.
Byłbym szczęśliwym, gdyby człeku było danêm
Kiedykolwiek zapomnieć o kraju kochanym.
Ale ciężkie wspomnienia przez morza pieniste
Przenosiły mie zawsze na ziemie ojczyste.
Wtenczas i Ty w Zielincach, między temi niwy
Gdzie Polak w karkach wrogów pławił oręż mściwy,
Trudniłeś się śród Twoich obszarów obfitych
Szczęściem twych kmieci pieczą pszczółek pracowitych.

Tak gdy każdy z nas pracą niedole swe słodzi,
Głos bohatera świata raptem nas dochodzi:
„Słuchajcie mie Polacy przodków nieodrodni!
Wkrótce zniweczę potwór najczarniejszej zbrodni;
Zuchwałość rozbójników, dumę ich ukrócę,
Podniosę Polskę z grobu, i istność Jej wrócę!"
Jak gdy z ula wylecą pszczoły w tłumnym roju,
Tak młodzierz polska, zawsze ochocza do boju,
Wysypała się cała w szykach uzbrojonych.
Drżała chmura proporców w powietrzu wzniesionych,
Raz jeszcze Orzeł biały skrzydła swe roztoczył,
Raz jeszcze we krwi wrogów Polak miecz swój broczył,
Staczał bitwy, albo też twierdz szturmem dobywał,
I wszędy się swietnemi laurami okrywał.
Poznał wróg, że choć wszystko co Polskę zaciera,
Choć imię Polskie ginie, męztwo nie umiera.
Lecz świetniejsze zawody, szersze pola chwały
Wkrótce Ciebie i Twoich wojaków czekały.
Bohater, jakby zesłan z woli przeznaczenia,
By dowieść jak nietrwałe ludzkie powodzenia,
Co gromił krnąbrnych królów, trony ich wywracał,
Tworzył nowe mocarstwa, a dawne zatracał, —
Z kończyn Europy zbrojne narody gromadzi,
I pod skrzepły je biegun niebaczny prowadzi.
Raz jeszcze i Tyś ujrzał Kremlin zawołany,

Gdzie niegdyś Przodki nasze żelazne kajdany
Kładły na dumne Cary... Początek tak chlubny
Jakże wkrótce miał koniec dla nas wszystkich zgubny!
Nie męztwo, biegłość wodzów, lecz o podziwienie!
Wściekłych żywiołów zewsząd srogie sprzysiężenie,
Mróz cierpki, zawierzuchy, powietrza ściśnienie
Scinało krew, i ludzkie tamowało tchnienie.
Okropna śmierć stopniami co raz się przybliża,
Drętwieją kości, stygnie krew dotąd tak chyża.
Co za widok! już stopą niemogące władać,
Ani nie mając miejsca kędy by upadać,
Skupione w gęstych hufcach, środ step nieznajomych,
Stoi skościałe wojsko trupów nieruchomych.
Przy nich rażący widok rozszarpanych koni,
I dział powywracanych, potrzaskanej broni.
W głuchej nocy ciemnościach, gdy księżyc zaświeci,
Czerwieni się krew ludzka śród śnieżnej zamieci,
Gdzież są tylu narodów pościągane tłumy?...
Tysiąc tysiąców legło dla jednego dumy!
Na jakież krwawe klęski i twarde przygody
Pycha rządców wystawia nieszczęsne narody?
Męże co się nad Tagiem lub Tybrem rodzili,
Co na pogodne słońca i nieba patrzyli
Dalecy swoich, srogim uderzeni zgonem
Porzucili swe ciała nad Wołgą lub Donem.
Nie ujrzą już ich więcej utęsknione matki,
Próżno ich wyglądają i żony i dziatki.

Ciężka strata, lecz z czasem wrócić się gotowa:
Każdy z tych ludów swoję niepodległość chowa,
Własne prawa, zwyczaje, domowe swe bogi;
Nie przyszedł ich wywracać barbarzyniec srogi,
Nie przyszedł na nie dzikiej swej zemsty wywierać,
Żonom mężów, a matkom dzieci ich wydzierać.
Ale nieszczęsny Polak co go jarzmo ciśnie,
Choć mu na chwilę gwiazda pogodna zabłyśnie,
To jedynie dla tego by go znów co prędzej
Pogrążyła tym głębiej w zniszczeniu i nędzy.
Taki był los nasz. W słowach swobody zwodnicze,

W okropnych czynach hańba, jarzmo niewolnicze.
Ni cierpliwość, ni rozpacz kiedy w swym zapale
Porwała się na wrogów bezbożnych zuchwale,
Ciężkiej naszej niedoli zmienić nie zdołały.
O Boże wielki! Boże wiekuistej chwały!
Jak długoż trapić będzie naród nasz znękany
Zapalczywości twojej gniew nieubłagany?
Nie zdołająż Cię zmiękczyć łzy i narzekania
I wznoszące się z grobów o pomstę wołania?
Czyliż sami Polacy tylko przewinili?
Jak sroższemi zbrodniami inni się skalili!
Patrz, Gallowie, Twej pomsty nie przejęci trwogą,
Wywracali twe zbory świętokradzką nogą.
Nie oni jedni. Przejdźmy Pirenejskie skały,
I tam ujrzem co może zdobywca zuchwały:
Kiedy Kolumb, tak sławny świetną swą wyprawą,
Do nowej części świata błędną przybił nawą,
Jak ów Pizares wpadłszy na ludy struchlałe
Wytępił bez litości pokolenia całe.
Przecież ludy te tylą skalane zbrodniami:
I dziś jeszcze świetnieją między narodami:
Będzieżże jedna Polska na nicość skazana?

Lecz kędyż się unosi myśl ma obłąkana!
Do ciebież nędzny prochu tej ziemskiej opoki
Chcieć zgłębiać, chcieć oskarżać przedwieczne wyroki?
Ach! nie; z pokorą, z czołem do ziemi schylonem
Wyrzec te słowa głosem i sercem skruszonem:
Bóg i wyroki Jego są mi niepojęte.
Szanujmy bez szemrania wolę Jego święte,
Pewni że Ten któremu winniśmy istnienie,
Nie stworzył nas na męki wieczne ujarzmienie;
Jeszcze nas między świetne umieści narody,
Wskrzesi Polskę i święte powróci swobody.
Zresztą wkrótce grób ciemny zawrze nasze zwłoki,
Lecz dusza nieśmiertelna wzbije się w obłoki.

Myśląc o tem usiadłem raz pod lipą ciemną:
Ztamtąd widok się pyszny roztaczał przedemną
Gór, winnic, gęstych sadów i niw uprawionych,

I bielących się wiosek śród gajów zielonych.
Dumając niepostrzegłem że już zaszło słońce,
I że niebo okryły drżących gwiazd tysiące.
Ach, rzekłem, gdy nadejdzie dzień już niedaleki
Kiedy dla mnie te słońce zajdzie już na wieki,
Gdy wszystko co w tak wdzięcznym kreśli się widoku,
Zaćmi się w moich oczach w szarej mgły pomroku,
Gdy się potem śmiertelnym okryją me skronie,
A pierś wzniesiona tchnienie ostatnie wyzionie,
Gdzież się wzniesie ma dusza z więzów uwolniona?
Czy lotem błyskawicy wichrami niesiona
Przez rozpostarcie niebios bez szranków i mety
Stopniami coraz wyższe odwiedzi planety,
A w każdej gdy czystszemi będą jej źrzenice,
Ujrzy nieznane sobie światów tajemnice,
To wszystko co nam nasza ciemnota zakrywa,
Niepoliczonych jestestw łańcuch i ogniwa,
Słowem, całej natury i pasmo i wątek,
Dzieła Twórcy wszystkiego i rzeczy początek!
Wtenczas się wiadomości upragniona chciwość
Ugasi, i niezmienna nastąpi szęśliwość.

Przyjacielu czy tak jest czyli się mylemy,
Już oba bliscy grobu wkrótce się dowiemy.
Dziś po tak długich trudach, po twardych kolejach,
Po wygnaniach, więzieniach, zwiedzionych nadziejach,
Gdy włos siwy opędził zeschłe nasze skronie
I cisną już do ziemi silne Czasu dłonie,
Cóż nam zostaje? Oto z sercem niestrwożonym
Stawić pierś mężną, przeciw losom sprzysiężonym;
Wierni zawsze prawidłom w dzieciń, stwie powziętym,
Tak zakończyć to życie jak było zaczętym.
Kolejno Bóg na ludy zemstę swą wywiera.
Zginął Rzym i Ateny, Teby i Palmira;
Okryły przestrzeń świata gruzy i popioły,
Gdzieś tam sterczy kolumna strzaskana na poły.
Ciągle się powodzenie z niszczeniem przesila:
Burzy Polskę Mikołaj jak wprzód Rzym Atylla.
Lecz jest Bóg sprawiedliwy: Ten srogie mocarze,

Ich zbrodnie, okrucieństwa, sowicie ukarze.
Wkrótce może to Państwo, ta dumna stolica
Co ją w dniu jednym wzniosła despoty prawica,
Gdy na Ladodze wicher szalony zawieje,
Winowajcze to miasto powodzią zaleje;
Dziś tak bezwstydnie w oczach świata rozpostarte
Zaginą łupy tylu narodom wydarte,
Po szczycie dworca, gdzie się głos uciech powtarza,
Śmiało się sunąć będzie szparka łodź żeglarza.
Wprzód może Moskal, znieść już niemogąc ucisków,
Niespokojny, do ciemnych zawsze skłonny spisków,
W czarnej nocy na Cara pas jedwabny rzuci,
I zbrodnicze dni jego przed czasem ukróci.
Świat ten smutne igrzysko gwałtów i zdobyczy,
Nie zostanie na zawsze pastwą srogiej dziczy.
Niezaprzeczonych praw swych ludy się dopomną,
Potrafią je odzyskać, stałością niezłomną.
Ludy pragną wolności; już wschodzą jej zorze.
Ale my, Przyjacielu, w dni naszych wieczorze,
Nie ujrzemy jej. Już się świat dla nas zamyka.
Dawnych naszych znajomych już ostatek znika.
Gdzież są naszej młodości towarzysze mali
Co się z nami uczyli, co z nami igrali,
I z nami wyszli na świat? Dalecy czy bliscy,
Niemasz prawie jednego, poznikali wszyscy:
Mało który z nich naszej doczekał siwizny.
Iluż legło w obronie kochanej Ojczyzny?
Ten w południu dni swoich, a ów skończył z rana,
Tego w Kaukazie kryje mogiła nieznana.
Znikły znajome twarze, inny świat, zwyczaje;
My nikogo nie znamy nikt nas niepoznaje.
Zmordowanym podróżą w tym zawodzie długim
Czas odejść, i zostawić wolne miejsce drugim:
I jak w błagalniach Pańskich wdzięczna woń w kadzidłach,
Podnieść się do wieczności na modlitwy skrzydłach.

— — — — — — — — — — — — —

J. U NIEMCEWICZ.

Przypisy.

1. Rękopis własnoręczny poety, drukowany powyżej po raz pierwszy; pisany dość czytelnie na 11 arkuszach papieru listowego; podany w całości, z wyjątkiem miejsc kropkowanych na str. 99 stanowiących razem objętość mniej więcej czterech stron w rękopisie. — W r. 1908 w nrach 11, 12 i 13 „Świata" drukował dr. Biegeleisen autobiografię (?) Kornela Ujejskiego, napisaną przez Kordyana Ujejskiego pod wskazówkami ojca. Jestto jedno z najszczegółowszych i najwiarygodniejszych źródeł, zwłaszcza jako uzupełnienie drukowanej powyżej wprost z rękopisu poety, który doprowadzony jest tylko do r. 48. —

2). Erotyki III i V drukowane były pod tytułem „Z kartek miłości" w „Kłosach" (rocznik 79) bez podpisu. Podobno w ostatnich czasach stały się przedmiotem plagiatu.

3). Interpunkcya i pisownia ściśle zachowana.

4). Sonet ten drukowany był w wydaniu czwartej seryi Poezyi Asnyka (1894) w zmienionem cokolwiek brzmieniu.

5). Rękopis ma wygląd rzeczy przygotowanej do druku. Pisownię zachowujemy oryginalną.

6). List ten pisany na cienkim papierze listowym różowego koloru, pisany bez porządku stronnic na jednym arkuszu i jednej kartce. — 1-a strona arkusza: od początku do słów: a te są do siebie w takim porządku — 1-a strona karty od słów powyższych do słów: cierpią rodzaj konwulsyi, — 2-a strona karty atramentem od słów powyższych do słowa: biada! — 2-a strona karty ołówkiem od tego miejsca do słów: ciężej skarżyć się, — 2-a i 3-a strona arkusza w porządku normalnym do podpisu: Cyprjan. — Przypisek ołówkiem na ostatniej stronie arkusza (adresowej, list jest bez koperty). —

7). Wszystkie poniżej umieszczone wiersze, drukowane są według rękopisów.

8). Autor prawdopodobnie Piotr Jaksa Bykowski.

9). Autor tego wiersza Władysław Waga poeta mało znany, emigrant po r. 63.

10). Poemat ten drukowany był dwa razy (Paryż 1834 i 1835) po polsku. W r. 1835 ukazał się w tłómaczeniu francuskiem K. Ostrowskiego. Powyżej podany według współczesnego odpisu.

Myłka druku: Str. 60, strofa V: zamiast „ubrany" ma być „u brony".

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI.

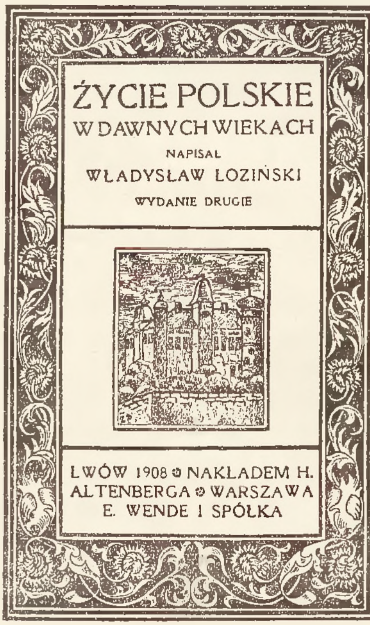
Życie Polskie w Dawnych Wiekach

Wydanie drugie. **(Wiek XVI — XVIII)** Cena K 6, opr. K 7·50.

Spis rozdziałów: Zamki i pałace, Dwory i dworki, Ubiory i splendory, Dom i świat, Indeks.

ALEKS. BRÜCKNER pisze w „Tygodniku illustrow.": Taki tytuł nosi książka p. Władysława Łozińskiego, w całym zeszłorocznym dorobku literackim może najcenniejsza, rozchwycona przez publiczność, u nas do podobnych porywów bardzo nieskorą; w **ciągu kilku tygodni** pojawiło się **drugie wydanie!** Powodzenie zasłużone zupełnie, jak dla treści, tak dla formy.

Opowiada ta książka, bo czyta się, jak powieść najbardziej zajmującą: o zamkach i pałacach ze szczegółami życia magnackiego; o dworach i dworkach i ich trybie szlacheckim; o ubiorach i splendorach, modnych i egzotycznych; o życiu domowem i towarzyskiem, o duchu, jaki ten świat sarmacki ożywiał — tak zwięźle, a tak treściwie, że możnaby dwa lub trzy razy większą książkę o tem wszystkiem napisać, a mimo to niewiele w istocie dodać; ważnego, zasadniczego nie opuszczono nic, anegdotycznych chyba rysów możnaby przysparzać.



STANISŁAW TARNOWSKI pisze w „Przeglądzie polskim": Każda nowa książka tego autora, to nowa przyjemność dla ludzi lubiących czytać. Treść i forma zarówno pociągają; przed czytaniem ciekawość, po przeczytaniu zostają nowe wiadomości w głowie i wrażenie miłego a pożytecznego zajęcia.

Ta książka szczególnie podnieca ciekawość. „Życie polskie": życie domowe, obyczajowe, towarzyskie! Wiemy o niem mało, żałujemy, że nie więcej, a chcielibyśmy wyobrazić sobie, jak to było, jak oni rozmawiali, bawili się, mieszkali, ubierali się, jedli, pili, tańcowali. Ślady tego zostały, i z XVI, XVII i XVIII w. liczniejsze i wyraźniejsze. Ale jednak nie dosyć, a prócz tego rozprószone, trzeba ich szukać. Nie każdy to może. Ktoby zebrał razem te ślady już znane, ktoby dodał do nich nowe przez siebie odkryte i złożył je w całość organiczną a wyczerpującą, oddałby nam wielką przysługę, a zrobiłby wielką przyjemność. — To właśnie robi p. W. Łoziński w tej książce.

Rzecz wiadoma, że Łoziński jest zawsze sumienny w badaniu aż do skrupulatności — może aż do pedantyzmu. U niego nic na wiatr i na domysł, wszystko na mocnym fundamencie ścisłego dochodzenia i sprawdzenia. Tak jest i w tym razie. Ten zaś szczególny dar czy zmysł do objawów i dziejów kultury, to zamiłowanie jej badania i odtwarzania, które mu są właściwe, były tu na swojem polu, w swoim elemencie. Oba przymioty razem połączone złożyły się na rzecz niewielkich rozmiarów, ale wielkiej wagi i wielkiego wdzięku.

W czterech rozdziałach opowiada autor, jakie były u dawnej Polski mieszkania, jakie ubiory, jakie zwyczaje i formy towarzyskiego życia.

Autor kończy swoją książkę uwagą, że ten dawny świat polski, skończony, od nas jest bardzo daleki, a jednak czy nie jest i blizki? Istotnie, z ówczesnego obyczaju, z ówczesnych lepszych i gorszych stron usposobienia, możemy nie jedno odszukać w naszem dzisiejszem życiu. Świat się zmienił, pokolenia przeszły, ale rodzinne podobieństwo i typ nie zacierają się i zostaną zapewne tak długo, jak to plemię.

Książkę, przyjętą z wdzięcznością, przeczytaną z wielkiem zajęciem, polecamy gorąco wszystkim tym, co lubią dobre rzeczy czytać, a o polskich rzeczach wiedzieć.

Współpracownictwo dla pierwszej części Lamusa przyrzekło dotychczas wielu pierwszorzędnych autorów. — Obok utworów oryginalnych będzie Lamus zamieszczać przekłady celniejszych dzieł obcych i sprawozdania z literatury i sztuki zagranicznej.

Redakcya rozporządza obfitym materyałem niedrukowanych rękopisów poetów i muzyków polskich. Lamus ogłaszać będzie również korespondencyę z lat dawnych, o ile przedstawi ona pewną wartość artystyczną, albo materyał historyczny. Poza drukowaniem utworów poszczególnych autorów, względnie materyałów, odnoszących się do jednostek, gromadzi Lamus i ogłasza rzeczy, rzucające światło na szczególne grupy ludzi, na środowiska i charakter epoki (częściowo zadanie to spełniać będzie dział „Rozmaitości", gdzie znajdą pomieszczenie tytuły: „Wiersze okolicznościowe i polityczne", „Mowy polskie", „Antologia poetów zapomnianych", „Wspomnienia z lat dawnych", „Dokumenta" etc.).

Na jedno- lub różnobarwne ilustracye Lamusa składać się będą nieznane dzieła artystów polskich dzisiejszej i wczorajszej doby, dawnych mistrzów zagranicznych znajdujące się w publicznych lub prywatnych galeryach polskich, reprodukcye nieznanych portretów znakomitych ludzi, fotografie krajobrazu polskiego znaczniejszej artystycznej lub historycznej wartości.

Lamus wychodzi cztery razy do roku w zeszytach objętości łącznej 40 arkuszy druku. Każdy zeszyt zawiera kilka plansz jedno- lub wielobarwnych. — Prenumerata wynosi rocznie: w Galicyi K. 12·—, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem M. 10·50, w Królestwie Polskiem R. 5·—. Cena zeszytu pierwszego oddzielnie K. 3·50, M. 3·—, R. 1·40.